



HARLEQUIN®
TM

ROMANS
HISTORYCZNY



ANNE
HERRIES

Jak uwieść przyzwoitkę

Anne Herries

Jak uwieść przyzwoitkę

Tłumaczenie:
Melania Drwęska

PROLOG

– Jeżeli zrobisz to dla mnie, będę twoja, a wraz ze mną wszystko, co mam – powiedziała kobieta. W blasku świec jej jasnooliwkowa skóra zdawała się miękka i gładka jak aksamit, a w oczach czarnych jak węgle jarzył się srebrzysty płomień. Piękna i pewna siebie, wyczuwała, jak on rozpaczliwie jej pragnie.

Spowijał ją duszny zapach perfum o egzotycznej nucie piżma i ambry, a na szyi połyskiwały najkosztowniejsze z klejnotów. Była córką indyjskiego księcia i prawnuczką angielskiego hrabiego, dumną i mściwą, a serce jej pałało nienawiścią do mężczyzny, który ją odtrącił. – Wykorzystał mnie cynicznie, a potem porzucił – i za to zapłaci życiem! Tylko jego śmierć jest w stanie zadośćuczynić za krzywdę, jaką mi wyrządził...

Przysunęła się do swego rozmówcy, pozwalając mu zachłysnąć się jej zapachem. Umiała doprowadzać mężczyzn do szaleństwa, była tego świadoma, i mogła zdobyć każdego – z wyjątkiem tego, którego naprawdę pragnęła, a który nią wzgardził. Mógł zostać jej kochankiem, poślubić ją i zamieszkać z nią w jej pałacu. On jednak oświadczył wprost, że jej nie kocha, czym boleśnie ją zranił. Dlatego dostanie nauczkę. Przekona się na własnej skórze, że nie można od niej odejść ot tak! Już ona się postara o to, aby miał długą i bolesną śmierć za to, że ją opuścił.

Ten tu, żaloszny dureń, pozerający ją głodnym wzrokiem, nie był jedynym, któremu obiecała swoje względy. Miał też własne powody, aby stać się narzędziem jej zemsty. Wybrała go bardzo starannie, chcąc mieć pewność, że zrobi, o co tylko go poprosi – oczywiście za obietnicę wysokiej nagrody. Był na szczęście chciwy i równie mściwy jak ona.

– Pamiętaj, że skrzywdził ciebie tak samo jak mnie – syknęła. – Dlatego pojedziesz za nim do Anglii i zrobisz to, o co cię prosiłam. A kiedy tu wrócisz, będziesz miał wszystko, czego tylko zapragniesz... a nawet więcej...

– O tak, spełnię twe życzenie, najśladza pani, gdyż, szczęśliwym zrzędzeniem losu, pewne sprawy wzywają mnie do Anglii. Wrócę po obiecaną nagrodę, kiedy tylko spełnię twoją prośbę.

Okrutny uśmieszek przemknął przez usta księżniczki. Serce jej było zimne jak lód, odkąd je złamano, i nie czuła nic, prócz nienawiści. Poza nagrodą ten dureń dostanie coś jeszcze, czego się nie spodziewa. Zatrzyma go przy sobie, tylko dopóki się jej nie znudzi, a potem...

On tymczasem ukląkł przed nią i ucałował rąbek jej kosztownej sukni.

– Przysięgam wymierzyć sprawiedliwość temu, który jest twoim i moim wrogiem, o pani – oświadczył. – Już wkrótce świat stanie się uboższy o tego głupca.

Gdy to usłyszała, zimny dreszcz przebiegł jej po plecach i zapragnęła cofnąć swe nienawistne słowa. Niestety, tylko krwią można ugasić ogień trawiący jej duszę.

Po wyjściu posłańca zaczęła krążyć po pokoju zdenerwowana. Opuściła ją pewność, która kazała szukać zemsty, a wkrótce zrozumiała, że śmierć ukochanego nie ukoji jej bólu. Wręcz przeciwnie. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Osunęła się na kolana i płakała, póki nie ucichła burza w jej duszy. Wtedy pojęła, że oszukała samą siebie. Nie chciała przecieżyć, aby jej najdroższy umarł, lecz aby z nią był, kochał ją i uśmiechał się do niej czule.

Musi natychmiast przywołać głupca, który tak ochoczo zgodził się zabić, i nakazać mu, żeby tego nie robił.

Podniosła oczy i ujrzała słońce na niebie. Było już za późno! Statek wyszedł z portu i wkrótce grzech zbrodni obarczy jej sumienie.

Krzyknęła rozpaczliwie i osunęła się bez zmysłów na marmurową posadzkę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Co ja widzę, listy! – ożywił się William, wicehrabia Salisbury, na widok Jane wchodzącej do pokoju. – Jest może coś dla mnie, siostrzyczko?

– Tak, chyba trzy – odparła ze znaczącym uśmiechem. – Jeden z nich pachnie perfumami panny Bellingham... Ciekawe, o czym też młoda rozsądna dama może pisać do ciebie?

– To nie twoja sprawa. – Will sięgnął po koperty.

Lady Jane March roześmiała się i przez moment droczyła z bratem, trzymając listy poza zasięgiem jego ręki. Smukła i elegancka, miała w sobie coś, co rozświetlało każde otoczenie, w jakim się znalazła, a jednak nawet jej uroda i wrodzony wdzięk nie były w stanie ukryć smutku, wyzierającego z jej cudownych oczu.

Jane zdecydowała się zamieszkać z Willem po przedwczesnej śmierci męża, który zginął przed dwoma laty na polu bitwy. Zabójczo przystojny Harry był jednym z adiutantów Wellingtona, a jego tragiczna śmierć złamała jej serce. Wtedy to John, hrabia Sutherland, jej przyrodni brat i głowa rodziny, zaproponował, aby zamieszkała z nim i jego żoną Gussie. Jane wybrała jednak Williama, młodszego od niej o rok, gdyż, jak to określiła „jako jedyny nie będzie obchodził się z nią w białych rękawiczkach ani też nie spróbuje jej tyranizować”.

– Nie wątpię, że za miesiąc będziesz chciał mnie odesłać na drugi koniec świata – zwróciła się do Willa, witającego ją po przyjeździe do tak zwanej mniejszej posiadłości ich ojca, będącej obecnie jego własnością. – Gussie doprowadziłaby mnie jednak do szału, a John... sam wiesz, jaki on jest...

– Oj tak – przyznał Will z westchnieniem. – Nieznośny pedant! Biedna mama drżała przed nim, dopóki nie poślubiła Porkey'ego...

– Niech Bóg błogosławi księcia Roshithe – powiedziała Jane z wymownym uśmiechem. Ich matka po kilkuletnim wdowieństwie została ukochaną i wielce rozpieszczaną drugą żoną. Na ślub zdecydowała się po zamążpójściu córki, gdyż, jak stwierdziła, jej najdroższy William nie potrzebuje matczynej pomocy, aby znaleźć sobie żonę. Miał przecież spory majątek odziedziczony po dziadku ze strony matki, jak również spadek po ojcu, w którego skład wchodziły: dom w mieście, domek myśliwski w Szkocji oraz hektary ziemi gdzieś w Yorkshire. Był z pewnością zamożniejszy niż jego starszy, przyrodni brat, nigdy też nie prosił Johna, aby spłacał jego długi. Mimo to John nie przepuścił żadnej okazji, by go pouczać, jak ma zarządzać majątkiem.

– Z twoją urodą i fortuną będziesz miał większy kłopot z opędzaniem się od panien niż ze znalezieniem sobie żony – powiedziała Willowi matka przed wyjazdem w podróż poślubną z szaleńczo w niej zakochanym drugim mężem. Porkey, czyli tłuścioszek, bo tak, mimo szacownego tytułu, wciąż nazywali go przyjaciele i rodzina, dał się owinać ich mamie wokół małego palca i był szczęśliwy, mogąc ją wielbić i rozpieszczać. Kochał ją nad życie i martwił się, że jej ojciec wolał jako zięcia jej pierwszego męża, gdyż ten był hrabią. Prawdę powiedziawszy, żeniąc się z ukochaną, Porkey nie miał raczej szans na dziedziczenie tytułu czy majątku. Dopiero seria pechowych i niespodziewanych zgonów w rodzinie sprawiła, że został spadkobiercą tytułu książęcego oraz rodowych dóbr – choć wcale nie był z tego zadowolony.

– Po diabła mi ta stara rudera Roshithe'ów – burczał, gdy dotarła do niego ta wiadomość. – Jaki pożytek z tytułu i wiejskiej rezydencji? Nigdy w życiu tam nie byłem, nawet w jej pobliżu, i teraz też się tam nie wybieram.

– Zgódź się... zrób to dla mnie... sprawisz mi wielką przyjemność – powiedziała jego

małżonka. – Jako księżna, zajmę wyższe miejsce w hierarchii niż żona Johna, a to się jej nie spodoba...

Porcky, co trzeba mu zapisać na korzyść, nie próbował już więcej protestować. Skoro tytuł księżnej Roshithe odpowiada jego ukochanej żonie, to i jemu także. Wiedział niejedno o przytykach i aluzjach, jakie musiała znosić z ust Gussie – w końcu tylko hrabiny. Dlatego, zamiast dalej narzekać, wydał wielki bal i zaprosił wszystkich, którzy się liczą, po czym z cichą satysfakcją patrzył, jak Gussie zmuszona jest dygać przed swoją teściową – czego nie robiła od dnia, w którym jej mąż, John, został hrabią.

Jane i Will przyglądali się towarzyskim triumfom ich ukochanej mamy z dyskretnym zadowoleniem i cieszyli się jej radością. Poślubiona dla pozycji i majątku, nie miała łatwego życia z nadętym pierwszym mężem oraz równie nadętym pasierbem, dzieckiem jego pierwszej żony, pochodzącej z lepszej, acz znacznie mniej zamożnej rodziny. Helen, ich matka, wniosła mężowi ogromny posag i na szczęście, dzięki mądrym klauzulom ojca, gdy owdowiała, mogła zatrzymać większą część dla siebie oraz swoich dzieci, Willa i Jane. Jeśli chodzi o Johna, uznano, że ma dosyć własnych środków – aczkolwiek, gdyby go o to zapytać, pewnie by się z tym nie zgodził. A choć uważał, że nie wypada mu o tym wspomnieć, krzywił się na wielkie sumy, trwonione, by zaspokoić próżność jego macochy, bo tak to nazywał.

Zajęta przeglądaniem poczty, Jane uświadomiła sobie nagle, że Will jakby się waha. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Czuję, że czegoś ode mnie chcesz. Mów, o co chodzi.

– Moja najdroższa Jane – mruknął Will z szelmowskim błyskiem w oku. – Jak ty mnie dobrze znasz... Chodzi o Melię Bellingham. Nie będzie mogła przyjechać w przyszłym miesiącu do Londynu, gdyż jej ciotka zachorowała w ostatniej chwili... No, chyba że zgodzisz się być jej przyzwoitką. Proszę cię, zgódź się, Jane. Melia tak bardzo cieszyła się na tę wizytę...

– Amelia Bellingham nie powinna była pisać do ciebie, Will. To jej ciotka musi napisać do mnie, jeżeli chce, abym zaopiekowała się jej bratanicą.

– Głowę dam, że list od pani Bellingham jest wśród twojej poczty. Zresztą, dlaczego ty zawsze dostajesz całe stosy listów, a ja najwyżej dwa lub trzy, i to głównie rachunki...

– Pewnie dlatego że prowadzę rozległą korespondencję – odparła Jane, tłumiąc śmiech. – To moje główne zajęcie... chyba że jedziemy do Londynu odwiedzić mamę, a wizyta u niej to jeden ciąg balów i proszonych kolacji...

– Mama uwielbia przyjmować gości; ma mnóstwo przyjaciół.

– Oczywiście, że tak – rzuciła sucho Jane. – Wszyscy ustawiają się w kolejce na wystawne kolacje, wydawane przez Porcky'ego. Nie pojmuję, jak ona to robi, że nigdy nie przytyła nawet funta, choć niemal co dnia jest wystawiona na kulinarne pokusy.

– Po prostu je jak ptaszek; zawsze tak robiła – wyjaśnił Will. – Ty, Jane, jesteś taka sama i nigdy nie utyjesz. No więc, zaprosisz Melię do nas, prawda?

– Ależ oczywiście, skoro tego sobie życzysz. Przecież to twój dom, mój kochany. Jestem tu tylko gościem i uważam, że możesz zapraszać, kogo chcesz...

– Dobrze wiesz, że nie mógłbym zaprosić panny Bellingham – powiedział Will. – Ona musi mieć przyzwoitkę... A ty znasz ją od zawsze... dorastałyście razem.

– Przyjaźniłam się z jej starszą siostrą. – Jane cicho westchnęła, gdyż na wzmiankę o Beth Bellingham napłynęły wspomnienia o Harrym. Beth była w nim zakochana, podobnie jak większość dziewcząt tamtej wiosny, ale on świata nie widział poza Jane. Tak bardzo jej go brakowało. Nocami dojmujący ból przeszywał jej serce. – Lubię Melię, Will, i z przyjemnością ją zaproszę. – Przerzuciła pocztę, otworzyła list od ciotki Melii i sięgnęła po pióro, aby natychmiast odpisać. Gdy skończyła, zadzwoniła na lokaja i podała mu kopertę.

– Flowers, proszę, każ to natychmiast wysłać.

– Oczywiście, milady. – Lokaj spojrział na nią z oddaniem i skłoniwszy się, wyszedł.

Will wiedział, że cała służba uwielbia Jane. Gdy się kiedyś ożeni, jego żonie nie będzie łatwo, ponieważ to Jane była w jego domu niekwestionowaną panią. Cieszyło go to, dopóki sobie nie uświadomił, że zaczyna poważnie myśleć o małżeństwie.

– No więc? – zapytała Jane, podnosząc się z krzesła i zamykając biurko przywiezione z Francji. – Czy już wkrótce mam ci życzyć szczęścia?

– Jeżeli Melia po powrocie z Londynu nie zmieni zdania, to tak – odparł Will. – Przecież szczerze pragniesz mego szczęścia, prawda, Jane? Wiem, że to trochę krępujące dla ciebie, ale...

– Nonsens – przerwała mu. – Zbyt długo nadużywałam twojej cierpliwości. Mam przecież własny, wygodny dom kilka mil od Johna i Gussie; pewnie też poszukam domu w Bath, gdy zdecyduję się osiaść gdzieś na stałe. Powinnam była zrobić to już rok temu, gdy tylko zdjęłam żałobę.

– Ale jak chcesz mieszkać całkiem sama? – zaniepokoił się Will. – Wiem, że wolałbyś nie mieszkać z Johnem, ale Gussie nie jest aż taka zła... albo mama...

– Wolałabym nie wchodzić jej w paradę – odparła Jane ze śmiechem. – A Gussie w dwa tygodnie doprowadziłaby mnie do szału!

– Mogłabyś przecież zostać tutaj. Melia tak cię lubi...

– Ja ją też, i niech tak zostanie – powiedziała cicho Jane. – Nie, mój najdroższy braciszku, nie będę utrudniać życia twojej żonie. Muszę tylko znaleźć sobie kogoś do towarzystwa...

– Pewnie tak, ale z kim byłabyś w stanie wytrzymać? Nie należysz do szczególnie cierpliwych, Jane.

– Cierpliwa to ja na pewno nie jestem – przyznała. – Ale... pamiętasz kuzynkę Sarah? Pewnie nie, bo kiedy do nas przyjechała, przebywałaś w szkole z internatem. Było to na krótko przed śmiercią papy...

– Ach tak, przypominam ją sobie z pogrzebu. Taka wysoka, chuda i raczej nieładna... Jej matka ciągle czegoś od niej chciała, zmieniając jej życie w piekło.

– Ciotka Serafina zmarła miesiąc temu, a kuzynka Sarah napisała do mnie z pytaniem, czy nie wiem o jakiejś odpowiedniej dla niej posiadzie. Pomyślałam sobie, że ją tu zaproszę, aby się przekonać, czy będziemy w stanie znosić się nawzajem. Jeśli tak, zamieszkać z nią w Bath.

– Wyobrazasz sobie, co John powiedziałby na to? Sarah Winters nie może zostać twoją damą do towarzystwa. Jest na to za młoda i nie ma żadnych koneksji.

– W moim domu nie będą jej potrzebne. Byłam przez rok mężatką. Jako lady March, jestem finansowo niezależną wdową i tak zamierzam żyć... Po wolności, jaką miałam w małżeństwie i potem tutaj, u ciebie, myślisz, że mogłabym zamieszkać z Johnem i jego żoną?

Will przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym pokiwał głową.

– Wiem, że nie mogłabyś, Jane, ale wszyscy będą temu przeciwni... nawet mama.

– Mama chce, abym znów wyszła za mąż. Jeżeli z nią zamieszkać, będzie mnie przedstawiała wszystkim znajomym kawalerom i nie da za wygraną, dopóki nie ulegnę. Wyszłam za mąż z miłości, Will, i nie zrobiłabym tego z żadnych innych powodów. Zbyt wysoko cenię sobie niezależność.

– Nie sądzisz, że lepiej byłoby wyjść za kogoś, kogo mogłabyś choćby szanować, jeśli nie pokochać? Miałabyś duży dom i męża, który by cię wspierał...

– O czymś takim nie potrafię nawet myśleć w tej chwili – przerwała mu Jane. – Wiem, że minął już rok, od kiedy zdjęłam żałobę, ale nadal oplakuję Henry'ego. Wciąż o nim myślę i chciałabym...

– Oczywiście, że tak. – Will stropił się. – Jak w ogóle mogłem powiedzieć coś takiego?

Wybacz mi, kochanie.

Przepraszał szczerze, a Jane równie szczerze odpowiedziała mu, że nie ma za co. Rozstali się potem – Jane poszła napisać do kuzynki Sarah, a Will udał się do stajni. Chciał pojeździć na kupionym niedawno młodym ogierze, którego trenował, aby na nim wystartować w wyścigach.

Mijając stajnie, pogwizdywał wesoło, zadowolony ze świata, w jakim przyszło mu żyć. Wszyscy uważali go za szczęściarza, on zaś nie widział powodów, by szczęście miało go kiedykolwiek opuścić. Melia wyjdzie za niego i chętnie zamieszka z nim na wsi, zadowolając się rzadkimi wizytami w Londynie – dokładnie tak, jak to sobie wymarzył.

– Och, ciociu kochana, proszę spojrzeć... – Melia Bellingham otworzyła przesyłkę od lady March i jej szafirowe oczy załśniły z podniecenia, gdy podawała starszej wymizerowanej damie list, napisany pięknym kaligraficznym pismem. Ciotka Margaret wydobrzała już na tyle po niedawnej chorobie, że mogła siedzieć w fotelu, wciąż jednak była zbyt osłabiona, aby myśleć o wyprawie z młodą żywiolową dziewczyną do Londynu. – Nie będzie ciocia miała nic przeciwko temu, że zostawię ją samą na jakiś czas? Zresztą, jaki ze mnie pożytek? Sama ciocia mówiła, że przyprawiam ją tylko o ból głowy...

Ciotka Margaret powąchała koronkową chusteczkę, skropioną konwaliowymi perfumami.

– Masz w sobie tyle energii, Amelio – powiedziała z westchnieniem. – Co tu się dziwić, że męczy mnie twoje towarzystwo, zwłaszcza gdy jestem osłabiona. Nie chciałabym jednak sprawić ci zawodu, więc tak, oczywiście, możesz pojechać do lady March. Wolałabym wprawdzie widzieć cię pod opieką twojej siostry, ale biedna Beth jest już w bardzo zaawansowanym stanie i nie może się tobą zająć. Musisz napisać miły list do lady March, żeby jej podziękować.

– Ona pisze, że przyśle po mnie swój powóz. A potem pojedziemy razem do Londynu. Jeżeli zaraz nie wyśle odpowiedzi, nie dostanie listu na czas...

– Dziecko, jakaś ty w gorącej wodzie kąpana... – Ciotka westchnęła, pomachując pachnącą chusteczką. – Idź już sobie i przyślij mi tu pannę Beech. Potrzebne mi spokojne towarzystwo.

Melia wymknęła się szybko, rada, że została zwolniona z dalszych obowiązków. Ciotka Margaret okazała wiele serca jej i Beth, gdy ich rodzice zginęli na morzu w trakcie rejsu, który miał być miłą wycieczką do posiadłości ojca w Irlandii. Tymczasem podczas sztormu jacht roztrzaskał się o skaliste wybrzeże Kornwalii i wszyscy pasażerowie wraz z załogą utonęli.

Ciotka Margaret Bellingham przygarnęła wtedy osierocone bratanice, które znalazły się w trudnej sytuacji, gdyż zgodnie z prawem cały majątek ich ojca z braku syna przypadł jego dalekiemu kuzynowi, mieszkającemu gdzieś w Indiach. Obie dziewczyny miały tylko niewielkie posagi, a także po dwieście funtów od dziadka ze strony matki. Gdyby nie dobre serce ciotki Margaret, musiałyby zamieszkać w małym domku gdzieś na wsi – o czym sucho poinformował je adwokat wkrótce po pogrzebie.

Minęło pół roku, obie siostry opuściły swój rodzinny dom, a Beth wyszła już nawet za mąż, i wtedy przyszedł list z wiadomością, że mogą zostać u siebie tak długo, jak zechcą. Kuzyn ich ojca, jak się okazało, nie planował w najbliższej przyszłości wracać do Anglii i nawet po powrocie nie zamierzał pozbawiać ich domu. Napisał więc do swojego agenta, każąc mu zaopiekować się majątkiem, a także zawiadomić dziewczęta, gdy nowy właściciel zacznie planować wyjazd z Indii.

Dla Beth i Amelii było już jednak za późno. Beth, szczęśliwa mężatka, rezydowała w posiadłości męża, a Melia, nieco mniej szczęśliwa, zamieszkała z ciotką Margaret. Starsza dama absolutnie nie była dla niej niemiła i nie domagała się niemożliwego, jednak z racji wieku nie mogła uczestniczyć w zbyt wielu przyjęciach, a te, na które zabierała bratanicę, śmiertelnie nudziły młodą pannę. Obiecała więc Melii zabrać ją na sezon do Londynu po osiemnastych urodzinach, niestety zmógł ją ciężki atak grypy żołądkowej, a kiedy już dochodziła do siebie, przyplątał się

katar. Jej doktor uznał, że Londyn w ogóle nie wchodzi w grę, i Melia już prawie pogodziła się z myślą, że nigdzie nie pojedzie, dopóki Beth nie urodzi.

– Do tego czasu wszyscy postawią już na mnie krzyżyk – zwierzyła się Melia swojej przyjaciółce Jacqui podczas spaceru po włościach ciotki. – Umrę tu z nudów, bez żadnych szans na znalezienie sobie męża.

– A co z wicehrabią Salisbury? – zagadnęła przyjaciółka. – Myślałam że przysięgliście sobie dożgonną miłość, kiedy gościłaś na wsi u Beth.

– Ależ tak, oczywiście – odparła Melia i oczy jej się zaświeciły. – Powiem ci coś w tajemnicy: od tamtej pory on dwukrotnie odwiedzał przyjaciół w sąsiedztwie. Spacerowaliśmy razem, jeździliśmy konno, a potem wymieniliśmy listy...

– Nie powinnaś! – wykrzyknęła Jacqui wstrząśnięta. – Co powiedziała by na to twoja ciotka, gdyby wiedziała?!

– Ale nie wie, bo Beth odbiera listy i mi je przywozi.

– Pogniewałaby się, gdyby odkryła, że ją oszukujesz! – Jacqui pokręciła głową. – Mama za coś takiego zamknęłaby mnie na miesiąc w pokoju i trzymała o chlebie i wodzie.

– Ciebie nie miałaby za co zamykać. – Melia ścisnęła jej rękę. – Myślę też, że gdyby moja mama żyła, nie musiałabym tak robić. Zapraszałaby młodych kawalerów i pewnie byłabym już zaręczona.

– Czy wicehrabia poprosił cię o rękę?

– Nie, ale robi to, jeśli sobie tego zażyczę – odparła Melia z przekornym błyskiem w oku. – Nie potrafię jednak powiedzieć, czy na pewno chcę wyjść za niego. Gdybyśmy pojechali do Londynu, miałabym okazję poznać wielu miłych młodych ludzi...

– Musisz, wobec tego, poprosić ciotkę, aby napisała do lady March z pytaniem, czy zechciałaby cię zaprosić, kiedy będzie jechać do stolicy. Odkąd owdowiała, wzięła już pod swoje skrzydła kilka młodych panien. Wiem to na pewno, gdyż była wśród nich moja kuzynka. Myślę, że wicehrabia Salisbury bez trudu namówi siostrę, żeby się zgodziła.

Melia uznała to za dobry pomysł. Obie rodziny utrzymywały przecież bliskie kontakty, zanim Jane i Beth wyszły za mąż. Chcąc jednak zapewnić sobie przychylną odpowiedź, napisała wcześniej do wicehrabiego o chorobie ciotki, a list, jak widać, spełnił swoje zadanie. Będzie więc mogła pojechać do Londynu i jeszcze przed końcem sezonu zaręczy się albo z wicehrabią Salisbury – albo z kimś innym...

Melia napisała liścik z podziękowaniem i zadzwoniła na służącą, Beth. Przenosząc się do ciotki, zabrała ją ze sobą i wiedziała, że jest jej bardzo oddana. Nie będzie więc miała nic przeciwko temu, by pomaszerować do miasteczka i dopilnować, żeby list odszedł z najbliższą pocztą do Londynu.

Po chwili Beth stanęła w progu – z listem na tacy, zaadresowanym do Melii.

– Dziękuję. – Melia uśmiechnęła się do kobiety która niańczyła ją od kołyski, a teraz dbała o jej garderobę i układała włosy. – Chcę jak najszybciej wysłać ten list. Lady March zaprasza mnie do siebie, a potem wyjedziemy do Londynu. Ty też z nami pojedziesz, Beth. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

– Skoro panienka tak cieszy się na ten wyjazd, zrobię wszystko, by panienka była szczęśliwa.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką! – Melia objęła ją i pocałowała w pulchne policzek.

– Dobrze już, dobrze, panno Melio. – Beth uśmiechnęła się zarumieniona. – Już lecę, nie musi mi panienka pochlebiać...

– Ciekawe, kto też może do mnie pisać... – Melia wzięła list z tacy i zmarszczyła brwi na widok rodowej pieczęci. – Dobry Boże! Czy to możliwe, aby był od...? – Otworzyła i zaczęła

czytać.

Nadawcą był ktoś, kto przedstawił się jako Paul, kuzyn papy. Z narastającym rozdrażnieniem czytała dalej ten zaskakujący list.

Głęboko zaniepokoiła mnie wiadomość, że musiała Pani opuścić Wasz rodzinny dom. Było to wbrew memu życzeniu i szczerze za to przepraszam. Ufam, że wybaczy mi Pani to nieporozumienie i powróci do swego domu. Oczywiście, nie może Pani mieszkać tam sama. Zwłaszcza że ja, po powrocie do Anglii, na początku czerwca, zamieszkać w Londynie i będę tylko składał krótkie wizyty w Willow House.

Pragnę jednak, aby zadebiutowała Pani na londyńskich salonach pod opieką przyjaciółki mojej matki, lady Moiry Fairhaven. Lady Moira, po półtorarocznym wdowieństwie, jest gotowa podjąć znów życie towarzyskie i będzie mieszkała z Panią w Willow House aż do Waszego wyjazdu do stolicy. Pojawi się u Pani pod koniec maja, tak abyście mogły się lepiej poznać przed przybyciem do domu, który dla Was wynajmę w Londynie.

Pozostaję z szacunkiem.

Paul Frant

Melia poczuła się głęboko urażona. Jakim prawem napisał taki list? Czy on sobie wyobraża, że dziedzicząc majątek, stał się również jej prawnym opiekunem? Grubo się myli, a ona nie ma najmniejszego zamiaru słuchać jego poleceń. Zostanie gościem lady March, jak to sobie zaplanowała...

Choć musiała przyznać, że gdyby sprawy już wcześniej nie potoczyły się zgodnie z jej wolą, przyjęłaby pewnie z wdzięcznością jego propozycję.

Ciotka Margaret nie może się dowiedzieć o tym liście. Gdyby go przeczytała, kazałaby jej czekać na tę Moirę Fairhaven, która miała być jej przyzwoitką. Melia szybko schowała list do ukrytej szufladki sekretarzyka, lecz wciąż gnębił ją niepokój. Może jednak testament ojca dawał władzę nad nią temu dalekiemu kuzynowi? To bardzo niefortunne, że postanowił wrócić do Anglii właśnie teraz, kiedy wszystko wydaje się układać po jej myśli. Dotąd mogła mieć pewność, że jeśli zapragnie poślubić odpowiedniego dżentelmena, ciotka aż nazbyt chętnie udzieli jej swego błogosławieństwa. Tymczasem ten nieznajomy kuzyn może mieć całkiem inne plany względem jej osoby...

ROZDZIAŁ DRUGI

– Jesteś dla mnie za dobry, Adamie – powiedział Paul Frant. – Nie spodziewałem się, że zechcesz mi towarzyszyć do Londynu. Twoja pomoc na statku okazała się nieoceniona, drogi przyjacielu, gdyż muszę przyznać, że nigdy w życiu nie czułem się tak straszliwie chory jak wtedy, gdy powaliła mnie gorączka. Na szczęście, dochodzę powoli do siebie, mogłeś więc udać się do swoich włości, kiedy tylko przybiliśmy do Portsmouth. Masz przecież ważne sprawy do załatwienia.

– Nigdy nie słyszałem, żebyś bodaj dzień chorował – odparł Adam, niegdyś kapitan Straży Królewskiej, służący w Indiach, a od niedawna wicehrabia Hargreaves. – To takie do ciebie niepodobne. Walczyłeś przecież na Półwyspie Iberyjskim i wyszedłeś z tego cało, chociaż dwukrotnie zostałeś ranny. Martwiłem się o ciebie, mój drogi. Prawdę mówiąc, wyglądasz wciąż dosyć mizernie.

– Nie czuję się jeszcze całkiem zdrowy – przyznał szczerze Paul. – Przykro mi to mówić, ale przez chwilę sądziłem, że to już koniec. Musiałem zarazić się jeszcze w Indiach, bo kilku kolegów w biurach Kompanii chorowało, zanim odpłynąłem do Anglii. Biedny Mainwaring zmarł, pozostawiając w Anglii żonę i dwóch synów. Jego śmierć wpłynęła po części na moją decyzję o powrocie do kraju. Przed śmiercią prosił mnie, bym dopilnował, żeby jego rodzina dostała odprawę i wszystko, co mu się należało. Myślę, że chciał zbić w Indiach majątek; niestety, nie miał nosa do interesów.

– Nie tak jak ty – powiedział Adam z kwaśnym uśmiechem. – Musisz być bogaty jak Krezus, Frant.

– A tak, poszło mi nie najgorzej – skromnie przyznał Paul. – Wystarczyło również na przyzwoity posag dla tej biednej córki Bellinghama. Dziedzicząc po nim tytuł, kompletnie mi niepotrzebny, zostałem zarazem prawnym opiekunem jego córki. Muszę jednak przyjąć spadek, jeśli osiadę w Anglii. W tej chwili nie potrafię jednak powiedzieć, czy tak zrobię. Może wrócę do Indii, kiedy pozatwiam tutaj wszystkie sprawy. Nie jestem pewien, czy potrafiłbym wieść życie angielskiego dżentelmena.

– Mogłoby to być dosyć nudne po twoich przygodach, nieprawdaż? – Adam rzucił mu wymowne spojrzenie. – A może urok pięknej kobiety wzywa cię do powrotu?

– Miałem mało czasu dla dam... wszelkiego autoramentu. Pozostawiłem to tobie i całej armii – odciął się Paul. – Annamarie istotnie była piękna, ale z nią nie było żartów. Tylko gdybym rzeczywiście postanowił ją poślubić, próbowałbym zdobyć jej serce. O ile ona w ogóle ma serce. Owszem, jest czarująca, ale brak jej ciepła. – Był zdania, że ta uwielbiana przez tylu mężczyzn kobieta jest zimna i oschła.

– To dumna piękność – powiedział Adam. – Przyznam, że ją podziwiałem. Niełatwo być dzieckiem z mieszanych małżeństw. Jest córką indyjskiego księcia i angielskiej arystokratki. Annamarie mówiła, że jej rodzicom udzielił ślubu ksiądz. Gdy jej ojciec zmarł, jego żony musiały żyć w odosobnieniu, lecz księżnej Helenie pozwolono opuścić królewski pałac i wychowywać córkę wedle swego życzenia w swojej własnej posiadłości. Można by nawet powiedzieć, że została w pewnym sensie wygnana przez swoich królewskich krewnych. Ponieważ nie została poślubiona według tamtejszego obyczaju, niektórzy uważali ją za konkubinę raczej niż żonę.

– Tak, to bardzo przykre. Księżna Helena posłała córkę do angielskiej szkoły – powiedział Paul. – Annamarie dorastała w przekonaniu, że jest ślubnym dzieckiem, a ponieważ jej dziadek ze strony matki mieszka w Shropshire i jest hrabią, żony niektórych oficerów ją zaakcep-

towały i przyjęły Annamarie do swego grona.

– Cóż, w Indiach towarzystwo wykazuje się nieco większą tolerancją. – Adam pokiwał głową w zadumie. – Wiesz równie dobrze jak ja, dlaczego matka nie posłała jej do szkoły w Anglii. Nie została tam zaakceptowana przez elity.

– Banda głupców – stwierdził ze złością Paul. – Annamarie ma przecież wszelkie prawo obracać się w najwyższych sferach. Niestety, to samo spotkało ją w Indiach. Krewni jej ojca traktują ją jak wyrzutka. Moim zdaniem, ona i jej matka powinny wrócić do Anglii; tu byłoby im lepiej. Taka piękność jak Annamarie z pewnością znalazłaby wielu adoratorów, a gdyby dostała się w kręgi księcia regenta, mogłaby się całkiem dobrze urządzić.

– Tak, być może... – Adam urwał, gdyż powóz się zatrzymał. – Chyba jesteśmy na miejscu. Czy to twój dom, Paul?

– Należał do mego ojca. – Paul skrzywił się lekko.

– Ach tak... twój ojciec... – Adam zmarszczył brwi. – O ile pamiętam, nieszczególnie zgadzałeś się z lordem Frantem.

– Rzeczywiście, zwłaszcza po tym, jak potraktował mnie i moją matkę...

W oczach Paula błysnął gniew. Po śmierci matki opuścił rodzinny dom, przysięgając, że jego noga tam nie postanie, póki żyje ojciec – i dotrzymał słowa. Wybrał karierę wojskową i awansował do rangi majora, walcząc u boku Wellingtona. Pod Salamanką został ranny w nogę, a gdy odzyskał zdrowie, wystąpił z armii. Zamiast objąć stanowisko w administracji, udał się do Indii. Zainwestował tam w Kompanię Wschodnioindyjską, a kilka zręcznych posunięć uczyniło go bardzo zamożnym. Życzliwy los postawił na jego drodze bogatego maharadzę, który mianował go swym honorowym synem, przyznając mu rozległe ziemie oraz pałace. Tak więc, jeśli zdecyduje się wrócić do Indii, będzie mógł żyć jak księżę i poślubić niemal każdą pannę, którą tylko zechce.

Paul wiedział, że Annamarie liczy na to, że poprosi ją o rękę. Po tym, jak uratował życie pewnemu dostojnikowi, zyskał szczególne uznanie w tym regionie. Ktoś, kto miał w Anglii wysoką pozycję społeczną i szczególne względy w Indiach, stanowiłby świetną partię dla córki angielskiej arystokratki i indyjskiego księcia. Razem mogliby zająć w lokalnej hierarchii pozycję tuż za maharadzą. Nim wyjechał do kraju, Annamarie dała mu jasno do zrozumienia, że czeka na jego oświadczenia, ale on nie był pewny, czego naprawdę chce.

W Anglii odziedziczył po ojcu tytuł szlachecki oraz posiadłości ziemskie, wiedział jednak, że jego młodszy, przyrodni brat zająłby z radością jego miejsce. Paulowi rodzinne włości w Anglii nie były do niczego potrzebne – a już na pewno nie był mu potrzebny kłopot w postaci niewielkiego majątku, jaki dostał mu się w spadku po dalekim kuzynie. Do powrotu skłoniły go po części dwie młode dziewczyny, których opiekunem prawnym Bellingham mianował go w swoim testamencie. A choć starsza, jak mu doniesiono, wyszła już dobrze za mąż, pozostawała jeszcze ta młodsza, osiemnastolatka, czyli panna na wydaniu, dla której musiał jak najszybciej znaleźć odpowiedniego kandydata. W tym celu Paul napisał do niedawno owdowiałej przyjaciółki swojej zmarłej matki z pytaniem, czy zechciałaby wziąć pod swoje skrzydła tę młodą pannę. Dama, rzecz jasna, uprzejmie wyraziła zgodę, choć wymiana listów i skompletowanie dokumentów zajęło kilka miesięcy. Było to jednak konieczne, gdyż Paul jako kawaler nie mógł sprawować funkcji opiekuna bez kobiecej asysty.

Lady Moirę poznał przed kilku laty. Było to tuż przed śmiercią jego matki, zmarłej z rozpaczy na skutek niewierności męża. Wówczas siedemnastoletni Paul po kłótni z ojcem opuścił dom i został oficerem. Na szczęście dziadek ze strony matki zostawił mu niewielką sumę, więc gdy rodzony ojciec zabrał mu fundusze, był w stanie się utrzymać. Z czasem przyszły awanse oraz udziały w zyskach, a gdy jeden z wujów zapisał mu małą fortunę, życie stało się znacznie ła-

twiejsze.

Paul wiedział, że ojciec przekazał testamentem wszystko, co nie wiązało się z majoratem, swojemu młodszemu synowi, lecz wcale się tym nie przejął. Z ulgą przekazałby całą resztę przyrodnemu bratu, ale wciąż nie potrafił zdecydować, czy chce pozostać w Anglii. Poza tym pewna część jego natury nakazywała mu zatrzymać tytuł i rodową posiadłość. Nie chciał, aby trafiły do syna drugiej żony ojca.

Paul musiał bezstronnie przyznać, że kobieta, która zajęła miejsce jego matki, była przepiękna. Nie dorównywała jednak charakterem swojej poprzedniczce. Matka Paula była łagodna i kochająca, a jej czułe serce nie wytrzymało lodowatej obojętności, z jaką traktował ją mąż.

Paul ze złamanym sercem patrzył, jak matka niknie w oczach, staje się coraz słabsza i coraz smutniejsza, a po jej śmierci oskarżył ojca o szczególne okrucieństwo.

– Nigdy jej nie kochałem – oświadczył obojętnym tonem ojciec. – Potrzebowałem tylko jej pieniędzy, żeby odrestaurować swoje posiadłości. Niestety, dałem się wprowadzić w błąd, spodziewając się fortuny. Te marne dwadzieścia tysięcy...

– Dwadzieścia tysięcy to marna kwota?! – przerwał mu Paul. – Gdybyś zrobił z tych pieniędzy dobry użytek, zamiast trwonić je na hazard i kobiety...

– Twoja matka pochodziła z klasy średniej, co, niestety, wciąż widać po tobie. – Głos ojca ociekał pogardą. – Gdybym wiedział, że po śmierci teścia nie dostanę już ani pensa, nigdy w życiu nie ożeniłbym się z tą głupią dziewczyną.

Wtedy Paul rzucił się na niego, ale ojciec jeszcze wówczas był silniejszy. Z zakrwawioną twarzą musiał uznać jego wyższość.

– Zabieraj się stąd – powiedział mu ojciec. – Wracaj na północ, do swoich fabryczek i brudnych spelunek, gdzie twoje miejsce.

Otrząsnął się z bolesnych wspomnień, bowiem za chwilę miał przekroczyć próg domu należącego wcześniej do jego ojca. Stojąc w ciemnym holu, zapragnął uciec, lecz nie pozwalała mu na to duma.

– Witamy w domu, milordzie. Miło znów pana zobaczyć.

Paul spojrział uważnie na ciemno ubranego lokaja, który otworzył im drzwi.

– Matthews? – zapytał w końcu, marszcząc brwi.

– Tak, milordzie – odparł lokaj z uśmiechem. – Byłem tu pucybutem, kiedy pan był chłopcem. Potem zostałem człowiekiem do wszystkiego. Na lokaja awansowałem sześć lat temu.

– Ach, doprawdy. – Paul pokiwał głową, po czym rozejrzał się wokół. – O ile pamiętam, za moich czasów ten hol wyglądał inaczej.

Uśmiech znikł z twarzy Matthews'a.

– Tak, milordzie, niestety. Przykro mi to mówić, ale jaśnie pan sprzedał w zeszłym roku większość mebli i obrazów.

– Pewnie znowu wpadł w długi – stwierdził Paul z westchnieniem. – Czy zostawił mi cokolwiek, co ma jakąś wartość?

– Niewiele, milordzie. Sypialnie wyglądają mniej więcej tak samo, ale srebra, obrazy i część porcelany sprzedano. A pokoje pańskiej matki już dawno zostały ogołoczone ze wszystkiego... – Matthews zmieszał się. – Pomyślałem sobie, że powinienem pana uprzedzić.

– Och, cóż znaczy tych kilka drobiazgów... – Paul zaśmiał się smutno, po czym zwrócił się do swego towarzysza. – Przykro mi, że ściągnąłem cię w takie miejsce, Adamie, ale znajdzie się tu chyba wolne łóżko dla gościa i coś do jedzenia.

– O tak, milordzie – zapewnił go lokaj. – Zrobiliśmy wszystko zgodnie z pana instrukcją. Zatrudniliśmy gospodynię i kucharza, a pokoje zostały otwarte i wysprzątane. Pani Brooks przygotowała dla pana jeden pokój... dawny salon jaśnie pani... to znaczy, pańskiej matki, milordzie.

O ile wiem, rozpalono też dla pana ogień na kominku...

– Dzięki Bogu, że przynajmniej ktoś ma tu trochę rozumu – powiedział Paul, kierując się do salonu, który tak dobrze znał. Matthews tymczasem polecił dwóm służącym wnieść jego bagaże na górę, a z pokoju na końcu korytarza wyłoniła się kobieta i wyraźnie zaaferowana pospieszyła w ich stronę.

– Nie wiedzieliśmy, kiedy się pana spodziewać, milordzie!

– Proszę podać wino i jakiś lekki posiłek do zielonego pokoju, pani Brooks.

– Oczywiście, milordzie. Słyszałam, że to był pana ulubiony pokój w dzieciństwie...

A ten drugi, nadający się do użytku, był kiedyś biblioteką...

– Mam rozumieć, że książki też zostały sprzedane?

– Niektóre, milordzie. Ale będzie się tam panu wygodnie mieszkalo, dopóki pan nie zdecyduje, co z remontem pozostałych pokojów...

Paul zaśmiał się gorzko. Biblioteka Frantów miała w swych zasobach parę białych kruczków, których strata zabolala go znacznie bardziej niż sprzedaż sreber czy obrazów. Niestety, nie mógł nic na to poradzić. Dobrze, że przynajmniej pokój jego matki był urządony komfortowo, choć nie tak, jak zapamiętał. Po matce nie zostało w nim ani śladu, zniesiono jednak wszystkie przyzwoite meble z całego domu – wygodne fotele przy kominku, mahoniowe biurko, krzesło z oparciem, oraz dużą sofę i kredens, na którym czekały już kieliszki i karafki.

– Dobrze, że mogę ci przynajmniej zaproponować kieliszek wina. – Paul zlustrował zawartość karafek. – Wolisz brandy, maderę czy burgunda?

– Poproszę kieliszek madery – powiedział Adam, wyciągając się w fotelu. – Wygląda na to, że będziesz teraz bardzo zajęty, choć tego akurat ci nie zazdrozczę. Kupowanie mebli nie jest moją ulubioną rozrywką.

– Ani moją – odparł Paul ze śmiechem. – Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć kogoś, kto mnie w tym wyręczy.

– Wiesz, czego ci potrzeba?

– Nie. A czego?

– Otóż, mój drogi, potrzeba ci żony. – Adam spojrzal na Paula z wyzywającym błyskiem w oku. – Są po to przede wszystkim, aby urządzić mężowi wygodny dom. Poważnie o tym myślę, odkąd przestałem szukać przygód. Na twoim miejscu również bym się rozejrzał...

– To dziwne, że mówisz coś takiego – stwierdził Paul w zadumie.

– Uważam, że ty także powinienes to dobrze przemyśleć – powiedział Adam.

– Masz rację... Zamierzam jednak poczekać na właściwą kobietę...

– Ty przynajmniej nie musisz żenić się dla posagu – stwierdził Adam z nutką zazdrości w głosie. – Masz aż nadto swoich pieniędzy.

– Tak, poszczęściło mi się – przyznał Paul – ale zarobiłem je uczciwie. I nie zdecydowałem jeszcze, gdzie osiąść...

– Więc nie wracasz do Indii?

– Sam nie wiem. – Paul westchnął. – Chyba nic mnie tutaj nie trzyma... Ty, Adamie, przyjechałeś do kraju, aby pozalać swoje sprawy. Czy zamierzasz wrócić do Indii, kiedy się z nimi uporasz?

– Jestem w rozterce. – Adam wbił wzrok w jakiś punkt ponad jego ramieniem. – To zależy... Przede wszystkim od tego, czy będę miał dosyć środków, aby móc tu godnie żyć...

– Twój ojciec nie zrobił chyba zapisów na rzecz kogoś innego? Byłeś jego jedynym synem.

– Owszem, ale pytanie brzmi: czy zostawił mi cokolwiek oprócz długów? – W głosie Adama pobrzmiwała gorycz. – W Indiach nie zbiłem fortuny... Może się jeszcze okazać, że je-

stem nędzarzem...

ROZDZIAŁ TRZECI

– Och, jak to miło z pani strony! Co za piękny pokój! – wykrzyknęła z zachwytem Melia, rozglądając się wokoło. – Moja ciocia jest dla mnie bardzo dobra, ale, niestety, nie jest już w stanie zabrać mnie do Londynu.

– Mojemu bratu zależało na tym, aby dostała pani najlepszy pokój gościnny, panno Bellingham. – Jane uśmiechnęła się, widząc radość dziewczyny. – Tak, to śliczny pokoik. W przeszłości sama nie raz w nim mieszkałam.

– Ależ nie powinna pani oddawać mi swego pokoju, droga lady March – powiedziała Melia. – Nie chciałabym sprawiać pani trudności.

– To był mój paniński pokoik – uspokoiła ją Jane – a teraz zajmuję trzypokojowy apartament po drugiej stronie domu. W każdym razie, od jakiegoś czasu... Oczywiście, kiedy mój brat się ożeni, zamieszkać we własnym domu. Zastanawiam się nad przeprowadzką do Bath.

– Chyba nie opuści pani wicehrabiego?! – wyrwało się mimowolnie Melii. – Wiem, jaki jest do pani przywiązany i jak ceni sobie pani radę w każdej sprawie.

– Z chwilą gdy zostanie kochającym mężem, będzie się zwracał do damy, którą poślubi, a ja nie będę chciała przeszkadzać jej w prowadzeniu domu.

– Och, a jeżeli ona wolałaby zostawić to pani? – Twarz Melii była jak otwarta księga. Widać było, że nie interesują jej obowiązki gospodyni domu, lecz myśli tylko o przyjemnościach płynących z bycia ślubną żoną, rozpieszczaną przez oddanego męża. – Jego żona może być młoda i mieć nikłe pojęcie o zarządzaniu domem. Przyznam, że nie znoszę mieć do czynienia ze służbą. Nie uważa pani, że oni zawsze zadzierają nosa, kiedy zorientują się, że ktoś się na czymś nie zna?

Jane przestała się śmiać w duchu i odpowiedziała z powagą:

– Trzeba wiedzieć, czego się chce. Najważniejsze, by służba darzyła cię respektem. Dlatego polecenia należy wydawać spokojnie, acz stanowczo. Oczywiście dobrze, jeżeli będziesz przez nich lubiana. Musiałaś chyba to zauważyć, mieszkając u twojej ciotki.

– Ach, skądże znowu – odparła szczerze Melia. – Ciocia jest strasznie leniwa. To lokaj wszystkim rządzi wedle jej życzenia. Jest z nią od jej panińskich czasów i traktuje ją jak dobroduszny wujaszek. Nie widziałam, żeby ciocia kiedykolwiek wydawała jakieś instrukcje. To Benson dba o wszystko i nie trzeba mu nawet nic mówić.

– To szczęście mieć tak oddanego człowieka.

– Niestety, ona wciąż tylko narzeka, choć nigdy przed Bensonem, rzecz jasna. Mogłaby mieć, czego dusza zapragnie, gdyby się trochę ruszyła, ale ona chce tylko świętego spokoju i wszystko jest na głowie Bensona. A potem zrzędzi, że posiłki nie są takie, jak sobie życzyła.

– No cóż, przynajmniej wiesz, jak nie należy prowadzić domu – podsumowała Jane, robiona opisem rozleniwionej pani Bellingham. – A teraz rozgość się, moja droga, i zjedź na dół, kiedy będziesz gotowa. Zamówiłam herbatę do salonu na dole za pół godziny, ale mogą ci przynieść tacę na górę, jeśli wolisz odpocząć.

– Nie jestem ani trochę zmęczona – oświadczyła Melia. – Przyjdę na dół, żeby się przyłączyć... Czy chodzi o ten przyjemny, słoneczny pokój na tyłach domu?

– Tak. Należał do mamy, dopóki nie wyszła ponownie za mąż – odparła Jane. – Teraz, oczywiście, ma tuzin ładnych pokoi do wyboru... a jeśli jeszcze coś jej się zamarzy, wystarczy, że poprosi Porkey'ego.

– Czy tak nazywacie księcia? – zapytała Melia z psotnym błyskiem w oku, a Jane ze

śmiejem pokiwała głową. – Oczywiście, to do niego pasuje, ale jak można tak brzydko przezywać takiego cudownego człowieka! Był dla mnie taki miły, kiedy zostałam druhną na jego ślubie z waszą mamą. Dał mi też w prezencie piękną złotą bransoletkę.

– Roshithe to wspaniały człowiek. Jest dla nas wszystkich bardzo dobry i opiekuńczy – zgodziła się Jane. – Nazwali go Porky wiele lat temu i tak już pozostało. Ale on się tym nie przejmuję, bo wie, że mówimy tak do niego pieszczotliwie. Natomiast wrogowie wyniosłym tonem zwracają się do niego per Roshithe, czego on nienawidzi. Ty powinnaś mówić do niego „sir”, chyba że pozwoli ci mówić do siebie po imieniu.

– Nie ośmieliłabym się. Chyba będę go tytułować.

– Od razu cię ostrzegę, że nie znosi takiego podlizywania się, panno Bellingham. Lepiej mówić do niego po prostu „sir”.

– Postaram się zapamiętać – obiecała Melia. – A czy pani może mówić mi po imieniu?

– Jeżeli sobie tego życzysz. Z wzajemnością, oczywiście. Dla rodziny i przyjaciół jestem po prostu Jane.

– Tak, wiem. Wicehrabia Salisbury zawsze mówi o tobie w ten sposób. Jest do ciebie ogromnie przywiązany, Jane.

– To prawda, byliśmy ze sobą bardzo zżyci... A teraz zostawię cię, żebyś mogła się przebrać.

Jane wyszła z pokoju, rzeczywiście najładniejszego w całym domu, urządzonego w odcieniach różu, kości słoniowej i ciemnej purpury, ze starannie dobranymi zasłonami z jedwabiu w biało-różowe pasy. Ustawiony na jej życzenie bukiet pąsowych róż na toaletce, miał podkreślać serdeczne powitanie młodej damy, która może nawet zostać kolejną panią tego domu.

Schodząc na dół, do swego ulubionego salonu, Jane pomyślała, że oznaczałoby to ogromne zmiany w jej życiu. Będzie jej brakowało roli pani domu, jaką odgrywała u boku brata, a przewodniczka do Bath postawi jej świat na głowie. Była jednakże zdecydowana ustąpić miejsca bratowej, mimo sugestii Melii, że z chęcią pozostawiłaby zarządzanie domem w jej rękach. Z czasem mogłoby to jednak doprowadzić do niesnasek i może nawet padłyby między nimi jakieś przykre słowa. Oczywiście, Melii przyda się na początku pomoc, lecz gdy nabierze wiary we własne siły, nie będzie sobie życzyła obecności innej kobiety w swoim domu. Co do tego Jane nie miała wątpliwości.

Jane zaczęła się już rozglądać za nowym lokum w Bath, choć nie potrafiła powiedzieć, czy woli wynająć coś na czas poszukiwań, czy też od razu kupić dom. A ponieważ trzeba go będzie potem urządzić, więc postanowiła także poszukać stosownych mebli. Przecież nawet gdyby znalezienie sobie żony zajęło Willowi trochę czasu, i tak to koniec końców, nastąpi, a ona nie miała najmniejszej ochoty osiąść na wsi, w domu odziedziczonym po mężu.

„Trochę tu smutno i nudno na tym odludziu” powiedział jej Harry w dniu, w którym zabrał ją, aby jej pokazać swą wiejską posiadłość. „Ale możemy wszystko ładnie urządzić, a z chwilą gdy pojawią się dzieci i służba, stanie się naszym prawdziwym domem...”

Jane nawet nie przyszło do głowy, że jej szczęśliwe małżeństwo zakończy się tak nagle. Myślała, że ma przed sobą całe lata z Harrym, a tymczasem dane jej było przeżyć zaledwie rok szczęścia.

Nie, dość tego! – skarciła się w duchu. Czas pomyśleć o przyszłości. Napisała już do kuzynki Sarah, postanowiła także popytać, z kim powinna się skonsultować w kwestii urządzenia domu...

– Ach, jak miło, że znów jest pani z nami, lady March. – W holu na dole wyszła jej naprzeciw pani Yates, londyńska gospodyni Willa. – W salonie czeka już na panią cały stos listów. Śmiem twierdzić, że przyjaciele milady musieli znać pani plany, gdyż większość z nich wygląda

na zaproszenia.

– Śmiałam twierdzić, że tak – zgodziła się Jane. – Mama, oczywiście, wiedziała o naszym przyjeździe i najpewniej poinformowała większość swoich przyjaciół... czyli wszystkich tych, którzy wydają przyzwoite przyjęcia...

Roześmiała się, po czym wzięła plik listów i kartek i zaczęła je przeglądać. Trzy zostały napisane ręką jej matki i zawierały listę przyjęć i wystaw, na których Jane absolutnie musi się pojawić. Matka zamierzała odwiedzić ją nazajutrz po przyjeździe i tego samego dnia wieczorem Jane miała się u niej stawić na kolacji wraz z tą uroczą młodą damą, którą zaprosiła do Londynu.

Jane odłożyła na bok listy od matki i zabrała się za otwieranie następnych. Większość rzeczywiście stanowiły zaproszenia na tańce, maskarady, pikniki, kolację oraz wielki bal. Gdyby chciała pojawić się choć na moment na każdym z tych wydarzeń, aby nie urazić gospodarzy, musiałaby tego samego wieczoru być co najmniej w trzech miejscach. A to dopiero wierzchołek góry lodowej, bo gdy rozejdzie się wieść, że bawi w Londynie, zaproszenia zaczną napływać prawdziwie szerokim strumieniem.

Z westchnieniem sięgnęła po kremową kopertę zaadresowaną do lady March nieznanym jej pismem. W środku znalazła pojedynczy arkusik z krótkim tekstem. Zmarszczyła brwi i zaczęła czytać.

*Wielmożna Lady March,
wybaczy Pani, że pozwalam sobie pisać, mimo że się nie znamy, poinformowano mnie jednak, że moja podopieczna, panna Amelia Bellingham, ma się zatrzymać u Pani w Londynie. Będę zatem zobowiązany, jeśli powiadomi mnie Pani o Waszym przyjeździe i pozwoli złożyć mi Paniom wizytę.*

Pozostaję z szacunkiem.

Paul Frant

Krótko, zwięźle i niezbyt przyjaźnie, pomyślała Jane, raz jeszcze rzucając okiem na treść listu. Nie miała pojęcia, że istnieje jakiś inny opiekun Melii oprócz pani Bellingham. Owdowiała stryjenka dziewczyny wydawała się predestynowana do tej roli, jednak ów lord Frant najwyraźniej był innego zdania.

Trochę ją to zaniepokoiło, gdyż z listu wręcz wiało chłodem. Jego autor musiał być dosyć poirytowany, a napisał go zaledwie dzień wcześniej. Czy Melia w ogóle zna tego dżentelmena? Trzeba będzie ją o to zapytać, gdy przyjdzie na herbatę, pomyślała, biorąc się do otwierania reszty kopert, w których znalazła dwa kolejne zaproszenia na bal oraz jedno do teatru – od bliskiego znajomego jej matki.

Jane wpadła mu w oko podczas swego poprzedniego pobytu w Londynie i od tamtej pory parokrotnie jej się oświadczał. Kilka lat od niej starszy major Harte był wdowcem z dwiema młodziutkimi córkami, potrzebującymi matczynej ręki. Rozumiała więc jego nalegania, ale zawsze dawała mu taką samą odpowiedź – nie jest jeszcze gotowa na powtórne małżeństwo...

Właśnie skończyła dzielić listy na dwa stosiki – te, na które trzeba odpowiedzieć, i całą resztę, gdy drzwi otworzyły się i gospodyni przyniosła tacę, a za nią do pokoju wkroczyła Melia.

Rozlano herbatę i Jane zwróciła się do Melii:

– Pomyślałam sobie, że zjemy dziś kolację w domu. To jedyny wolny dzień, ponieważ od jutra mamy zaproszenia na prawie każdy wieczór, aż do końca pobytu.

Melia wyglądała na zachwyconą.

– Czy mogłybyśmy odwiedzić księżną dziś po południu? Strasznie lubię twoją mamę, Jane.

– Mama dała mi znać, że nie będzie jej dzisiaj w domu, ale złoży nam wizytę jutro po południu. Możemy jednak odwiedzić moją krawcową i modystkę. Myślę, że przydadzą ci się nowe

stroje. Twoje są ładne, lecz nie aż tak szykowne, jak tego wymaga londyńska moda.

– Ciocia dała mi pięćdziesiąt funtów, ale nie wiem, czy można kupić za to coś ładnego...

– Kochanie, twoja ciocia kazała przysyłać sobie wszystkie rachunki od krawca – powiedziała z uśmiechem Jane. – Nie chce, żebyś wydawała swoje kieszonkowe na stroje. Zdejmiemy więc miarę i zobaczymy, czy nie ma czegoś gotowego, co pasowałoby na ciebie po drobnych poprawkach.

– Myślisz, że mogą coś mieć? Tam, gdzie mieszkam, trzeba czekać wieki na skompletowanie garderoby... – Melia sceptycznie pokręciła głową.

– Och, pewna jestem, że *Madame* Françoise będzie w stanie załatwić to znacznie szybciej – zapewniła ją Jane. – Ma do pomocy wiele dziewcząt i uszycie prostej sukni zajmuje jej nie więcej niż dzień. Może też mieć u siebie jakieś na wpół gotowe suknie, z odwołanych zamówień, które można by wykończyć wedle twego życzenia.

– Och, to świetnie. – Melia była coraz bardziej podekscytowana. – To kiedy możemy tam pojechać?

– Wypijemy herbatę, zjemy te pyszne kanapki i ciasteczka przyniesione przez panią Yates, a potem możemy ruszać w drogę. Powiem, żeby nam podstawili powóz za godzinę...

Jane wstała, aby zadzwonić na służbę, i nagle przypomniała sobie o tym niepokojącym liście.

– Słyszałaś o jakimś Paulu Francie? – zapytała. – Czy to on odziedziczył wszystko po twoim ojcu?

– Lord Frant, tak... – Melia stropiła się, a jej ręka sięgająca po kanapkę zamarła w pół drogi. – Chyba jest w Indiach...

– Z listu, jaki przyszedł dziś rano, wynika, że musi być w Anglii, bo słyszał już, że zatrzymasz się u mnie w Londynie. Chce się z nami spotkać jak najrychlej. Wiedziałaś, że wraca do Anglii?

– Tak, ale nie wiedziałam kiedy – odparła wymijająco Melia. – Przysłał jakiś list, jednak bez konkretów. Nie widzę żadnych powodów, dla których jego plany miałyby kolidować z moimi...

– Ja też nie – odpowiedziała Jane bez przekonania. Melia nie była przecież pełnoletnia i jeżeli jej opiekun postanowił cofnąć zgodę na ten wyjazd, ma do tego prawo. Natomiast dziewczyna ewidentnie zlekceważyła jego polecenia. – Co kazał ci zrobić?

– Och, wspomniał coś o moim powrocie do rezydencji ojca i że przyśle mi opiekunkę. – Melia wzruszyła ramionami. – Tak czy owak, było to bardzo niejasne, a ja już i tak miałam zaaranżowany wyjazd. Jeżeli on życzy sobie, żebym zamieszkała w Willow House z jakąś przyzwoitką, musi uzgodnić to z moją ciotką. Tak się to robi, prawda? W końcu, nic nie wiem o tym lordzie Francie – ani o tej pani, którą chce mi narzucić.

– Byłoby najlepiej, gdyby porozmawiał z wami obiema, aby się upewnić, czego sobie życzy – przyznała Jane, która zaczęła się lekko niepokoić o swoją młodą przyjaciółkę. Nie chciała przecież wchodzić w konflikt z kimś, kto mógł zrobić dla Melii coś dobrego. Oczywiście, nie chodzi tu o jej posag, gdyż Will, gdyby zdecydowała się wyjść za niego, był wystarczająco zamożny, aby utrzymać żonę.

– No cóż, napiszę dziś wieczorem. – Jane zmieniła temat. – Zjedz spokojnie, a potem przebierzemy się i pojedziemy do krawcowej. Posłałam jej wiadomość, więc się nas spodziewa...

– Och, cóż za ślicznotkę mamy dziś ubrać... – *Madame* Françoise wręcz rozplýwała się w zachwytach nad szczupłą figurą Melii. – Toż to ideał, prawda?

– Tak. Myślę że Melia robi bardzo dobre wrażenie – powiedziała Jane. – Zwłaszcza gdy zadebiutuje na salonach w jednej z pani kreacji, *madame*. Czy ma pani coś, co mogłaby prawie

natychmiast włożyć na siebie?

– Tak, może... tę niebieską, jedwabną... i tę z żółtej siateczki... Przynieście mi je, dziewczęta, raz dwa! – Madame Françoise klasnęła w ręce i szwaczki pobiegły po suknie.

Koniec końców, Jane i Melii zaprezentowano cztery niedokończone zamówienia, które można było bez trudu dokończyć, zgodnie z życzeniem panny Bellingham. Melia była oczarowana tym, choć przytłoczył ją bogaty wybór materiałów, fasonów i dodatków.

W końcu Jane stwierdziła, że wystarczy atrakcji jak na jeden dzień, i obiecała madame Françoise kolejne wizyty, dopóki nie skompletują stosownej garderoby.

Gdy późnym popołudniem wracały powozem do domu, Melia podekscytowana nie przedstawiała paplać o zamówionych sukniach, gdy nagle umilkła i spojrzała z niepokojem na Jane.

– Czy nie jestem zbyt rozrzutna? – spytała cicho. – Mam bardzo mało własnych pieniędzy, a ciocia już i tak była nazbyt hojna...

– Pani Bellingham nie jest biedna – powiedziała Jane. – Pragnie, abyś zaprezentowała się w najlepszym stylu, Melio. Na twoim miejscu wcale bym się nie martwiła. Za wszystko zapłacę, a ciocia mi później zwróci.

– Jesteście dla mnie takie dobre... – Melia westchnęła z nieśmiałym uśmiechem, którym zdaniem Jane urzekła jej brata. Ona sama również uległa urokowi młodej panny i uważała, że jeśli Will się z nią ożeni, będzie szczęśliwy, gdyż Melia miała bardzo pogodne usposobienie – nawet jeżeli od czasu do czasu zdarzało jej się naginać nieco prawdę.

Były już prawie u celu, kiedy zobaczyły, jak z domu Willa wychodzi jakiś mężczyzna. Nieznajomy przystanął na moment w słońcu i rozejrzał się lekko zniecierpliwiony, po czym odszedł w przeciwnym kierunku. Nie musiały się długo zastanawiać kto to, bo ledwie weszły do środka, wpadły na Willa, który na ich widok wykrzyknął:

– Ach, nareszcie jesteście! Lord Frant wstąpił tu w nadziei, że się z tobą zobaczy, Melio. Był dosyć niezadowolony, że was nie zastał w domu. Dziwił się też, że zatrzymałyście się u mnie. Musiałem mu dopiero tłumaczyć, że Jane mieszka tu ze mną, a ty jesteś jej przyjaciółką...

– Nie rozumiem, czemu miałby być niezadowolony – obruszyła się Jane. – Dostałam jego list i zamierałam odpisać i umówić się któregoś przedpołudnia, jeszcze w tym tygodniu. A skoro wpadł bez zapowiedzenia, nie może mieć pretensji, że nikt na niego nie czekał.

Will wydawał się zaskoczony jej ostrym tonem.

– Nie wiedziałem, że go znasz, Jane.

– Ależ nie znam go – odparła ze śmiechem. – To jego list mnie tak rozsierdził. Kiedy ty udałaś się do klubu, my pojechałyśmy do krawcowej zamówić kilka nowych sukien dla Melii. Gdyby napisał, że przyjdzie dziś po południu, przełożyłabym na jutro wizytę u *Madame Françoise*. Choć nie wiem, jak Melia miałaby się pokazać publicznie bez przyzwoitej garderoby...

– Rozumiem, że już się wszystkim zajęłaś. – Will uśmiechnął się do siostry. – A jeśli chodzi o Melię, ładnemu we wszystkim ładnie.

W jego słowach tkwiło sporo prawdy, gdyż Melia ubrana w prostą sukienkę z żółtego muszlinu i słomkowy kapelusik oblamowany dobraną wstążką, wyglądała naprawdę uroczo. Jednak dopiero jedwabny szal pożyczony od Jane nadawał całości miejskiego poloru. Will nieświadomie patrzył na swą ukochaną przez różowe okulary. Natomiast gdyby jego siostra pokazała się w Londynie w tak skromnej sukni, byłby niemile zaskoczony.

– Napiszę do lorda Franta z wyjaśnieniem – powiedziała Jane. – Will, proszę, zadzwoń, żeby przynieśli nam herbatę – a gdy ja zajmę się listem, Melia dotrzyma ci towarzystwa. Chyba że ma jakieś pilniejsze zajęcia...

Melia uśmiechnęła się, demonstrując rozkoszne dołeczki w policzkach, i potrząsnęła głó-

wą, po czym oboje przeszli do frontowego salonu, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Widać było, że czują się ze sobą bardzo swobodnie, co, zdaniem Jane, dobrze wróżyło na przyszłość. Nie miała jednak pewności, czy młoda panna myśli o małżeństwie równie poważnie, jak Will.

Po ich wyjściu Jane przeniosła się do mniejszego saloniku i usiadła, by napisać uprzejme wyjaśnienie, że obie udały się do krawcowej, gdyż Melia będzie potrzebowała stosownej garderoby na ten sezon. Przeprosiła też lorda Franta za stratę czasu, lecz gdyby wiedziała, że zaplanował wizytę, poczekałyby na niego w domu.

Zadowolona z listu, równie chłodnego, jak jego własny, lecz znacznie uprzejmiejszego, włożyła go do koperty i na woskowej pieczęci odcisnęła herbowy sygnet Harry'ego. Niech ten lord Frant zobaczy, że ma do czynienia z wdową po lordzie March, a nie z jakąś nieważną osobką, której wolno mu rozkazywać! – pomyślała.

Poinformowała go na koniec, że w tym tygodniu są uchwytne w domu co dzień rano, od dziesiątej trzydzięci do dwunastej, więc w tych godzinach będzie mile widziany, o innej porze natomiast może nikogo nie zastać.

Paul obracał w palcach list, dostarczony mu akurat wtedy, kiedy przebierał się na wieczór, gdyż zostali z Adamem zaproszeni przez pewnego dżentelmena na kolację i karty. Przyjęli zaproszenie z wielką chęcią, ponieważ poznali go, służąc w armii Wellingtona.

List wydał mu się dziwny i Paul nie wiedział, co o nim sądzić. Pachniał pięknie nieznanymi perfumami łechcącymi miłe zmysły, znacznie lżejszymi niż te, do których przywykł w Indiach. Charakter pisma także był piękny, ale treść, choć uprzejma, brzmiała raczej chłodno. Nie rozumiał zupełnie, czym sobie na to zasłużył. Wiedział wprawdzie, że damom w średnim wieku zdarza się traktować wyniośle młodszych oficerów, ale jego nigdy coś takiego nie spotkało.

Owa lady March to pewnie jakaś stara jędza, powiedział sobie w duchu i westchnął ciężko na myśl, że będzie zmuszony ją odwiedzić. Zawsze starał się trzymać jak najdalej od takich napszonych matron, a teraz nie miał wyjścia, skoro jego podopieczna odrzuciła propozycję powrotu do swego rodzinnego domu. Gdyby był żonaty, bez wahania nakazałby pannie Bellingham spełnić wszystkie zalecenia. Jako kawaler tuż po trzydziestce musiał być ostrożny w kontaktach z tą młodą panną i dogadać się jakoś z tą nadętą kwoką, która ją przywiozła do Londynu. Nigdy nie poznał wicehrabiego Salisbury lub kogoś z jego rodziny, słyszał jednak od pani Bellingham, że to ludzie zamożni i poważani. Początkowo myślał, że lady March jest młodsza, lecz sądząc po tonie jej listu, chyba się pomylił.

No cóż, do tej sprawy powróci jutro rano. Tymczasem należało jak najszybciej umeblować dom. Podziękował już lady Moirze za pomoc, obawiając się, że może źle odczytać jego intencje. Choć niewątpliwie mogła uchodzić za atrakcyjną, wolał nie rozbudzać jej nadziei na ożenek. Przypominała mu piękną kurtyzanę, którą zaproponował mu pewien indyjski książę w dowód wdzięczności za ocalenie życia.

„Zawdzięczam ci życie, *sahib*”, powiedział wtedy do Paula. „Selima pochodzi z królewskiego rodu. Możesz ją mieć na każde zawołanie. Jest nauczona zadawać mężczyznom i zademonstruje ci sztuczki, o jakich ci się nawet nie śniło, mój drogi wybawco”.

Paul zaśmiał się tylko w duchu, słysząc tę zaszczytną propozycję. Odmówił jednak jak najuprzejmiej, gdyż zraził go dziwny błysk w oczach Selimy, który mógł świadczyć o jej przebiegłej naturze. Gdyby odmówił wprost, zostałoby to uznane za obrazę, musiał więc naprędce wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Powiedział zatem, że szykuje się do ślubu ze swoją angielską narzeczoną, i do tego czasu musi wyrzec się cielesnych uciech, aby zachować wszystkie siły dla młodej żony.

Argumenty Paula spotkały się z aprobatą młodego księcia, który klasnął w ręce i stwierdził z powagą, że *sahib* to mądry człowiek, skoro nie chce tracić sił na kurtyzanę, mogąc mieć

młodą, rozkoszną żonę. A gdy wróci do Indii już jako ojciec, Selima będzie na niego czekała.

Prawdę mówiąc, nikt nie wątpił w rychły powrót Paula. Kto chciałby mieszkać w zimnym, wilgotnym klimacie, mogąc żyć dostatnio w bajkowych pałacach, gdzie szemrzące fontanny przynoszą chłód, a w sadzawkach, wśród zapachu lilii, kąpią się piękne kurtyzany, gotowe na każde skinienie swego pana i władcy? Żona jest potrzebna po to, aby dać mężowi synów i dzieciów fortuny – lecz kiedy już się ich ma, jest jeszcze tyle innych przyjemności...

Paul jednak wciąż nie wiedział, czego tak naprawdę chce. Od przyjazdu, czyli od prawie dwóch tygodni, wizytował różne posiadłości z nadzieją, że zastanie pannę Bellingham tam, gdzie miała na niego czekać. A skoro jej tam nie było, odwiedził jej ciotkę, po czym wrócił do Londynu w bardzo kiepskim humorze. Wciąż jeszcze nie odzyskał w pełni sił, a dodatkowa podróż okazała się stratą czasu. Nieobecność jego podopiecznej tego popołudnia, kiedy przyszedł złożyć jej wizytę, przepełniła czarę goryczy. A teraz jeszcze ten list... Niewiele brakowało, a sprzedałby swoje dobra i wrócił do Indii. Nie widział powodów, aby tu zostać, i zaczął myśleć o tym, aby zarezerwować miejsce na statku w przyszłym miesiącu, a likwidację majątków zlecić swoim agentom i prawnikom.

Następnego ranka Jane zeszła na dół, aby napisać kilka listów, gdy usłyszała stukot kołatek – tak natarczywy, że nieomal władczy. Zawahała się, a potem, w odpowiedzi na pytające spojrzenie lokaja, oznajmiła:

– Jeżeli to do mnie, jestem w salonie, John.

Poszła do pokoju, zasiadła przy biurku, umoczyła pióro w kałamarzu i ledwie zaczęła odpowiadać na jedno z zaproszeń, ciche pukanie do drzwi obwieściło przybycie niecierpliwego gościa. Drzwi otworzyły się i zaanonsowano człowieka, którego się spodziewała. Podniosła się wolno zza biurka, spojrzała na wchodzącego mężczyznę i serce jej szybciej zabiło. Był od niej co najmniej o głowę wyższy, a przecież sama uchodziła za wysoką. Harry był nieco niższy, co nie miało dla niej znaczenia, gdyż byli w sobie strasznie zakochani – ale ten człowiek mógł patrzeć na nią z góry. W pierwszej chwili jego twarz wydała jej się surowa, lecz niewyróżniająca się niczym. Potem jednak spojrzała mu w oczy – gorejące i jakby nawiedzone.

– Przyszedłem porozmawiać z lady March oraz moją podopieczną, panną Amelią Bellingham. Będzie pani tak łaskawa poprosić je na dół?

– Lady March to ja i z całą pewnością poproszę Amelię na dół, ale może rozsądniej byłoby porozmawiać przedtem w cztery oczy?

– Ach, to pani... ale jest pani o wiele młodsza... – Gość wydawał się wyraźnie zaskoczony.

– A co panu mówili? – Jane nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Domyślam się, że rozmawiam z lordem Frantem. – Z całą pewnością jestem lady March. Mój brat, wicehrabia Salisbury, może to potwierdzić.

– Nie, skądże znowu, nie trzeba... zechce mi pani wybaczyć – odparł gość z błyskiem w oku. – Sądząc po... zresztą, to bez znaczenia. Mam nadzieję, że nie sprawiam pani kłopotu, ale napisała pani, że można przyjść każdego dnia o tej godzinie...

– Tak, istotnie – rzekła Jane. – Melia przymierza właśnie suknie dostarczone tego ranka. Każę ją za moment poprosić, jednak najpierw ustalmy, dlaczego tak pilnie musi się pan z nami obiema zobaczyć.

– Chciałem ją tylko poznać – odparł gość, i nagle jakby uszła z niego cała energia. – Jej ojciec bez mojej wiedzy i zgody uczynił mnie opiekunem prawnym Amelii i Elizabeth. Starsza siostra wyszła już za mąż, ale myślałem, że... – urwał, jakby nie wiedział co powiedzieć. – Nigdy nie miałem zamiaru wypraszać ich z rodzinnego domu i chciałem się upewnić, czy one – a zwłaszcza panna Melia – mają wszystko, czego potrzeba dla ich szczęścia i wygody.

– Ach, to znaczy, że się zgadzamy. – Jane uśmiechnęła się do gościa, który spoglądał na nią jak ogłuszony. – Melia jest moją przyjaciółką i, choć to jeszcze nic pewnego, któregoś dnia może zostać moją bratową. Brat mój wydaje się nią oczarowany i jeśli się okaże, że do siebie pasują, zamierza poprosić ją o rękę...

– Doprawdy... – Lord Frant nie przestawał wlepiać w nią wzroku. Miał tak skołowaną minę, że zrobiło jej się go żal. Pewnie przyszedł podminowany, spodziewając się kłótni, tymczasem z jakichś powodów jego gniew zamiast wybuchnąć, zgasł, a on wyglądał jak przekłuty balon. – Miło mi słyszeć, że panna Melia ma tak korzystne perspektywy na przyszłość. Intencją moją było, i nadal jest, przekazać jej, a także jej siostrze, po pięć tysięcy funtów. To mniej więcej tyle, ile spodziewam się dostać ze sprzedaży posiadłości Bellinghamów. Zapewniam, że nie zamierzam czerpać z tego żadnych korzyści.

– Więc nosi się pan z zamiarem sprzedaży? – Oczywiście Jane lustrowały go z uwagą. – Myślałam, że wrócił pan na stałe do Anglii, aby zamieszkać w Willow House.

– O tym jeszcze nie zdecydowałem – odrzekł i nagle jakby oprzytomniał. Gdy uśmiechnął się do niej, zobaczyła, że usta ma łagodne i zmysłowe, a nie zimne i zacięte, jak z początku sądziła. – Jeszcze nie wiem, co zrobię... Zależy to od wielu rzeczy...

– Widzę, że doszliśmy szczęśliwie do porozumienia. – Jane nagle uświadomiła sobie, że źle go oceniała. – Przyślę Melię na dół, to będziecie mogli porozmawiać w cztery oczy.

– Och nie, nie – zaprotestował pospiesznie. – Proszę posłać po nią lokaja. Nie mam jej nic takiego do powiedzenia, czego miałyby pani nie słyszeć...

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Jutro wybieramy się do teatru – oznajmił Paul Adamowi, gdy spotkali się później w klubie bokserkim. – Drogi przyjacielu, proszę cię, zarezerwuj sobie wolny wieczór. Chcę, abyś dotrzymał towarzystwa mojej podopiecznej, gdy ja będę zabawiał jej opiekunkę.

– Masz na myśli lady Moirę? – Adam skrzywił się, gdyż dama, którą Paul wybrał do tej funkcji, nie wzbudziła jego sympatii.

– Ach, nie, wszystko się zmieniło – poinformował go Paul niefrasobliwie. – Lady March będzie nam towarzyszyć. Melia świetnie się u niej czuje i nie ma sensu jej stamtąd zabierać, skoro się zadomowiła. Poza tym pomysł z teatrem pojawił się spontanicznie. Poprosiłem wicehrabiego Salisbury, brata lady March, aby zechciał nam towarzyszyć, ale on był już umówiony na karty.

– Więc pomyślałeś sobie, że ja wyświadczę ci tę przysługę, tak? – Adam spojrzał na niego z wyrzutem. – Pewnie ta panna Bellingham przypomina kobyłę?

Paul parsknął śmiechem.

– Moim zdaniem jest całkiem ładna, choć nie może się równać z lady March... Doprawdy ona jest cudowna. Naprawdę cudowna...

– Boże, gdyby nie to, że cię dobrze znam, pomyślałbym, że cię zauroczyła – stwierdził Adam. – Dopadło cię, prawda? Jest piękniejsza niż Annamarie?

– Jest zupełnie inna i absolutnie zjawiskowa... Co tak na mnie patrzysz? – Paul pokręcił głową. – Nawet nie wiesz, jaki napisała do mnie list! Myślałem że to jakaś stara jędza, i poszedłem, żeby ją znokautować... Wystarczyło jednak spojrzenie jej oczu, abym stanął jak oniemiały. Nigdy w życiu czegoś takiego nie doświadczyłem. Zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć... A kiedy się uśmiechnęła, po prostu dech mi zaparło.

– Wpadłeś po uszy, mój drogi – skonstatował Adam z niedowierzaniem. – W Indiach mogłeś mieć każdą kobietę, jaką tylko zechcesz... łącznie z angielską hrabianką, ale ty nawet na żadną nie spojrzalesz.

– Poczekaj tylko, aż ją zobaczysz – powiedział Paul. – I jeżeli ci życie miłe, nie próbuj się w niej zakochać! Ona jest moja...

– Chcesz walczyć o nią na śmierć i życie, prawda? – zakpił Adam, sądząc, że przyjaciel żartuje, lecz zamilkł, gdyż Paul miał odpowiedź wypisaną na twarzy. – Co ona ma takiego w sobie, ta lady March?

Paul patrzył na niego w milczeniu przez kilka chwil, aż wreszcie potrząsnął głową.

– Niech mnie diabli, ale nie wiem, Adamie. Jest piękna, lecz nie o to chodzi... może to przez te jej roześmiane oczy, choć to też jeszcze nie wszystko. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia... To spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Byłem wściekły, uważałem się za stronę poszkodowaną i zamierzałem dochodzić swoich praw, ale potem... wszystko stało się tak nagle. W jednej sekundzie chciałem udusić tę kobietę, a już w następnej musiałem użyć całej siły woli, by nie porwać jej w ramiona i nie całować, aż stanie się uległa.

– Nawet nie próbuj – doradził mu Adam. – Dziś rano spotkałem w klubie jej brata. Powiedział mi, że lady Jane wciąż oplakuje męża, który zginął zaledwie przed dwoma laty.

– Jane... więc na imię jej Jane? Słodka Jane, moja kochana... – Paul westchnął głęboko. – Tak, słyszałem, że niedawno owdowiała, ale nie zdawałem sobie sprawy... Myślałem, że jest starsza. To kobieta wręcz dla mnie stworzona. Jeżeli mnie nie zechce, nigdy się nie ożenię.

– Nonsens – skarcił go Paul. – Przecież nawet jej nie znasz. Może się okazać, że ma przy-

kry charakter i ostry język.

– Może i tak być – przyznał z żalem Paul. – Jej list był zdecydowanie oschły, choć może sobie na to zasłużyłem.

– Uważaj, przyjacielu. Nie spiesz się, bo jeśli od razu skoczysz na głęboką wodę, widzę tylko dwie możliwości: albo ona poluje na męża i weźmie cię dla twoich pieniędzy, albo szczerze kochała zmarłego i z miejsca odmówi, łamiąc ci serce.

– Nie sędzę, aby brakowało jej pieniędzy – zauważył Paul. – Nie wygląda mi też na to, że szuka męża. Natomiast całkiem możliwe, że da mi kosza. Masz rację, to wymaga przemyślanej strategii – nie mogłem się jednak powstrzymać, aby ci nie opowiedzieć o swoich uczuciach. Jesteś jedyną oprócz niej osobą na świecie, na której mi zależy. Gdybyś był moim bratem, uważałbym się za szczęśliwca.

– Skoro już mowa o rodzeństwie, masz jakieś wiadomości od twego przyrodniego brata?

– Marka? Nie, i nawet na to nie liczę. Pewnie jest już w Harrow albo w Eton; słyszałem też, że jego matka wyszła po raz drugi za męża, za kogoś majątnego. Podejrzewam, że uważała mego ojca za bogacza i musiała być zawiedziona, kiedy odkryła, że nie tylko nim nie jest, ale na dodatek uprawia hazard. Pewnie wydał wszystko, co miała, a jej została tylko wdowia odprawa.

– Nie zamierzasz wypłacić jej jakichś pieniędzy, mam nadzieję? – zaniepokoił się Adam.

– Z całą pewnością nie – odparł twardo Paul. – Jeżeli o mnie chodzi, może sobie iść w diabły, razem ze swoim bachorem. Nosiła go już, kiedy brała ślub z moim ojcem. Ich romans musiał się zacząć, jeszcze zanim moja matka umarła z rozpacz.

– Cieszę się, że podjąłeś taką decyzję – przyznał szczerze Adam. – Masz tylko jedną słabość: zbyt miękkie serce dla tych, którzy popadli w kłopoty. Nie daj się wykorzystywać swojej rodzinie... i upewnij się, że ta wdowa jest taka, jak myślisz, zanim się jej oświadczysz.

– Już dziś na kolanach prosiłbym ją o rękę, gdybym miał pewność, że powie „tak” – odpowiedział Paul z cierpkim uśmiechem. – Nie martw się, przyjacielu. Zgodnie z twoją poradą będę rozważny we wszystkich innych sprawach, lecz tam, gdzie chodzi o Jane...

Adam pokręcił głową z rezygnacją, lecz nagle uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę takie słowa z twoich ust, ale skoro tak... życzę ci wiele szczęścia.

– Poczekaj z tymi życzeniami do chwili, kiedy przyjmie moje oświadczenia – powiedział Paul. – No więc, pójdziesz z nami do teatru?

– Nie ma takiej siły, która by mnie powstrzymała w tej sytuacji – Adam zapewnił go z rozbawieniem. – Jestem bardzo ciekaw tej panny Bellingham – a jeszcze bardziej interesuje mnie lady March...

– Nie jestem zadowolony, że zgodziłaś się pójść do teatru z tym człowiekiem – zwrócił się Will do siostry tego samego dnia przy podwieczorku. – Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybym mógł wam towarzyszyć, ale prawie go nie znamy i wolałbym, aby się nie kręcił koło Melii...

– Ufam, że to dżentelmen. – Jane z uśmiechem położyła mu rękę na ramieniu. – Nie martw się, mój kochany. Lord Frant interesuje się Melią wyłącznie jako swoją podopieczną. Myślę, że to dla niego spory kłopot, więc z radością zostawił ją pod moją opieką, gdy się przekonał, że jesteśmy poważaną rodziną. Zamierza jej wypłacić pięć tysięcy funtów, a to przyzwoita suma. Oczywiście tobie obojętna jest wysokość jej posagu, ale inni mogą myśleć inaczej.

– Nie obchodzi mnie, co myślą inni – stwierdził Will wyniosłym tonem. – Melia ma już zabezpieczoną przyszłość... jeśli tylko zechce...

Jane spojrzała na niego wymownie.

– Melia jest łagodna i miła i wiem, że może dać ci szczęście... ale nie bierz tego za pew-

nik. Jej londyńska wyprawa może przynieść skutki dalekie od twych intencji...

– Myślisz, że mogłaby się zakochać w kimś innym?

Will wydawał się tak dotknięty, że Jane dopadły wyrzuty sumienia. Musiała jednak uświadomić mu to, co podpowiadała jej intuicja. Jak dotąd była z Melią tylko dwukrotnie w większym towarzystwie i za każdym razem Melia z radością przyjmowała komplementy przedstawianych jej atrakcyjnych i bogatych mężczyzn.

– Nie wiem, braciszku, ale czuję, że powinieneś być nieco rozważniejszy. Melia nie obiecała ci jeszcze swojej ręki, prawda?

– Nie, ale zna moje uczucia. Rozmawiałem z nią szczerze, kiedy ją ostatnio widziałem przed wyjazdem. Powiedziała, że musi poznać mnie lepiej, i wtedy po raz pierwszy była mowa o jej wyprawie do Londynu...

– Rozumiem... – Jane zamyśliła się. Gdyby Melia była intrygantką, można by ją podejrzewać o chęć wykorzystania Willa, ale to raczej mało prawdopodobne. Owszem, dziewczynie zdarzało się czasami mijać z prawdą lub lekceważyć czyjeś uczucia, lecz nigdy umyślnie nie zraniłaby Willa. Lubiła go i uważała za swego przyjaciela, podobała jej się też myśl, że mogłaby go kiedyś poślubić, co jednak wcale nie znaczy, że oddała mu swoje serce – i dopóki tego nie zrobi, równie dobrze może je ofiarować komuś innemu. Jane miała nadzieję, że tak się nie stanie, jednak Melia, tak jak inne panny, musiała zaliczyć londyński debiut i dostać swoją szansę, żeby później niczego nie żałować. Była pełną życia, lubiącą przygody istotą, Will natomiast wolał spokojne, wiejskie życie. Aby się na nie zgodzić, Melia musiałaby być bardzo pewna swych uczuć.

– No cóż, czas to pokaże – podsumowała Jane, uśmiechając się czule do brata. – Ale na twoim miejscu nie przejmowałabym się naszą wyprawą do teatru z lordem Frantem. Zapewniam cię, że nie musisz z jego strony niczego się obawiać.

Melia nie wiedziała, co myśleć o wspólnej wyprawie do teatru z lordem Frantem. Owszem, był dla niej miły, a ona była mu wdzięczna za te pięć tysięcy funtów, które miał jej przekazać. Jednak surowa powierzchowność budziła w niej niepokój. Szybko pojęła, że zapowiada się bardzo udany wieczór, kiedy przedstawiono jej jego przyjaciela, wicehrabiego Hargreaves, kapitana.

Hargreaves uśmiechnął się do niej, a jej serce zaczęło bić jak szalone. Nigdy w życiu nie widziała tak pięknego mężczyzny. Przypominał greckich bogów z albumu, który kiedyś przegłądała w bibliotece ojca, lecz robił jeszcze większe wrażenie. Oczywiście, z całego jego ciała widziała tylko twarz i ręce, lecz na podstawie tamtych ilustracji mogła sobie wyobrazić, jak wyglądałby obnażony do pasa.

Boże, co za nieskromne myśli! – zrugła się w duchu. Wyobraźnia jej nie sięgała wprawdzie poniżej pasa, lecz jego długie nogi wyglądały tak imponująco w jasnych pantalonach, że przyszło jej do głowy, że prezentowałyby się jeszcze korzystniej w bryczesach do konnej jazdy.

Zaczęła ubolewać nad tym, że nie ma konia pod wierzch w Londynie. Oczywiście nie zdawała sobie sprawy z tego, że robi to głośno, dopóki nie zaproponował, że wynajmie dla niej łagodnego konia i zabierze ją na przejażdżkę po parku.

– Naprawdę byłby pan skłonny? – zapytała, trzepocząc rzęsami. – Tam, u siebie, trzymam strasznie kochaną klaczkę. Ma takie aksamitne chrapy i ma też charakter, ale z natury jest łagodna i nawet jej przez myśl nie przejdzie, żeby mnie zrzucić.

– Obiecuję przyprowadzić pani godną rywalkę jej faworytki. – Adam przysiągł sobie w duchu, że kupi takiego konia, jeśli nie znajdzie odpowiedniego na wynajem. – Nie będzie pani zawiedziona. Ponoć mam dobre oko. Nawet Frant radzi się mnie w sprawach koni, chociaż sam jest świetnym znawcą i jeźdźcem. Myślimy nawet o tym, aby wspólnie otworzyć stajnię wyścigowe...

– A więc lord Frant zamierza zostać w Anglii?

– Tak... myślę, że tak – odparł Adam z uśmiechem i zawiesił na chwilę wzrok na lady March i przyjacielu. – Możliwe też, że będziemy trzymać konie w Irlandii i tam je trenować...

– Papa mówił mi, że najlepsze konie pochodzą właśnie z Irlandii...

– Może i tak – zgodził się Adam – ja wolę jednak iberyjskie, z hiszpańskich hodowli, trenowane w Irlandii... z takiej kombinacji rodzą się najprawdziwsze czempiony...

– Och, jaki pan mądry! – Melia podniosła na niego oczy, muskając delikatnie jego ramię, i omal nie zemdląła, gdy się do niej uśmiechnął. – A pan ma zamiar pozostać w Anglii, panie kapitanie?

– Przyjdzie mi chyba dzielić czas pomiędzy Londyn i Irlandię – odpowiedział. – Planujemy wystawiać konie na gonitwach w Anglii – choć stadnina będzie w Irlandii. Na stałe wolę jednak mieszkać w Londynie. Tu bije serce tego świata... Oczywiście, nie mam nic przeciwko podrójom, ale przeżyłem już dosyć dużo przygód i teraz powinienem znaleźć piękny dom, w którym mądra kobieta czułaby się szczęśliwa. Moja żona musiałaby kochać Londyn, tak jak ja, ale również towarzyszyć mi od czasu do czasu w podróżach do Irlandii i innych zakątków świata...

– Och, z pewnością jej się to spodoba... – rzuciła Melia, podniecona tak kuszącą wizją. – Gdybym mogła mieszkać przez większą część życia w Londynie, byłabym w siódmym niebie... choć czasami miło pospacerować wśród pól, zwłaszcza gdy jest ładna pogoda.

– Też tak uważam. – Adam znów się uśmiechnął. – Dziś wieczorem obejrzymy dobrą sztukę, o ile wiem, komedię, a potem ma nas zabawiać jakaś tancerka. Powiedziano mi, że to prawdziwa uczta dla oka, ale poczekam z wydaniem osądu. Napatrzyłem się już na tańce w Indiach.

– Och, jakie to ekscytujące! – Palce Melii zacisnęły się wokół jego ramienia. – Musi mi pan o tym powiedzieć.

– Ale nie tego wieczoru, bo właśnie gasną światła – wyszeptał. – Może mógłbym zamiast tego zabrać panią jutro rano na przejażdżkę po parku...?

Melia odparła szeptem, że o niczym innym nie marzy, po czym umilkła, gdyż zaczęło się przedstawienie. Wkrótce, jak wszyscy wokół, śmiała się z frywolnych wybryków, jakie pan Sheridan opisał ku ich uciesze. Wiedziała, że sztuka miała swoją premierę w roku 1777 i cieszyła się ogromnym powodzeniem, nie spodziewała się jednak, że aż tak bardzo rozbawią ją intrygi rozgrywające się na scenie.

Po spektaklu Melia i lady March zostały zaproszone na lekką kolację, składającą się z lodów, słodczy i galaretek dla pań oraz chleba, mięs i serów dla panów. Do picia serwowano im wino lub schłodzony orzeźwiający cydr.

Później panie zostały odwiezione do domu luksusowym powozem lorda Franta. Gdy panowie pożegnali się i odjechali, przed rozejściem się do swoich pokoi Melia zapytała Jane o jej opinię na temat oglądanej sztuki.

– Jest bardzo zabawna – odparła Jane. – Widziałam ją już wiele lat temu, kiedy mama zabrała mnie do teatru, ale tym razem bardziej mi się podobała.

– Przyznam, że pewnych rzeczy nie zrozumiałam – powiedziała Melia – ale wicehrabia Hargreaves później mi wszystko wytłumaczył.

– Jak to miło z jego strony – powiedziała Jane, śmiejąc się w duchu, gdyż tylko jakaś niewinna istota mogła potrzebować wyjaśnień, a Melia nie była już taka niewinna, a z pewnością nie była głupia. Wyglądało na to, że celowo udawała, chcąc niepodzielnie zawładnąć uwagą wicehrabiego. – Cieszę się, że się dobrze bawiłaś tego wieczoru, kochanie.

– O tak, bardzo dobrze. – Melia uśmiechnęła się błogo.

Rozeszły się potem, każda do swoich pokoi: Melia, żeby śnić o pięknym, młodym bogu,

który zstąpił na ziemię, aby ją uprowadzić na niebiańskie wyżyny – a Jane, aby zadać sobie pytanie, czy przyjmując niewinne na pozór zaproszenie do teatru, nie wyświadczyła bratu niedźwiedziej przysługi.

Dla niej samej wieczór ten okazał się nadzwyczaj przyjemny. Paul Frant zajął się nimi bardzo troskliwie, pilnował, aby podawano im napoje chłodzące podczas antraktów, a potem zabrał je na bardzo miłą kolację. Jane, która od dawna tak dobrze się nie bawiła, dopiero w połowie wieczoru spostrzegła, że Melia flirtuje z wicehrabią Hargreaves. Zaczęła się zastanawiać, kiedy się to zaczęło – te poufale uśmiešky, muśnięcia ręki i rozmodlone spojrzenia, mające wyrażać podziw dla jego wybitnej inteligencji. Melia opanowała do perfekcji rolę słodkiego niewiniątka. Widocznie ciotka musiała wbić jej do głowy, że dżentelmeni nie lubią mądrych kobiet i tym podobne nonsensy. Jane, która zwykła nazywać rzeczy po imieniu i brać sprawy w swoje ręce, uważała takie zachowanie za fałszywe – zwłaszcza u Melii, radzącej sobie świetnie w każdej niemal sytuacji. Po co udawała słabą, bezradną kobietkę, spragnioną silnego męskiego ramienia? Chyba że niektórzy panowie istotnie wolą kobiety infantylne i bezradne?

Znając stanowczość i upór Melii w kwestii jej strojów i obowiązków domowych, Jane pomyślała, że przyszedł czas, aby dziewczyny szybko pozbyć się złudzeń. Słyszała przecież, jak Melia kłóciła się z Willem o konia podczas lekcji prowadzenia powoziku, który Will zamówił specjalnie dla niej. Will świadom jej wad, kochał ją, pomimo wszystko... Natomiast próby usidlenia wicehrabiego poprzez udawanie kogoś, kim się nie jest, wydały się Jane czymś wysoce nagannym.

Westchnęła ciężko i wyjęła spinki z włosów, które lśniąco opadły jej na plecy. Pokojówka, Tilda, zaczęła je rozczesywać, choć Jane już wcześniej zapowiedziała, że nie musi czuwać aż do jej powrotu z teatru. Wierna służąca poczuła się urażona i oświadczyła, że w dniu, kiedy nie będzie w stanie czekać na swoją panią, Jane może wypłacić jej odprawę i ją zwolnić.

– Nie poradziłabym sobie bez ciebie – zapewniła ją serdecznie Jane. – Wybacz, Tildo, ale będziesz mi jeszcze potrzebna przez długie lata. Nim zechcesz odejść ze służby, musisz przecież wyuczyć swoją następczynię.

Tilda została zatrudniona jeszcze przez jej matkę do opieki nad dziećmi. Była wówczas nieśmiałą piętnastolatką. Z czasem awansowała na osobistą pokojówkę Jane i pojechała z nią do Francji i Hiszpanii, kiedy Harry służył w armii Wellingtona. A po jego śmierci stała się ostoją dla swojej pani. Jane często myślała, że gdyby nie Tilda i wsparcie garstki przyjaciół, nie przeżyłaby chyba tej tragedii.

Po wyjściu Tildy usiadła na brzegu łóżka, by z westchnieniem opaść na poduszki. Czy chodziło tylko o Willa, czy jeszcze jakieś inne problemy zbierały się nad jej głową niby gradowa chmura? Trudno powiedzieć. Dla niej był to przyjemny wieczór, głównie dzięki błyskotliwej konwersacji i uśmiechom lorda Franta. Mężczyzna ten już od pierwszego spotkania działał na nią w jakiś niepojęty sposób, choć nie potrafiła wyrazić tego słowami. Szczery do bólu i niezłomny, niewątpliwie byłby groźnym przeciwnikiem. Ją jednak traktował z najwyższą kurtuazją, mimo że tego ranka ewidentnie zjawiał się przygotowany na kłótnię.

Co sprawiło, że nagle zmienił zdanie? Czemu wpatrywał się w nią z taką miną, jakby go poraził grom? Kobiecie próżnej coś zaświtałoby może w głowie, jednak Jane nigdy nie uważała się za piękną lub pociągającą. Owszem, uchodziła za elegancką, gdyż nosiła stroje szykowne i twarzowe, ale w lustrze przeglądała się krótko, tylko kiedy się ubierała. Nie dostrzegała pięknych intrygujących oczu i uroczej twarzy.

Nawet jej przez myśl nie przeszło, że ktoś taki jak Paul Frant mógłby się w niej zakochać od pierwszego wejrzenia. Byłby to szczyt próżności! To człowiek światowy i niewątpliwie zamierzający, znający się przy tym na interesach. Może więc był po prostu zaskoczony... – zastanawiała się Jane. Powiedział przecież, że spodziewał się ujrzeć damę dojrzałą wiekiem. Tak, to pewnie

to!

Z lekkim przerażeniem Jane uświadomiła sobie, że wbrew postanowieniu go polubiła. Po jego szorstkim liście gotowa była widzieć w nim łajdaka, który wyrzucił Melię i jej siostrę z ich rodzinnego domu. Tymczasem, kiedy się okazało, że to sprawka prawników, przywołał ich do porządku i kazał zadośćuczynić wyrządzoną krzywdę. Natomiast co do urody... znała wielu przystojniejszych mężczyzn. Jego przyjaciel, Adam Hargreaves, zdecydowanie go przyćmiewał; co więcej, był wicehrabią, a nie tylko zwyczajnym lordem. Po niej samej spodziewano się przed laty, że poślubi kogoś stojącego wyżej w hierarchii, a człowieka takiego jak jej mąż nie brano nawet pod uwagę. Ona jednak wybrała Harry'ego z miłości, mając błogosławieństwo matki i niechętną zgodę przyrodniego brata – i była bardzo szczęśliwa, dopóki los jej wszystkiego nie odebrał.

Czy umiałaby znów kogoś tak pokochać? Nie, to raczej niemożliwe. Żaden nowy związek nie wytrzymałby porównania z tamtą miłością. Mając to na uwadze, była już prawie zdecydowana nie wychodzić powtórnie za mąż. W końcu, lepiej pozostać niezależną wdową niż ugrzęznąć w niedoskonałym małżeństwie.

Mimo tego Jane nie mogła zaprzeczyć, że dobrze jest mieć przy sobie mężczyznę, który troszczy się o jej wygody, nawet jeżeli sama potrafiła o siebie zadbać. Will nigdy nie wtrącał się w jej sprawy, ale był przy niej, ilekroć potrzebowała męskiej opinii w kwestii interesów. Mieszkanie z bratem bardzo jej odpowiadało, miała natomiast wątpliwości co do decyzji, by zamieszkać w Bath wraz z panną do towarzystwa.

Jak dotąd, nie dostała żadnej odpowiedzi na swój list do kuzynki Sarah, co ją trochę dziwiło, gdyż sądziła, że dziewczyna ochoczo przyjmie jej propozycję. Dała jej przecież wyraźnie do zrozumienia, że choć traktowana jak członek rodziny, będzie dostawała pensję, zapewniającą jej niezależność oraz wygodne życie.

Może list zaginął gdzieś w drodze... Postanowiła poczekać jeszcze tydzień, a potem znów napisze do Sarah.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy kwestia rekompensaty dla sióstr Bellingham została załatwiona, Paul zaczął się zastanawiać nad sprzedażą posiadłości ich ojca. Tuż po przyjeździe do Anglii wybrał się do Willow House z krótką wizytą, spodziewając się zastać tam Melię pod opieką lady Moiry. Zatrzymał się na niespełną godzinę, aby się posilić przed dalszą podróżą, i oczywiście znalazł drogę do biblioteki, gdzie dokonał miłego odkrycia. Bellingham, jak się okazało, miał w sobie żyłkę kolekcjonera i było tam trochę książek, które Paul chciałby mieć u siebie na półkach. Postanowił więc na razie przenieść wszystkie do swojej londyńskiej biblioteki i stopniowo wybierać te, które zdecyduje się zatrzymać. Pozostałe można będzie wysłać gdzieś indziej, gdy znajdzie czas, aby je przejrzeć, a w międzyczasie zapełni nimi puste miejsca po imponującej niegdyś kolekcji pradziadka.

Paul z westchnieniem oderwał wzrok od listu do człowieka, prowadzącego jego interesy. Przyszło mu na myśl, że w rezydencji Bellinghama mogą być jakieś meble, które chętnie widziałby w swoim londyńskim domu. Jak na razie dokonał bardzo niewielu zakupów i, prawdę mówiąc, robił to bez zapału, choć wiedział, że musi urządzić swój dom w doskonałym stylu, zanim zacznie podejmować gości. Oczywiście, mógł zlecić to agentowi albo...

Nagła myśl, że mógłby skonsultować się w tej sprawie z lady March, sprawiła, że się uśmiechnął. Jako jego żona miałyby wolną rękę i mogłyby kupować, co tylko zechce. Nie odniósł jednak wrażenia, że udało mu się choć trochę zakłócić jej spokój ducha. Ale jeśli będzie ją błagał o pomoc w wyborze mebli, może ich to choć trochę do siebie zbliży. Prawdopodobnie mu odmówi – ale kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje...

Z pewnym rozbawieniem obserwował flirt pomiędzy Adamem i swoją podopieczną, lecz skoro uważał wicehrabiego za człowieka godnego zaufania, nie widział powodu do niepokoju. Adam z pewnością nie przekroczy granic dobrego wychowania, zwierzył mu się też, że szuka sobie żony. Gdyby poprosił go o zgodę, Paul nie miałby nic przeciwko temu, choć nie miał także pewności, że wybrałby Melię na żonę dla swego przyjaciela. Nie chciał jej krytykować, ale te jej westchnienia, uśmiechy i minki wydawały mu się sztuczne i dziwił się, że Adam mógł być nimi oczarowany.

Zapytany o stan ducha swego przyjaciela, Paul byłby raczej skłonny przypuszczać, że sercem Adama zawładnęła piękna Annamarie. Widział jednak, jak pogardliwie ta dumna piękność traktowała niektórych oficerów, kolegów Adama. To pewnie wystarczyło, by powstrzymać go od wyznań, nawet jeśli ją kochał, gdyż jego duma nie zniosłaby takiego lekceważenia. Zwłaszcza że Annamarie wyraźnie faworyzowała Paula.

No cóż, jaki sens zastanawiać się nad czymś, o czym w sumie nie miał pojęcia? Paul obracał przez chwilę pióro w palcach, a potem uśmiechnął się i zaczął pisać. Jak dotąd, nie dostał jeszcze ani jednego zaproszenia gwarantującego mu, że spotka tam damę, z którą bardzo chciał się zobaczyć. Może wobec tego prośba o pomoc w wyborze mebli dostarczy im obojgu powodów, aby się częściej spotykać...

– Kolejne listy do ciebie, Jane. – W saloniku na dole Will wręczył siostrze pocztę. – Ciekawe, w ile jeszcze miejsc nas zaproszą?

– Pewnie kilka – odparła ze śmiechem. – Jeżeli nie mam przynajmniej czterech zaproszeń każdego dnia, czuję się zepchnięta na margines. Nie śmieję się ze mnie, Will, ale tak rzadko przyjeżdżam do Londynu, że wszyscy moi przyjaciele koniecznie chcą się ze mną zobaczyć.

– Tak, a dom pęka w szwach od młodych elegantów – stwierdził niechętnie Will. – Chyba miałaś rację, Jane. Ostatnio Melia w ogóle nie znajduje dla mnie czasu. Jeżeli nie jeździ powo-

zem po parku z jednym ze swoich wielbicieli, to jeździ konno lub spożywa śniadanie na świeżym powietrzu, a późnym popołudniem udaje się na wieczorki taneczne .

– Nie chciałbyś chyba, aby wyglądała jak nieobyta prowincjuszka? – zarzuciła mu Jane. – To normalne, że chce dobrze wypaść, kiedy zjawi się na pierwszym balu. Dlatego jestem ogromnie wdzięczna lady Sopworth, że na lekcje tańca dla swoich córek zaprosiła również Melię.

– Ja się nie skarzę – mruknął Will z kwaśną miną. – Melia jest cudowna, nic więc dziwnego, że ma powodzenie. Wiedziałem, że tak będzie, ufam jednak, że o mnie nie zapomni.

– Ach, to tylko przejściowa faza... jeżeli cię kocha – powiedziała Jane. – Bo jeżeli nie, to chyba nie będziesz chciał się z nią zenić?

– Chyba nie. – Will posmutniał. – Ale ja świata poza nią nie widzę i miałem nadzieję, że ona czuje do mnie to samo.

– Jest bardzo młoda, mój kochany, i musi mieć trochę czasu na flirty. – Jane szczerze współczuła bratu i żałowała, że nie potrafi mu pomóc.

– Rozumiem. – Will dumnie uniósł głowę. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Czy umówiłaś się już z mamą?

– Mama wciąż jest zajęta. Znalazła mimo to trochę czasu, aby do nas wpaść, i byłyśmy u niej na obiedzie. W przyszłym tygodniu zamierza wydać wielki bal, na którym wszyscy mamy się stawić. Obowiązkowo.

Willowi oczy rozbłyły.

– Nie śmiałybym nawet pomyśleć o innym zobowiązaniu tak samo pewnie, jak ty. Poza tym będą tam wszyscy. O ile znam mamę, szykuje się przebój sezonu.

– Tak, pewnie tak... – Jane znów wzięła się do otwierania listów, zawierających głównie zaproszenia, i nagle ożywiła się. – Kuzynka Sarah przeprosza za spóźnioną odpowiedź i pyta, czy może mnie odwiedzić we wtorek po południu... Ojej, to już pojutrze! Muszę być w domu, żeby ją przyjąć, czyli nie będę mogła towarzyszyć Melii na podwieczorku przy muzyce u pani Brom... – Spojrzała przeciągle na brata. – Wiem, że nie znosisz tego rodzaju spotkań, Will, ale może mógłbyś mnie zastąpić i pójść z Melią?

Will jakby się zawahał, po czym skinął głową.

– Oczywiście, kochanie. Przynajmniej będę miał okazję побыć w jej towarzystwie trochę dłużej niż przez kilka minut.

– Tak... – Jane doczytała list do końca i zasępiła się. Sarah napomknęła w nim, że ma pewien problem i chciałaby z nią o tym pomówić. – Muszę dopilnować, żeby przygotowali dla Sarah jeden z najlepszych pokoi gościnnych... – Odłożyła list, sięgnęła po następny i nagle cicho krzyknęła. – Nie do wiary!

– Coś się stało, siostrzyczko? – zaniepokoił się Will.

– Nie, nic, jestem tylko zaskoczona. Lord Frant pyta, czy pomogłabym mu w wyborze odpowiednich mebli do jego domu. Pisze, że dotąd mieszkał w dwóch pokojach, ale dłużej tak być nie może, jeśli zamierza zapraszać gości... Rzecz w tym, że on nie ma pojęcia, od czego zacząć.

– Co on sobie myśli? Że będziesz urządzić mu dom? – Will zmarszczył brwi. – Musisz odmówić, Jane. To nie twoja rola.

– Wiem, ale on wcale tego nie oczekuje, prosi tylko o poradę, a wiesz przecież, że aranżacja wnętrz zawsze mnie interesowała. Mama mówi, że nawet gdybym straciła wszystkie pieniądze, mogłabym zrobić majątek, doradzając innym w tych sprawach.

Zdziwiła ją propozycja kogoś, kogo prawie nie знаła, ale był to także dla niej komplement. Powszechnie chwalono jej dobry gust.

– Pewnie mu się obilo o uszy, że masz do tego smykałkę. – Will wciąż wydawał się niezadowolony. – Mimo tego uważam że nie powinnaś się zgadzać. Ten Frant ma w sobie coś takie-

go... i jeszcze ten jego przyjaciel... Nie potrafię powiedzieć, w czym rzecz, ale nie lubię tego Hargreavesa, i jeżeli Frant zgadza się, żeby siedział u niego non stop, to tylko świadczy o...

– O czym? – przerwała mu Jane, rozumiejąca niechęć brata. Will był po prostu zazdrosny o przystojnego oficera, cieszącego się szczególnymi względami Melii. – Lord Frant okazał się bardzo miłym towarzyszem, a co do wicehrabiego Hargreaves, to prawie go nie znam.

– Tak samo jak Franta – rzucił szorstko Will. – On może i jest w porządku, ale mówię ci, że nie podoba mi się ten jego przyjaciel... I nie chodzi tylko o to, że wpadł w oko Melii, ale... nie dałbym za niego złamanego szeląga.

– Więc aż tak dużo o nim wiesz?

– Nie – przyznał się Will. – Kiedy się poznaliśmy, miałem go za sympatycznego gościa, ale któregoś wieczoru w klubie zobaczyłem, że oszukał jakiegoś młodego durnia przy kartach. Za rękę go nie złapałem, ale jestem prawie pewny. Chodzi o wnuka generała Brenta. Chłopak rok temu odziedziczył majątek po ojcu i jeżeli będzie dalej tak grał, jak wtedy, szybko straci całą fortunę.

– O Boże, Will! – Jane była wstrząśnięta, gdyż dobrze znała i generała, i matkę młodego człowieka. – Jesteś pewny, że oszukiwał? Już samo to, że grał dalej z kimś, kto ciągle przegrywał, zasługuje na potępienie... ale żeby go jeszcze oszukiwać?!

– Widziałem, jak wyjmował kartę z rękawa, i chciałem zainterweniować, ale nie miałem dowodów. Gdyby nazwał mnie kłamcą i powiedział, że to tylko chustka do nosa, którą chciał zakryć karty, skończyłoby się pojedynkiem. Nie zamierzałem pakować się w taką awanturę, Jane. Hargreaves to przecież gość lorda Franta, jego zaufany przyjaciel... Mogłoby to wyglądać tak, jakbym chciał go zdyskredytować z pobudek osobistych...

– Tak, oczywiście, rozumiem... – przyznała Jane, marszcząc brwi. – Jestem pewna, że lord Frant nie ma o tym pojęcia. Nie uwierzę, że na swego najlepszego przyjaciela mógłby wybrać oszusta...

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał z powątpiewaniem Will, a potem pokiwał głową. – Chyba masz rację. Jane. Wiem, że znasz się na ludziach. Proszę cię, miej oczy i uszy otwarte, jeśli chodzi o tego kawalera. Ja też będę miał na niego oko i zapewniam cię, że nie przemawia przeze mnie zazdrość. Mam się za dżentelmena i byłbym w stanie pogodzić się z tym, że Melia woli innego. Ale nigdy nie pozwolę na to, aby jakiś łajdak zniszczył jej reputację lub złamał serce.

– Nie używaj takich słów ani przy niej, ani przy nikim innym... oprócz mnie... – ostrzegła go Jane. – Cieszę się, że byłeś ze mną szczery. Spróbuję łagodnie odciągnąć ją od niego, natomiast wszelkie zakazy lub próby wskazywania rys na jego charakterze mogłyby wywołać u niej odruch buntu.

– Tak, znam jej temperament oraz lekkomyślność – powiedział ze smutkiem Will. – Ale kocham jej wady dokładnie tak samo, jak zalety. Gdyby była wzorem cnót, pewnie nie urzekłaby mnie aż do tego stopnia.

– Och, mój najdroższy braciszku. – Jane darowała sobie wszelkie wyrazy współczucia, gdyż Will nie zniósłby litości. Był mężczyzną i potrafił sam rozegrać swoje batalie. – Musimy zrobić co w naszej mocy, aby uchronić naszą młodą przyjaciółkę przed nieszczęściem – ale gdybym była pewna, że Hargreaves ma zły charakter, powiedziałabym o tym lordowi Frantowi.

– Śmiem twierdzić, że by ci nie uwierzył – powiedział Will. – Tak czy inaczej, bądź ostrożna w kontaktach z tymi panami. Dostyc już wycierpiałas, Jane. Nie chcę, żeby ciebie też spotkała jakaś krzywda.

– Nie podejrzewam, by lord Frant chciał mnie skrzywdzić. – Jane uśmiechnęła się do brata. – Potrafię panować nad własnym życiem. O mnie nie masz potrzeby się bać, mój drogi, musi-

my jednak chronić Melię, bo to kochana dziewczyna. – Kusilo ją, aby dodać „mimo swoich wad”, ale ugryzła się w język.

W tym momencie Will usłyszał głos Melii w holu i wyszedł zaproponować jej spacer po parku, na co chętnie przystała. Po chwili powiedzieli, że wychodzą na godzinę, tak więc Jane mogła w spokoju przeczytać korespondencję i odpisać na listy.

Paul z uśmiechem czytał odpowiedź dostarczoną właśnie przez posłańca. Lady March sugerowała wyprawę do paru kupców oraz składów preferowanych przez nią w przeszłości. Pytała jednak, czy zanim zaczną, zechciałby pokazać jej pokoje, przy których urzędowaniu miałyby mu doradzać. Usiadł i natychmiast odpisał, by odwiedziła go wraz z panną Bellingham, a także swoim bratem, gdyby miał ochotę. Proponuje dowolne przedpołudnie w tym tygodniu, a najlepiej pojutrze, jeśli milady znajdzie wtedy czas.

Prawdę mówiąc, nie spodziewał się rychłej odpowiedzi, gdyż lady March musiała mieć całą masę innych zaproszeń, tymczasem kiedy wrócił o czwartej po południu od krawca, jej list czekał już na niego w holu.

Lady March wraz z panną Bellingham przyjdą pojutrze o jedenastej i z przyjemnością obejrzą pokoje, które należało urządzić na nowo.

Uradowany, z miejsca skreślił kilka słów podziękowania, wyrażając swą ogromną wdzięczność. Skoro myśl o spędzeniu z nim kilku godzin nie wydała się lady March niemiła, w jego serce wstąpiła nadzieja.

Rozsiadł się później w bibliotece z cygarem i szklaneczką brandy, lecz nastrój błogiej zadumy zakłóciło mu nagle wtargnięcie Adama. Musiał być nie w sosie, skoro cisnął bicz na stół i nalał sobie pełną szklanekę brandy.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytał Paul, widząc minę przyjaciela.

– Och, nic takiego – odparł Adam, wyraźnie zdenerwowany. – Miałem grać w karty dziś wieczorem, ale spotkanie odwołano.

– I to wszystko? – Paul przyjrzał mu się uważnie. – Mogę ci zaproponować moje towarzystwo, ponieważ wybieram się na kolację do klubu. Czuję jednak, że chodzi o coś więcej. Nie możesz mi powiedzieć?

Adam zawahał się, a potem pokręcił głową.

– Wygląda na to, że będę musiał opuścić cię wcześniej, niż myślałem. Miałem wprawdzie nadzieję... ale sprawy zaszły za daleko i mogę już nie mieć wyjścia.

– Byłeś dziś rano u prawników twego ojca – drażył dalej Paul. – Czy, jeśli chodzi o jego posiadłość, sprawy mają się inaczej, niż zakładałeś?

Adam prychnął pogardliwie i opadł na fotel.

– Ci cholerni głupcy narobili niezłego bałaganu. Mówią, że muszę sprzedać dom, ziemię, konie i powozy. Własnością banku jest już wszystko, co zostawił mi ojciec – a nawet więcej. Nie odpowiadają wprawdzie za długi powyżej wartości spadku, ale nie wiem zupełnie, jak mam żyć albo kto pożycz mi pieniądze na nasz projekt. Nie mam trzech tysięcy na wkład... ani nawet połowy tej kwoty...

– Strasznie mi przykro. – Paul zasępił się. – Jesteś pewny, że trzeba wszystko sprzedać?

– Wygląda na to, że ojciec od lat zadłużał się w banku. Po spłacie długu nie będę miał już nic... Pozostaje mi tylko szybki ożenek z posażną panną albo powrót do armii. Obawiam się jednak, że bez sumy zapisanej mi przez ojca nie zdołam utrzymać się na poziomie wymaganym od oficera.

– A gdybym tak spróbował włączyć w to moich prawników? – zaproponował mu Paul. – Może dostalibyśmy lepszą ofertę? Jeżeli chcesz, zorientuję się, co mogę zrobić. Czy to wystarczy, jeżeli uda mi się zaoszczędzić wystarczającą sumę na nasze przedsięwzięcie?

– Tak, bo zamieszkałbym w Irlandii i tylko od czasu do czasu odwiedzał Londyn. W tej chwili mam pewne fundusze, ponieważ wygrałem w karty pięćset gwinei. Liczyłem na podobne szczęście dziś wieczorem, ale... – westchnął i wzruszył ramionami.

– Lepiej zatrzymaj to, co masz – powiedział Paul. – Za te pieniądze znajdziesz przyzwoity dom w Irlandii, a jeżeli ja dokupię trochę ziemi, na której będziemy trenować konie, to już będziemy na półmetku...

– Nie chcę wisieć u twojego rękawa, Paul.

– Nonsens. Zamierzam sfinalizować nasz plan i jak skończymy, zaproponować ci co najmniej partnerstwo, nawet gdybyś nie miał pieniędzy, żeby się dołożyć. Mówiłem ci już, że uważam cię za brata, a twoja przyjaźń, umiejętności jeździeckie i zdrowy rozsądek sprawiają, że pragnę widzieć cię jako mego partnera i zarządcę. To, czy uda nam się ocalić coś z twojego majątku, czy nie, jest dla mnie nieistotne... Choć, rzecz jasna, nie dla ciebie. – Uśmiechnął się ciepło do człowieka, który uratował mu życie w drodze powrotnej do Anglii. – Proszę cię, nie odmawiaj mi.

– Nie, to absolutnie niemożliwe. – W głosie Adama gniew mieszał się z żalem. – Jesteś dla mnie za dobry, Paul. Nie zasługuję na taką wielkoduszność.

– Nonsens – zaproponował Paul. – Byłeś mi zawsze dobrym przyjacielem. Bez twojej opieki umarłbym pewnie na tym statku. Jestem ci wdzięczny za to, że żyję i wracam do zdrowia. Nie mógłbym też prowadzić stajni na odpowiednio wysokim poziomie bez twojej pomocy. Pozostaniesz więc moim gościem, dopóki moi prawnicy nie uporządkują twoich spraw. A wtedy pojedziemy do Irlandii i kupimy, co potrzeba.

Adam wzruszył wymownie ramionami.

– Skoro tak nalegasz, by okazać mi wdzięczność za zwykłą dobroć, co mogę na to powiedzieć? – Dopił brandy i wstał. – Mam do napisania kilka listów, w tym jeden do twoich prawników, z pozwoleniem na zbadanie spraw mego ojca.

Paul patrzył w ślad za wychodzącym. Po raz pierwszy bowiem dostrzegł w jego zachowaniu pewną zmianę. Niemal niezauważalną, jednak bardzo zaskakującą. Ostatnio Adam okazywał niechęć, jakby nie życzył sobie przyjmować żadnych przysług. Dlaczego? Przecież w Indiach się przyjaźnili... A może Adam miał do niego pretensje z powodu Annamarie?

Potraktowałby tę myśl jak nic nieznaczącą obserwację, gdyby nie ten gniewny błysk w oku przyjaciela, kiedy mu powiedział, że chce, aby został jego partnerem, nawet jeżeli nie ma pieniędzy. Na statku był całkowicie zależny od Adama, którego troskliwa opieka okazała się bezcenna. Lekarz okrętowy miał przecież ręce pełne roboty, gdyż ponad dwudziestu marynarzy zaraziło się tą samą febrą i dziewięciu z nich później zmarło. Paul był święcie przekonany, że zawdzięcza Adamowi życie, i chętnie byłby mu ofiarował dziesięć tysięcy funtów, gdyby tylko miał pewność, że jego dar nie zniszczy ich idealnej jego zdaniem przyjaźni.

Czasami trudno się porozumieć, gdy jednemu sprzyja los, a drugiemu jest nieprzychylny. Nie mógł ofiarować mu odpowiedniej sumy, nie urażając przy tym jego dumy, ale... może znajdzie się jakiś sposób, aby wyglądało to na łut szczęścia, a nie na jałmużnę...

Jane ucieszyła się na widok dwóch dżentelmenów wchodzących do sali balowej. Nie spotkała dotąd żadnego z nich na tak eleganckim balu jak ten, co nasunęło jej myśl, że lord Frant pewnie nie przepada za tego rodzaju spotkaniami towarzyskimi. Mimo tego i on, i wicehrabia Hargreaves wyglądali bardzo elegancko, w czarnych frakach i nieskazitelnie białych koszulach. Jeden z nich wyższy i bardziej postawny – a drugi istny Adonis. Jane z rozbawieniem patrzyła, jak oczy wszystkich dam odprowadzają ich przez całą salę. Nowi goście zawsze wzbudzają zainteresowanie, ale ci mężczyźni naprawdę skupili na sobie całą uwagę, zwłaszcza że jeden z nich był, jak twierdzono, bardzo zamożny. O majątku drugiego Jane nic nie wiedziała i nie zaprzątała-

by sobie tym głowy, gdyby nie reakcja Melii.

Dziewczyna rozpromieniła się nagle, z trudem ukrywając podniecenie. Najwyraźniej czekała, aż podejdzie do niej ten, który ją tak oczarował. On jednak nie zrobił tego od razu. Najpierw odwiedził grupkę panów, którzy prowadzili ożywioną rozmowę – pewnie o wyścigach.

– Lady March, ufam, że przybyłem na czas, aby zarezerwować sobie taniec z panią. – Głos lorda Franta sprawił, że Jane odwróciła się ze zdumieniem. – Prosiłbym o walca i taniec tuż przed kolacją, abym mógł mieć zaszczyt poprowadzenia pani do stołu.

– Tak, oczywiście, nie widzę powodu do odmowy, ponieważ mój karnecik jest jak na razie pusty.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Paul wziął od niej karnet i wpisał swoje nazwisko w dwóch rubryczkach. Dwa tańce to akurat tyle, ile można było sobie zarezerwować bez dalszych zobowiązań. – Nie spodziewałem się, że będę miał jakikolwiek wybór. Myślę, że ktoś tam w górze jest mi przychylny.

Jane spojrzała na niego – na poły rozbawiona, na poły onieśmielona. Na bal przyszła święcie przekonana, że przyjdzie jej odgrywać rolę przyzwoitki Melii. Nie widziała jednak powodu, aby nie zatańczyć. Byłby to pierwszy raz, odkąd owdowiała, bo wcześniej nawet jej to przez myśl nie przeszło. Na moment serce ścisnęło jej się z żalu. Czy ma prawo tańczyć i być szczęśliwa, skoro jej najdroższy Harry nie może już z nią dzielić tych przyjemności?

– Może i tak – odparła, lecz iskierki zgasty w jej oczach. – Choć przyznam, że dziwi mnie pańska prośba. Czy nie ma innej damy, która wyświadczyłaby panu tę przyjemność?

– Nie ma takiej, którą chciałbym poprosić o ten zaszczyt – odrzekł Paul z niewinną miną. – Zauważyłem pani wykwintny gust, w zachowaniu i stroju... a pani mama powiedziała mi o pani szczególnym wyczuciu piękna.

– Zatem poznał pan moją mamę?

– Tak. Pewnego dnia spotkałem w klubie Roshithe'a, który interesuje się sytuacją w Indiach, więc zaprosił mnie na kolację. Pani mama okazała się przemiłą panią domu. Przez chwilę rozmawialiśmy o pani tamtego wieczoru...

– O Boże... – Jane westchnęła. Tego się mogła spodziewać. Jej Mama znów zaczyna bawić się w swatkę. – Obawiam się, że moja kochana mama mocno przesadziła, wychwalając moje zalety. Widzi pan, ona bardzo chce znaleźć mi drugiego męża, a ja wciąż sprawiam jej zawód, odrzucając wszystkie propozycje.

– Sprawia jej pani ogromną przykrość – powiedział Paul; kąciki ust drgnęły mu od tłumionego rozbawienia. – Świetnie się bawiłem w towarzystwie pani mamy. A ponieważ zaprzyjaźniłem się, jak sądzę, z jej mężem, mam nadzieję na kolejne udane spotkania... Oby również w pani uroczym towarzystwie.

– Czy mama mówiła panu, że będę tu tego wieczoru? – zapytała Jane, niezbyt zadowolona, że jej matka mogłaby umyślnie postawić ją na drodze tego dżentelmena. Przez moment chciała nawet odrzucić jego prośbę o pomoc; uznała jednak, że byłoby to bardzo niegrzeczne, skoro się już zgodziła.

– Wygląda na to, że wszyscy zjawili się tu dzisiaj, nieprawdaż? – zauważył Paul, wskazując na zapelniające się w szybkim tempie sale. – Powinniśmy chyba kierować się na parkiet. Wydaje mi się, że nasz taniec właśnie się zaczyna...

Jane położyła mu rękę na ramieniu, zdziwiona łatwością, z jaką przemieszczał się przez tłum – tu rzucił słówko, ówdzie uśmiech lub spojrzenie, i już byli na parkiecie. Gdy Paul objął ją w tali, a drugą ręką ujął jej dłoń, przeszedł ją dreszczyk. Spojrzała na niego lekko speszona, ale on tylko się uśmiechnął i wciągnął ją w roztańczony tłum.

Tańczył lekko jak na tak postawnego mężczyznę. Jane nie obawiała się, że będzie jej dep-

tał po palcach. Wystarczyło, że pozwoliła mu się poprowadzić w rytm muzyki. Taniec z Paulem to była czysta przyjemność, jakiej nieczęsto doświadczała. Jako młoda panna miała powodzenie, lecz zbyt często młodzi ludzie albo deptali jej po nogach w tańcu, albo byli sztywni i niezdarni. Harry był dobrym tancerzem – ale on wszystko robił dobrze. Od tańców wołał jednak polowanie i po ślubie unikał balów – z wyjątkiem oficerskich, na których miał obowiązek się stawić.

Jane dowiedziała się, że Wellington życzył sobie, aby jego młodzi oficerowie dobrze tańczyli, i lubił zapraszać ich w towarzystwie żon i córek. Zajmowały one ważną pozycję i były traktowane z szacunkiem. Najgorszą obrazą, jakiej mógł się dopuścić oficer, był flirt lub kompromitacja żony bądź córki innego oficera. Było to niepisane prawo, skrupulatnie przestrzegane przez przyjaciół Harry'ego.

– Mogę wiedzieć, o czym pani myśli? – zapytał nagle Paul, gdy zamilkła na dłuższą chwilę. – Chyba że to zbyt osobiste pytanie...

– Myślałam, że od dawna taniec nie sprawił mi takiej przyjemności – odparła. – Nie tańczyłam od śmierci męża, a przedtem też nie miałam zbyt wielu okazji. To rzadkość spotkać kogoś, z kim można się tak idealnie zgrać na parkiecie.

– Z nikim nie tańczyło mi się tak świetnie jak z panią – odrzekł Paul. – Nauczyłem się tańca, kiedy byłem z Wellingtonem... jak wszyscy jego oficerowie. A jeżeli któryś z nich nie miał takich umiejętności, zanim został oficerem sztabowym, musiał się tego nauczyć szybko i dobrze.

– Tak, to prawda. Kiedy byłam z Harrym we Francji, wszyscy jego przyjaciele dobrze tańczyli... – Jane urwała, lecz ku swemu zdumieniu odkryła, że może mówić o tym, nie roniąc łez. – Ale żaden z nich nie mógł się z panem równać.

– Zawstydzila mnie pani. Pewnie pani myśli, że jestem prózny i żądny komplementów – powiedział Paul, ale w spojrzeniu dostrzegła rozbawienie.

Zamilkli zgodnie i oddali się przyjemności tańca oraz magii czarownej muzyki.

Dopiero po dłuższej chwili Jane zorientowała się, że spora część tancerzy cofnęła się pod ściany, by móc podziwiać, jak płynnie krążą po parkiecie. Roześmiała się, podekscytowana, wirując w walcu, i nawet nie dopuszczała myśli, że musi się on kiedyś skończyć. Ta chwila jednak nadeszła. Wtedy rozległ się szmer aprobaty i spontaniczne oklaski, przeznaczone tylko dla nich. Zażenowana, oblała się rumieńcem. Gdyby mogła, uciekłaby na werandę, aby zaczerpnąć powietrza, ale Paul odprowadził ją na miejsce.

Naraz otoczył ją krąg dżentelmenów, domagających się kolejnego tańca.

Kiedy się okazało, że Jane ma ochotę potańczyć, nie pozwolono jej usiąść ani na chwilę. Przy kolacji znów otoczyli ją młodzi oficerowie, mimo że Paul zarezerwował dla nich stół i kazał kelnerom przynieść mnóstwo pysznych deserów i słodczy. Nie zniechęciło to bynajmniej innych mężczyzn, którzy wciąż podchodzili, proponując lady March kieliszek szampana lub czego tylko sobie zażyczy. Jane wołałaby mieć trochę czasu na prywatną rozmowę ze swoim towarzyszem, a skoro nie było jej to dane, pocieszyła się myślą, że nazajutrz będą mieli więcej czasu podczas wizyty w jego domu.

– Porozmawiamy jutro – powiedziała cicho, kiedy stało się jasne, że nie będą mieli chwili spokoju. – Nie spodziewałam się, że spotkamy tu tyłu przyjaciół...

– Już się nie mogę doczekać – zapewnił ją Paul. – A teraz zostawię panią z jej wielbicielemi.

Wymienili rozbawione spojrzenia, choć Paul nie mógł wiedzieć, że Jane nieszczególnie interesowały komplementy, jakimi ją obsypywano. Przez moment nawet żałowała, że w ogóle zgodziła się na tańce – nie chciałyby jednak wymazać z pamięci tych dwóch cudownych tańców – czarownego walca i tego drugiego, spokojniejszego, przed kolacją.

Zdażyła tylko na chwilę wejść na górę, aby się odświeżyć, a już czekał na nią kolejny tancerz. Parokrotnie zakłuło ją sumienie, więc rozglądała się za Melią, ale za każdym razem dziewczyna, szalenie zadowolona, tańczyła z którymś z młodych kawalerów. A ponieważ nie przyssała się do wicehrabiego Hargreaves, Jane uznała, że nie ma powodu do niepokoju.

Niespodziewanie wieczór okazał się bardzo przyjemny. Owszem, miała wiele przyjaciółek, ale aż do tego balu niewielu adoratorów poza tymi, których podsuwała jej mama – bogatych, starszych i często zbyt nudnych jak na jej gust.

Mama nie pojawiła się tego wieczoru, gdyż Porcky czuł się trochę niedysponowany, ale niewątpliwie usłyszy o jej sukcesach i rychło pojawi się z wizytą.

Dopiero gdy Jane położyła się do łóżka, mogła wreszcie zastanowić się nad swym stanem ducha. Na moment dała się ponieść radosnej atmosferze i miłym towarzystwem, lecz gdy znalazła się w sypialni, sama, powrócił znajomy ból i tęsknota za Harrym.

Poczuła się, jakby go zdradziła tymi kilkoma chwilami szczęścia. To prawda, że polubiła lorda Franta, gdyż był czarujący i dobrze się czuła w jego towarzystwie – ale nic więcej z tego nie wyniknie. Jej serce zawsze będzie należało do Harry'ego i nie zdoła już nikogo pokochać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka tuż przed jedenastą Jane i Melia udały się powozem do domu lorda Franta. Wpuścił je lokaj w liberii jak spod igły, uśmiechał się zapraszająco, bardzo ciekawy gości swojego pana. Powiedział, że są nader mile witane i jest gotów na każde ich zawołanie. Następnie wprowadził je do salonu, gdzie lord Frant stał przy otwartym oknie, spoglądając na ogrody. Odwrócił się, kiedy usłyszał wchodzących, i na widok Jane załśniły mu oczy.

– Drogie panie... – powiedział, podchodząc, by ująć Jane za rękę. – Jestem szczęśliwy, że panie przyszły, choć trochę mi wstyd za mój zaniedbany dom. Żle się z nim obchodzono i wymaga różnych zmian. Na szczęście, mam oddaną służbę i znakomitego kucharza. Czy zatem mogę zaproponować paniom mały poczęstunek?

– Może najpierw przeszlibyśmy się po pokojach, które chciałby pan wyremontować jako pierwsze? – Jane rozejrzała się wokół z zainteresowaniem, zadowolona, że nie wysłała mu liściku z odmową. W końcu, prosił tylko o radę, a to chyba niezbyt wiele. Pokój miał ładne proporcje i był sensownie umeblowany, choć jej zdaniem niektóre meble były zbyt duże i ciężkie.

– Ładnie tu – powiedziała – a te francuskie okna wpuszczają dużo światła.

– Tutaj oraz w mojej bibliotece zmieściły się wszystkie przyzwoite sprzęty, które mi zostawiono. Ojciec z mocy prawa musiał przekazać mi tytuł szlachecki oraz ordynację, natomiast resztę uznał za swoją wyłączną własność, którą mógł dowolnie rozdysponować. – Wolał nie mówić wprost, że zostały sprzedane.

– Tak sądziłam – przyznała Jane. – Niemniej w tym pokoju powinny stać lekkie, eleganckie meble, które nie zaburzają jego ładnych proporcji. Część sprzętów należałoby przenieść do innego pokoju. Chyba że woli pan, aby wszystko zostało tak, jak jest?

– Ależ skąd. Z wdzięcznością przyjmę każdą radę. Pewnie zauważyła pani brak obrazów, sreber i porcelany?

– Owszem, zauważyłam. – Jane wybrała szczerość. – Czy chciałby pan urządzić tutaj swoją główną rezydencję?

– Tak, na czas moich wizyt w Londynie. Mam również posiadłość na wsi. Nie po ojcu, gdyż on swoją zdołał jakimś sposobem przekazać swojemu młodszemu synowi, ale po dziadku ze strony matki. Otrzymałem ją w testamencie.

– Rozumiem. – Jane znowu się rozejrzała. – Czy zamierza pan spędzać tutaj dużo czasu?

– Dokładnie tyle, ile każdy przedsiębiorczy dżentelmen – odparł Paul. – Większość mego majątku zdobyłem sam, w Indiach. Nie muszę jednak tam wracać. Wszelkie dyspozycje mogę wydawać za pośrednictwem Kompanii Indyjskiej. Poza tym jako samotny kawaler nie mam zbyt wielu wydatków i wymagań, natomiast żonie pozwoliłbym spełniać swoje dowolne zachcianki... O ile znajdę damę, która szczerze by mnie pokochała.

– Cieszę się, że jest pan wobec mnie szczerzy. Nie będę miała skrupułów, doradzając panu wybór tego, co najlepsze. Tanie zakupy to pozorna oszczędność.

– Och, nie musi się pani ograniczać! Franta stać na umeblowanie domu od A do Z – odezwał się Adam od drzwi, po czym zwrócił się do Melii: – Panno Bellingham, mogę oprowadzić panią po ogrodzie? W domu nie ma w tej chwili wiele do oglądania.

Melia uśmiechnęła się, ukazując przy tym urocze dołeczki, a gdy jej opiekun skinął głową, ujęła Adama pod rękę i wyszła obejrzeć przyjemny ogród na tyłach domu. Jane zmarszczyła brwi, by w końcu uznać, że nie ma powodu do sprzeciwu. Zwłaszcza że będą przez cały czas na widoku, gdyż ogród jest niezbyt rozległy.

– Może pani zaufać Adamowi – zapewnił ją Paul, widząc odbite na jej twarzy wahanie. – Czy ma pani jakieś powody, aby kwestionować jego zachowanie względem mojej podopiecznej?

– Nie, poza jednym: że ta głupiutka dziewczyna może ulokować swoje serce tam, gdzie wcale nie jest ono pożądane.

– Tak, to możliwe. – Paul spojrział w stronę odchodzącej pary. – Wiem też, że dla niego majątek Melii nie stanowi żadnej zachęty.

– Pewnie rozgląda się za większym posagiem. – Jane spojrzała mu prosto w oczy. – Nie próbowałam zakazów, gdyż to bezcelowe, spróbuję ją jednak delikatnie zniechęcić, a pan może próbować tego samego.

– Jestem absolutnie pewny, że Adam nie zrobiłby nic, aby mi uchybić – odparł Paul, lecz twarz mu zmierzchła gdy prowadził Jane przez kolejne pokoje. Pozostały w nich tylko resztki mebli: ogromna szafa, zbyt ciężka, aby ją przenieść, i kilka wbudowanych półek w alkwie. Zniknęły natomiast wszystkie stoliki, krzesła i różne drobiazgi, zmieniające bezduszne wnętrza w domowe ognisko. W miejscach, gdzie przedtem wisiały obrazy oraz lustra, pozostały na ścianach wyblakłe ślady. – Smutny to widok, ale znalazłem już kogoś, kto wytapetuje najgorsze pokoje – dodał. – Podobno da się to zrobić, gdy wyjadę do Newmarket, na wyścigi.

– Tak, to świetne wyjście – zgodziła się Jane. – Nie ma nic bardziej uciążliwego niż robotnicy w domu. Jeżeli teraz zamówimy meble, kilka luster i srebrnych lichtarzy oraz trochę porcelany, obrazy będzie pan mógł dokupić później, w wolnym czasie. Należy wybierać tylko to, co się naprawdę komuś podoba. Obrazy odgrywają inną rolę niż meble.

– Tak, zgadzam się z panią. Słyszałem, że za trzy tygodnie zaczyna się wystawa młodych artystów. Może znajdę tam coś ciekawego...

– Doskonały pomysł! – pochwaliła go Jane i przystanęła, by podziwiać zdobiony sufit i rząd wysokich okien. – Cieszę się, że nie zakrył ich pan kotarami, gdyż widok na ogrody jest naprawdę przepiękny. Latem musi tu być bardzo przyjemnie.

– Tak, za to zimą wieje jak diabli! – Paul roześmiał się. – Ten pokój używany był tylko na przyjęcia, gdyż zapelniony gośćmi szybko się nagrzewał. Ale ja najmilej wieczory spędzałem w bibliotece lub w salonie mojej matki...

– To ten pierwszy. – Jane pokiwała głową. – Ja też wolałabym salon pańskiej matki, gdyby był stosownie umeblowany... przykładowo w stylu francuskim albo tym wybranym przez pana Adama. Moim zdaniem ta wielka szafa chippendale wpasowałaby się znacznie lepiej tutaj, w tym pokoju... O, tam, pod tą ścianą. A tam dwie sofy naprzeciwko siebie, a z boku stolik kawowy. Można by nawet zamówić dwa eleganckie stoliki i ustawić na nich kandelabry. Tam, pod oknem, widziałabym proporcjonalne biurko, a przy nim wyściełane krzesło pasujące obiciem do sofy. A na samym końcu pokoju konsolę z lustrem w rzeźbionych ramach. Przy przeciwległych ścianach można by urządzić kąciki do konwersacji, z małym stolikiem i wygodnymi fotelami, pod dłuższą ścianą proponowałabym ustawić dwie eleganckie serwantki i rząd pojedynczych krzeseł, a pomiędzy oknami z tyłu umieściłabym małe gabloty...

– Widzę, że to dobry początek. – Paul zaczął coś skrętnie zapisywać w notatniku.

– Będą potrzebne świeczniki, lampy stojące i pulpit do czytania, byle nie było tego za dużo. Stolarze, z których usług korzystałam w przeszłości, przysłą nam wybrane przez nas przedmioty, a jeżeli nie znajdziemy dla nich miejsca, zabiorą je z powrotem.

– Jestem zachwycony pani pomysłami – powiedział szczerze Paul. – Kiedy moglibyśmy zacząć?

– Jutro muszę czekać w domu na przyjazd kuzynki, żeby ją powitać... – odparła Jane. – Ale możemy się umówić na piątek rano. Część potrzebnych rzeczy trzeba będzie dopiero zamówić, więc im prędzej zaczniemy, tym lepiej...

– Nie chciałbym zajmować pani zbyt wiele czasu...

– Na ogół nie zaprzęgam sobie głowy porannymi zaproszeniami. Melia może być zachwycona śniadaniem na świeżym powietrzu, ale ja wolę wstać trochę później, zrobić małe zakupy i może odwiedzić parę znajomych osób po południu, a potem przygotować się na wieczór; czyli średnio trzy zaproszenia: na obiad, podwieczorek, a na koniec kolację z tańcami...

– Zdradzi mi pani, jakie wydarzenia pani preferuje? – rzucił Paul bez namysłu. – Nie mogę wciąż liczyć na to, że dowiem się od pani mamy.

Jane spojrzała na niego lekko zaskoczona. Była gotowa na przyjaźń, ale nie na flirt.

– Podejrzewam, że niektóre z tych spotkań nie przypadłyby panu do gustu. Myślę też, że ma pan więcej zaproszeń, niż jest pan w stanie wykorzystać...

– Owszem, dostaję ich sporo, ale niektóre mnie nie interesują... Przecież dopiero wczorajszego wieczoru po raz pierwszy udało mi się spotkać panią w towarzystwie.

Jane poczuła dziwny dreszczyk, a w duszę jej wkraść się niepokój. Wszystko przez ten wyszukany komplement. Wyglądało na to, że Frant naprawdę z nią flirtuje, dlatego odpowiedziała chłodnym tonem: – Nie uważam, żeby wieczór beze mnie był dla pana stracony.

– Może i nie – zgodził się. – Ale tak miło się z panią tańczyło i nie chciałbym stracić okazji na powtórkę.

– Skoro tak, musi pan chodzić na wszystkie bale i tańce, na jakie dostaje pan zaproszenia.

– Tak, będę miał wtedy pewność, że spotkam panią na jednym z nich – powiedział. – A w międzyczasie może pani wraz z bratem i Melią pozwoliłaby się zaprosić na wieczór rozrywki w ogrodach Vauxhall. O ile nie została już pani zaproszona...

– Will obiecał zabrać nas tam któregoś razu – wyznała – ale nie wątpię, że chętnie się przyłączy. Powinien pan z nim porozmawiać. Muszę jednak pana ostrzec... – Poczerwieniła i ugryzła się w język. Niewiele brakowało, a opowiedziałyby mu o zastrzeżeniach co do uczciwości jego przyjaciela, choć przecież na to za wcześnie. – Ach, nieważne... Brat zawsze się z radością z panem spotka... – Czy aby nie za mocno zaakcentowała słowa „z panem”, zastanowiła się. Nie chciała przecież go urazić, a on zdawał się wychwytywać wszelkie niuanse. Wrócili do salonu dokładnie w chwili, gdy Melia i jej towarzysz zakończyli spacer po ogrodzie, toteż nie poruszano już później tego tematu.

Służba przyniosła poczęstunek, rozmawiali o ostatnim balu i o przyszłych zaproszeniach, o których Melia zdążyła już wspomnieć wicehrabiemu Hargreaves, a on aż się palił, aby w nich uczestniczyć. Jane zauważyła, że jej młoda przyjaciółka wróciła z ogrodu lekko zarumieniona. Nie wyglądała jednak na zmartwioną, gdy odjeżdżały powozem sprzed domu Paula. Wręcz przeciwnie, zdawała się być w doskonałym nastroju.

– Adam powiedział mi, że ojciec lorda Franta postąpił wobec niego obrzydliwie – zaczęła paplać, podekscytowana, i oczy jej się zaświeciły. – To dlatego musi urządzić na nowo cały dom... Oczywiście jest bardzo bogaty, więc go na to stać.

– Ja też tak podejrzewałam – przyznała powściągliwie Jane, zgorzonna tym, że przyjaciel Paula rozmawia o jego prywatnych sprawach z młodzieńką dziewczyną. Powstrzymała się jednak od krytycznych uwag przy Melii, wyraźnie oczarowanej wicehrabią. – Nie naszą sprawą jest snuć domysły na ten temat, Melio. Mam nadzieję, że nikomu więcej o tym nie powiesz. Nie dyskutuje się o cudzych finansach; to bardzo niestosowne.

– Oczywiście, że nikomu nie powiem. – Melia lekko speszona oblała się rumieńcem. – Adam opowiadał mi, że zamierza wejść w spółkę z lordem Frantem, choć sam nie jest zamożny, a jego posiadłość jest bardzo mała.

– Ach, tak. – Jane spojrzała jej w oczy. – Mówisz o wicehrabim per „Adam”. Mam rozumieć, że cię o to poprosił?

– Tak, oczywiście. – Melia uśmiechnęła się wyzywająco. – Dobrze wiem, że nie wypada tak robić w towarzystwie, ale prywatnie jesteśmy Adamem i Melią.

– Nie chcę krytykować twojego zachowania, Melio, ale jesteś pod moją opieką i nie chciałabym, aby cię ktoś skrzywdził... lub uznał za zbyt łatwą. Odrobina rozważli nie zaszkodzi, Melio. Wicehrabia Hargreaves jest wprawdzie czarujący, ale mało wiemy o nim i jego sprawach.

Melia poczerwieniała i przez chwilę wyglądała, jakby chciała się spierać, lecz nagle zwinęła głowę.

– Lady March, chyba pani nie myśli, że mogłabym zrobić coś takiego, że pani musiałaby się za mnie wstydzić? Jestem ogromnie wdzięczna, że zabrała mnie pani do Londynu, choć towarzystwo młodej dziewczyny to przecież wielki kłopot.

– Nie jesteś dla mnie kłopotem – zapewniła ją Jane. – Jeżeli odezwałam się zbyt szorstko, przepraszam, bo nie chciałam cię karcić. Myślę tylko o twojej przyszłości, moja droga. Jesteś nam bardzo bliska... mnie i memu bratu Willowi.

– Tak, wiem – przyznała Melia, lekko zawstydzona. – Wybacz mi, Jane. Nie chciałam się dąsać, ale wicehrabia to straszny pochlebca, a to miłe, gdy dżentelmen prawi komplementy...

– Tak, oczywiście – powiedziała Jane. – Jednak niektórzy dżentelmeni mówią, co innego, niż myślą. Może nie dotyczy to wicehrabiego, ale lepiej zachować ostrożność w kontaktach z człowiekiem, którego się prawie nie zna...

– Nie lubisz go? – przeraziła się Melia.

– Nie wyrobiłam sobie jeszcze zdania na jego temat – odparła Jane zgodnie z prawdą. – Lubię jednak bardzo lorda Franta i zakładam, że każdy jego przyjaciel jest dżentelmenem... Ale nie spiesz się, Melio, dla własnego dobra.

– Dobrze, będę uważać. – Melia nagle się rozpromieniła. – Nie on jeden prawił mi takie wyszukane komplementy. Gdybym była naiwną panienką, pewnie z tuzin razy zawróciłoby mi w głowie na tym balu.

Jane uśmiechnęła się. Coś w oczach Melii pozwalało na przypuszczenie, że dziewczyna świetnie sobie radzi. Może ona też tylko flirtuje i nie zamierza oddawać serca jakiemuś łajdakowi...

Łajdakowi? Dlaczego pomyślała tak o wicehrabim? Czy powodem były aluzje jej brata, że oszukuje przy kartach? Nie, sprawiła to raczej jakaś nuta w jego głosie i wyraz twarzy, gdy podkreślał, że Paul ma dosyć pieniędzy, aby kupić cały dom z umeblowaniem. Jakby pod maską uśmiechów i ostentacyjnej przyjaźni do Paula ukrywał zimną zawiść.

Melia poszła na górę, aby zdjąć czepek przed obiadem, i nagle zakłuło ją sumienie. Okłamywała Jane, mówiąc jej o swoich uczuciach i zamiarach. Sugerowała, że zależy jej na tych wszystkich wielbicielach, prawiących dusery na balu. Lecz tak naprawdę, tylko jeden potrafił sprawić, że serce jej drżało – Adam.

Podczas spaceru po ogrodzie przycisnął do ust jej dłoń i spoglądając głęboko w oczy, powiedział, że nie spotkał równie pięknej dziewczyny i że z każdym dniem jest nią coraz bardziej zauroczony.

– Nie jestem pani godzien, moja droga panno Bellingham...

– Ach, nie, proszę tak do mnie nie mówić – zaczęła go błagać. – Proszę mówić mi po imieniu, Melia, jak wszyscy, których lubię...

– Na osobności to możliwe – głos miał nabrzmiały namiętnością. – Dla ciebie jestem Adamem, a ty w moim sercu jesteś Melią... Nie mogę jednak liczyć na nic więcej niż przyjaźń, moja słodka. Tak niewiele mogę ci zaoferować, a choć mamy z Frantem otworzyć stajnię wyścigową jako partnerzy mój skromny majątek nie wystarczy na utrzymanie żony, o jakiej marzę. Z czasem może dorobię się własnych domów w Irlandii i Londynie, ale może to potrwać dobre

kilka lat, a ja nie śmiałybym prosić żadnej damy, aby na mnie czekała tak długo...

Serce Melii wezbrało miłością i żalem. Jaki on szlachetny, pomyślała, rezygnuje z niej, ponieważ nie jest w stanie ofiarować jej tego wszystkiego, na co zasługiwała. Posag, jaki dał jej lord Frant, nie wystarczał, bo choć majątek jej wzrósł dzięki temu do siedmiu tysięcy funtów, to za mało, aby mogła kupić sobie męża, który sam potrzebuje środków na godne utrzymanie żony i życie w luksusie.

Jak papa mógł zostawić wszystkie swoje dobra komuś innemu, a nie własnym córkom?! Musiały być warte ze dwadzieścia tysięcy funtów, a może nawet więcej! Powinna więc dostać dziesięć tysięcy, a nie te marne pięć, jakie przeznaczył jej Frant.

Obejrzała się w lustrze, wykrzywiając usta w podkówkę. To nie wina Adama, że jego rodzony ojciec roztrwonił jeszcze za życia prawie cały majątek. Ojciec lorda Franta postąpił podobnie ze spadkiem syna.

– Paulowi jest wszystko jedno – powiedział jej Adam z żalem. – On to ma piekielne szczęście! W Indiach wyratowaliśmy młodego księcia z rąk mściwego klanu górali, ale to jemu przypadły wszystkie zaszczyty i nagrody od ojca tego księcia... Dostał ziemie i pałace... A ja prawie nic...

– Trzeba się było upomnieć! – Melia zawrzała gniewem. – Lord Frant powinien się z tobą podzielić.

– To on wyciągnął księcia z płonącego budynku – przyznał Adam. – Ale to ja z moimi ludźmi umożliwiłem mu to, odpierając napastników. Księżę oczywiście nazwał Franta swoim wybawcą. Nie chciałem się przechwalać... a maharadża przysłał nam później wino, hojny poczęstunek i sto złotych monet, które rozdzieliłem między swoich ludzi.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłeś wystąpić z pretensjami – powiedziała Melia, wzruszona. Tym bezinteresownym gestem Adam podbił jej serce. – Mimo tego uważam, że lord Frant powinien oddać ci połowę tego, co otrzymał od maharadży.

– Nie chciałbym, abyś o nim źle myślała, Melio – powiedział jej Adam. – Chcę tylko żebyś zrozumiała, dlaczego nie mogę prosić o rękę żadnej kobiety, nawet gdyby miało mi pęknąć serce. Muszę najpierw zdobyć majątek: ciężką, uczciwą pracą.

Melia przebrała się w popołudniową suknię, gdyż po lunchu miała wyjść z wicehrabią Sallisbury. Nie zapomniała bynajmniej, że złożyła mu kiedyś lekkomyślną obietnicę, nigdy jednak nie powiedziała, że go kocha lub że wyjdzie za niego, a tylko, że pragnie go lepiej poznać, zanim da mu odpowiedź.

Szczerze lubiła Willa i Jane; uważała ich za swoich przyjaciół i za żadne skarby nie chciałaby przysporzyć im zmartwień lub wstydu, ale tu, w Londynie, odkryła nowy wspaniały świat i chciała podczas pobytu wykorzystać w pełni to, co oferował.

Jej serce należało do Adama, lecz on nie zamierzał się żenić, dopóki nie zdobędzie funduszy, by móc utrzymać żonę na stosownym poziomie. Dlatego przyszło jej na myśl, że gdyby udało jej się nakłonić lorda Franta, aby dał jej większy posag, może zdołałaby również przekonać Adama, żeby raz jeszcze zastanowił się nad sensem swego szlachetnego poświęcenia. Człowiek tak honorowy, że nie chciał upominać się o należną mu część nagrody, nie będzie się przecież żenił tylko dla pieniędzy... Poza tym, czyż nie dał jej do zrozumienia, choć między słowami, że ją kocha!? Może więc, gdyby zdobyła te dziesięć tysięcy, poprosiłby ją o rękę...

Jane miała się właśnie przebierać na wieczór, kiedy usłyszała turkot powozu przed domem, krzyki pocztylionów, a potem głośne stukanie do drzwi. Narzuciła jedwabny szal i pobięła w kierunku schodów, a gdy w holu zaczęło się zamieszanie i usłyszała głos młodej kobiety, wydała okrzyk radości i spojrzała w dół. To kuzynka Sarah przybyła kilka godzin wcześniej, uprawiając służbę w popłoch.

– Wejdz na górę, Sarah, proszę – zawołała. – Przebieram się, więc nie mogę zejść do ciebie. Spodziewaliśmy się ciebie jutro rano, ale pokój masz już przygotowany. Napijemy się herbaty w moim salonie, a służba wniesie tymczasem na piętro twoje bagaże.

– Jane... – Wysoka, ciemnooka dziewczyna o jasnej cerze zaczęła wchodzić po schodach. – Przepraszam, nie chciałam zakłócać waszych planów, ale podwieziono mnie powozem przez większą część drogi i dlatego zjawiłam się tu kilka godzin przed czasem.

– Ależ nic nie szkodzi – powiedziała Jane, witając ją z otwartymi ramionami. Ucałowały się serdecznie, po czym Jane przyjrzała się uważnie kuzynce. – Jakaś ty blada, Sarah. Ogromnie mi przykro z powodu śmierci twojej kochanej mamy.

– To były straszne chwile – przyznała łamiącym się głosem. – Ojciec zostawił nam bardzo niewiele i biedna mama żyła w ciągłym strachu, że nas wyrzucą z domu. Myślę, że to stało się przyczyną... – Potrząsnęła głową i spróbowała się uśmiechnąć. – Obiecuję jednak nie wypłakiwać się przed tobą, Jane. Okazałaś mi tyle serca, przyjmując mnie pod swój dach i ratując tym samym przed... ale o tym później. Widzę, że się gdzieś wybierasz?

– Tak, jesteśmy z Melią zaproszone na wieczorek muzyczny z kolacją i może później tańcami. Nie chciałabym sprawić Melii zawodu, ale nie chcę też zostawiać ciebie samej, Sarah.

– Mną się nie przejmuj. – Sarah westchnęła. – Prawdę mówiąc, lekka kolacja w moim pokoju najzupełniej mi wystarczy. Czułabym się bardzo skrupowana, zatrzymując cię tutaj, kiedy marzę już tylko o odpoczynku.

– Dobrze, powiem gospodyni, żeby ci przyniosła kolację na tacy, a teraz pójdziemy do twoich pokojów. Jutro sobie porozmawiamy i opowiesz mi o wszystkim, moja droga.

– Jeszcze raz dziękuję ci za twą dobroć. – Sarah znów głos się załamał. – Kiedy pisałam do ciebie, byłam bliska rozpacz; myślałam, że mój los jest już przesądzony... – urwała, potrząsając głową.

Widząc jej zmęczenie, Jane zaprowadziła ją szybko do ładnego, dużego pokoju, który każała dla niej przygotować.

– Och, jaki śliczny pokój, a nawet dwa! – Sarah zorientowała się, że ma do swojej dyspozycji nie tylko sypialnię, ale i salon. – Co za luksusy, Jane. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Jutro porozmawiamy o dalszych planach. – Jane pocałowała ją w policzek i odeszła, zostawiając kuzynkę z pokojówkami, które przyszły rozpakować bagaże.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Paul raz jeszcze przebiegł wzrokiem zaproszenie od lady Featherstone. Podejrzewał, że to jakieś nudne przyjęcie i byłby zrezygnował na korzyść kart w klubie, gdyby Melia nie powiedziała Adamowi, że wraz z Jane wybierają się tam tego wieczoru. Nie będzie to zatem kompletna strata czasu, choć... czy to przypadkiem nie za wcześnie? Nie chciał, aby Jane odniosła wrażenie, że ją nęka, bo choć wyczuł, że jest zainteresowana jego projektem, nie odniósł wrażenia, by widziała w tym coś więcej, jak tylko zwykłą znajomość. To oczywiście, że nadal opłakiwała męża, choć przestała już nosić żałobę – i gdyby nie był opiekunem prawnym Melii, odrzuciłaby pewnie jego prośbę o pomoc w urządzaniu domu.

Paul spojrział ze smutkiem w lustro. Niecierpliwy z natury, chciał jak najprędzej złożyć u jej stóp swoje serce, nazwisko i fortunę, obawiał się jednak, że mógłby wprawić ją w zakłopotanie i odmówiłaby. Gdyby wyczuł u niej bodaj cień czegoś głębszego niż zaczątek rodzącej się sympatii, powiedziałby szczerze, co do niej czuje, gdyż skrytość nie leżała w jego naturze.

Pamiętał dzień, w którym wyciągnął młodego księcia Kumala z budynku, gdzie więzili go porywacze. Gdy ci łajdacy zauważyli przygotowania do ataku na ich obóz, jeden z nich podłożył ogień pod drewnianą chatę. Kiedy z jej wnętrza rozległy się przeraźliwe krzyki młodzieńca, Paul wskoczył na konia i popędził na ratunek. Porywacze strzelali do niego, gdy podjeżdżał do płonącej chaty i potem, kiedy rąbał toporem drzwi. Wbrew rozkazom kapitana, by czekać, wkroczył w ogień i wyciągnął na wpół przytomnego chłopaka, doznając przy tym rozległych oparzeń pleców oraz nogi. Młody książę nie odniósł większych obrażeń, gdyż okrył go derką, której róg narzucił sobie na głowę. Natomiast swoje blizny skrzętnie ukrywał i nikomu o nich nie mówił.

Książę Kumal poparzył sobie tylko dłonie, próbując dostać się do drzwi, ale to Paul swą błyskawiczną reakcją ocalił mu życie. Młody książę i jego ojciec byli mu za to bezgranicznie wdzięczni.

– Trzeba także podziękować żołnierzom, którzy pomagali odeprzeć porywaczy – powiedział Paul wdzięcznemu maharadży. – Sam bym temu nie podolał.

– Doniesiono mi, że to pański refleks ocalił mego syna. Wasi żołnierze i ich kapitan chcieli tylko zmusić buntowników do poddania. Kumal mówił mi, że zanim wdarł się pan do środka, aby go ratować, nie słyszał żadnych strzałów.

Nie mógł ich słyszeć, bo żadnych strzałów nie było. Adam stał i czekał, próbując ocenić siły buntowników przed ewentualnym atakiem. Mieli tylko uspokajać tubylców na tych terenach, lecz Paul od początku podejrzewał, że to ta konkretna grupa uprowadziła młodego księcia, i dlatego wziął udział w akcji.

Adam wraz ze swymi ludźmi dostał dwa tysiące złotych monet od maharadży, za pomoc w ocaleniu jego syna, o czym Paul wiedział. Jednak znacznie szcudrzej wynagrodził maharadża samego Paula – dał mu różowy pałac, ziemię i propozycję poślubienia dziewczycy z królewskiego rodu, która wniosłaby mu ogromny posag, oprócz wielu innych podarunków. Młody książę natomiast chciał mu oddać jedną ze swoich konkubin.

– Córka księżnej Heleny jest piękna; w jej żyłach płynie krew mego wuja – powiedział mu maharadża z uśmiechem. – Zostać pańską żoną to dla niej zaszczyt. A i my czulibyśmy się zaszczytzeni, gdyby zamieszkał pan wśród nas, na naszych ziemiach.

Propozycja kusząca; Paul musiał przyznać, że przez moment nawet ją rozważał, ponieważ Annamarie była prześliczna – a poza tym, kto nie chciałby żyć jak książę? On sam, dzięki swoim staraniom, doszedł do dużych pieniędzy, ale ziemię i pałace, jakie dostał od maharadży, same

w sobie warte były fortunę – poza tym ojciec Annamarie zadbał przed śmiercią o to, by zabezpieczyć jej spory posag. Odrzucił jednak tę szczerą ofertę, starając się uczynić to jak najtaktowniej, aby nie obrazić maharadży lub Annamarie. Niemniej jednak Adam uznał go za głupca.

Gdyby list od prawników dalekiej kuzynki nie przyszedł akurat wtedy, zostałby może w Indiach i wziął Annamarie za żonę, popełniając straszliwy błąd. Dumna piękność szybko by się domyśliła, że jej nie kocha, i nie byłaby szczęśliwa, wiedząc, że stała się częścią targu, ubitego przez jej wuja. Nie mieszkała już w pałacu i uważała się za osobę niezależną, słuchającą jedynie zaleceń matki.

Starając się nie myśleć już więcej o Indiach oraz przeszłości, Paul dokończył przygotowania przed wieczornym wyjściem. Miał szczęście, że jego twarz nie była pokryta tak okropnymi bliznami jak noga i plecy. Dobrze wiedział, że pod względem urody nigdy nie mógł dorównać Adamowi, jednak czasem dręczyły go wątpliwości, czy znajdzie się kobieta, która zniosłaby widok szram na jego plecach.

To dziwne, ale nawet mu przez myśl nie przeszło, że mógłby się zakochać – tak szaleńczo, że wszystko inne przestałoby się liczyć. Tymczasem wystarczyło jedno spojrzenie Jane, jeden jej uśmiech, by zapomniał o bożym świecie.

Kiedy uznał, że jest już gotowy, wziął kapelusz, pelerynę i laskę. Adam wymówił się, gdyż wolał tego wieczoru pograć w karty z przyjaciółmi.

– Nie jestem ci potrzebny – powiedział Paulowi, unikając go wzrokiem. – Wpadnę z paroma nowymi znajomymi do klubu, o którym słyszałem.

Paul chciał go ostrzec, by nie ufał nowym znajomościom i nowym miejscom hazardu, obawiał się jednak urazić Adama, a poza tym, i tak on nie posłuchałby go przecież.

W Indiach znali się dobrze, choć nie spotykali się często, gdyż Adam walczył w oddziałach ochraniających Kompanię Indyjską i przyległe tereny przed atakami wrogich tubylców. Na statku, podczas ciężkiej choroby Paula, zrodziła się między nimi szczególna więź i Paul naprawdę żałował, że Adam nie jest jego bratem. Jednak swym późniejszym zachowaniem zasiał w jego duszy ziarno zwątpienia.

Paul nie uprawiał hazardu. Owszem, lubił rozegrać z przyjaciółmi z klubu partyjkę lub dwie o rozsądną stawkę, rzecz jasna – i wstawał od stolika z niewielką przegraną lub równie niewielkim zyskiem. Niestety, nabrał podejrzeń że Adam gra o wielkie stawki, w nadziei na poprawę swojej sytuacji finansowej. Ojciec Adama, niepoprawny hazardzista, stracił w ten sposób większość swego majątku, więc syn musiał mieć to we krwi. Paul obawiał się poważnie o przyjaciela, nie mógł jednak interweniować.

Jego prawnicy dopiero zaczęli przyglądać się bliżej sytuacji Adama i wynik tej kontroli mógł stać się jedynym argumentem, zdolnym położyć kres temu szaleństwu. Jeżeli się okaże, że Adamowi została pewna suma po ojcu, może zechce wyjechać do Irlandii, jak wspólnie planowali, i uwolni się ze szponów hazardu.

Paul z westchnieniem skierował swe myśli na inne tory. Gorączka trawiąca go na statku poważnie go osłabiła, lecz wreszcie poczuł, że zaczyna wracać do dawnej formy. Już wkrótce będzie musiał objechać swoje angielskie posiadłości, chciał też wybrać się na wyścigi do Newmarket. Gdyby Adam dał się namówić na wyjazd do Irlandii, może osiadłby tam i porzucił szaleńcze mrzonki, że uda mu się odegrać i odzyskać to, co stracił jego ojciec...

Jane szczerze ucieszyła się, widząc lorda Franta wśród gości lady Featherstone. Miał to być spokojny wieczór przy muzyce, ale też z paroma stolikami do kart dla chętnych. Jak zwykle wielu dżentelmenów, którzy przyprowadzili swoje żony, córki i młode kuzynki, zniknie w karcianym salonie, ledwie zabrzmią pierwsze tony. Jane znalazła miejsce, gdzie mogły usiąść z Melią i posłuchać muzyki, lecz nie za blisko. Nie minęło wiele czasu, gdy nagle stanął obok nich lord

Frant.

– Dobry wieczór Melio, witam, lady March – powiedział. – Słyszałem, że madame Meloria to znakomita solistka, czeka nas zatem wspaniała uczta.

– Też tak słyszałam. – Jane uśmiechnęła się do niego. – Czy jest tam panu wygodnie? Z tyłu jest chyba wolne krzesło, więc mógłby je pan wziąć i usiąść obok nas, jeśli ma pan ochotę.

– Ach, tak, widzę je. – Paul oddalił się, po czym wrócił i ustawił krzesło u boku Jane, która wraz z Melią zajmowała małą sofę. – Tak będzie mi wygodniej, gdyby koncert miał potrwać jeszcze chwilę.

Melia wychyliła się w jego stronę.

– Czy wicehrabia Hargreaves nie przyszedł dziś z panem?

– Nie, o ile wiem, był już gdzieś umówiony – odparł Paul, marszcząc brwi.

– Czy coś się stało? – zapytała Jane, ale on potrząsnął głową i zapewnił ją, że wszystko jest w porządku.

Spędzili bardzo miły wieczór, słuchając muzyki, siedząc razem przy kolacji i rozmawiając. Melia zobaczyła znajomych i została zaproszona przez pewną młodą damę, aby dołączyć do jej brata oraz jego przyjaciół i zagrać w karty. Gra była łatwa i przyjemna, nie grano o pieniądze, była za to ostra konkurencja, dużo śmiechu i hałasu. Jane od czasu do czasu słyszała głośny śmiech Melii.

– Czy brat nie towarzyszył pani tego wieczoru? – zapytał Paul, gdy spotkanie miało się ku końcowi. – Myślałem, że się pojawi.

– Miał taki zamiar, ale mama zażyczyła sobie jego towarzystwa w teatrze. Księżę był chyba niedysponowany, więc zaproponował, aby Will poszedł zamiast niego, na co brat przystał z ochotą. Oboje z bratem bardzo kochamy naszą mamę.

– Tak, na to wygląda. – Paul zaśmiał się cicho. – Myślę, że niewielu potrafi się oprzeć urokowi księżnej.

– Och, nie zawsze tak było – powiedziała Jane. – Mama była bardzo młoda, kiedy jej ojciec wydał ją za mąż... i nie było to szczęśliwe stadło. Papa zanadto ją krytykował, za to Porky ją wręcz uwielbia. Wierzę głęboko, że jest jej absolutnie wierny.

Paul zamyślił się.

– Małżeństwo zawsze powinno się zawierać z miłości lub przynajmniej sympatii i szacunku, jeśli to komuś wystarcza. W moim przypadku jednak w grę wchodziłaby tylko miłość. Dama, którą zdecydowałbym się poprosić o rękę, mogłaby mieć pewność, że nigdy na inną nie spojrzę, a jej szczęście postawię sobie za cel mego życia.

Jane wysłuchiwała go w skupieniu.

– Wierzę panu. Jeżeli o mnie chodzi, nie byłabym w stanie poślubić kogoś bez miłości. Wychodząc za mąż za Harry'ego Marcha, byłam w nim szaleńczo zakochana.

– Słyszałem, że mąż pani był wspaniałym żołnierzem. To straszne, że tak szybko go pani straciła – powiedział Paul. Żarliwe współczucie w jego oczach rozgrzało jej serce; pomyślała, że na jego szerokiej piersi mogłaby znaleźć ukojenie.

– Cóż, zły los tak chciał... Harry nie należał do tych, co to trzymają się z tyłu, wysyłając swoich ludzi do ataku. Sam poprowadził szarżę i dostał kulę... – głos uwiązł jej w gardle i przez moment była bliska łez, lecz się opanowała. – Kiedy mi o tym doniesiono, byłam zdruzgotana. W końcu się z tym pogodziłam, bo życie musi toczyć się dalej... ale to właśnie stało się jedynym źródłem rozdzwiewku między mną i mamą. Ona nie może zrozumieć, dlaczego nie chcę wyjść po wtórnie za mąż...

– Sądzi pani, że nie można po raz drugi przeżyć takiego szczęścia?

– Sądzę, że nie potrafiłabym się zadowolić namiastką – przyznała się szczerze. – Tylko

jeżeli poczuje, że nie wyobrażam sobie bez kogoś życia, pomyślę o powtórny zamążpójściu.

– Mogę tylko powiedzieć, że ten, którego pani wybierze, będzie miał szczęście... a ponieważ uważam, że szkoda, aby miała pani wieść samotne życie, mogę tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia znajdzie pani kogoś takiego. – Coś w jego słowach poruszyło Jane głębiej niż wszystkie inne wyrazy współczucia, i nieomal żałowała, że jej nie wziął w ramiona i nie przytulił.

– Nie będę samotna – odrzekła, nieświadoma, że swym słodkim uśmiechem podbiła jego serce. – Moja kuzynka Sarah przyjechała do Londynu dotrzymać mi towarzystwa. Kiedy wizyta Melii dobiegnie końca, zastanowię się nad przeprowadzką do Bath. Gdyby mój brat miał się ożenić, nie mogłabym nadal odgrywać przy nim roli pani domu, gdyż byłoby to nie fair wobec jego żony – kimkolwiek ona będzie...

– Rozumiem... – Paulowi nawet nie drgnęła powieka, ale Jane wiedziała, że rozważa jej słowa. – Czy myślę się, sądząc, że pani brat wciąż wiąże z Melią pewne nadzieje?

Jane spojrzała w stronę grupki rozbawionej młodzieży.

– Myślał, że odwzajemnia jego uczucia, lecz teraz nie jest już tego taki pewny – odparła z westchnieniem. – Melia jest młoda i ładna, więc powinna mieć szansę, aby zabłysnąć w towarzystwie i dokonać wyboru. Nie chciałabym, aby Will był nieszczęśliwy, ale nie chciałabym też, żeby Melia czuła się zobowiązana poślubić go wbrew podszeptom serca.

– Myśli pani, że wszyscy mężczyźni prawiający jej komplementy na balu zawrócili jej w głowie? Czy może chodzi tylko o jednego, konkretnego dżentelmena?

– Trudno powiedzieć. Melia lubi komplementy i lubi też być w centrum uwagi, ale... kto tego nie lubi? Wygląda na szczęśliwą dzisiejszego wieczoru, jednak moim zdaniem była zawiedziona, że wicehrabia Hargreaves nie przyszedł.

– Prawdę mówiąc, sytuacja Adama nie pozwala mu się żenić – chyba że z posiadaczką fortuny, którą będzie skłonna na niego przepisać. Posag Melii to za mało. Myślę, że on ożeni się z jakąś bogatą dziedziczką albo zamożną wdową. Może warto, by pani od czasu do czasu rzuciła jakąś aluzję co do jego położenia. Po co dziewczyna ma sobie robić niepotrzebne nadzieje na przyszłość. On nie jest całkiem bez grosza; nie chcę żebyście tak myślały – ale nie jest też na tyle bogaty, by żyć na wysokiej stopie, tak jak lubi, i jeszcze utrzymać żonę i dzieci.

– Tak też podejrzewałam. – Jane westchnęła. – Uważam jednak, że nie byłoby to rozsądne, gdybyśmy próbowali na nią wpłynąć. Melia musi sama zdecydować, czego pragnie od życia.

– Jest pani bardzo mądra. – Paul znów się zadumał. – Rzeczywiście, wtrącanie się w życie naszych przyjaciół, to często nierozsądny krok, bo nawet jeżeli nas o to proszą, rzadko są nam później wdzięczni.

– Obawiam się, że ma pan rację. – Jane wstała i podała mu rękę. – Był to niezwykle przyjemny wieczór i bardzo niechętnie wychodzę, ale powinnam. Sarah już wystarczająco długo jest sama, więc muszę wracać do domu i zobaczyć, jak się czuje.

– Tak, oczywiście. – Paul spojrzał na Melię. – Moja podopieczna nie będzie zadowolona, kiedy usłyszy, że trzeba wracać. Wciąż jest pochłonięta grą – i wygrywa, sądząc po okrzykach.

– Mimo to muszę ją zabrać do domu.

– A gdybym to ja ją odwiózł... powiedzmy, za godzinę?

Jane miała już na końcu języka, że to niezbyt dobry pomysł, ale sobie przypomniała, że Paul, jako prawny opiekun Melii, nie musi pytać nikogo o pozwolenie. Mógłby nawet zażądać, żeby zamieszkała z nim i jakąś przyzwoitką.

– Tak, to dobre wyjście – zgodziła się.

Melia, zapytana, zawahała się, a potem skinęła głową. Powiedziała, że ma nadzieję, że kuzynka Sarah dobrze się już czuje. Nie będzie też chciała nikomu przeszkadzać, więc po powrocie uda się prosto do swojego pokoju.

– Wolę, żebyś przyszła powiedzieć mi dobranoc – przyznała Jane. – Nie będę jeszcze spała i nie mogłabym zasnąć, dopóki się nie dowiem, że wróciłaś bezpiecznie do domu.

– Och, skoro tak sobie życzysz. – Melia wzruszyła ramionami. – Ale lord Frant jest moim opiekunem prawnym... i jest też o wiele za stary, żeby mogły z tego wynikać jakieś konsekwencje...

Jane spojrzała na nią ze zdumieniem. Jak można mówić tak o kimś, kto zrobił dla niej tyle dobrego? Pięć tysięcy funtów to niemała suma, a rozsądnie zainwestowana, może przynieść dochód umożliwiający dziewczynie wygodne życie aż do zamążpójścia. Mieszkając z ciotką, nie będzie ponosiła żadnych kosztów i będzie mogła wydawać odsetki na swoje zachcianki.

Jane pożegnała się z Melią, kazała wezwać powóz i pojechała do domu. Gdy ruszyli z miejsca, oparła się o skórzaną poduszkę, a z jej ust wyrwało się ciche westchnienie, bo chętnie zostałaby jeszcze godzinę. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy spędziła równie przyjemny wieczór, a zawdzięczała to lordowi Frantowi, który okazał się niebywale interesującym rozmówcą. Jego opowieści o życiu w Indiach wydały jej się pasjonujące.

Po powrocie do domu porozmawiała z gospodynią, która jej powiedziała, że panna Sarah położyła się już do łóżka i wypila zaparzone dla niej ziółka.

– Strasznie ją bolała głowa, *milady*, więc dałam jej specjalną mieszankę, przyrządzaną dla pani kochanej mamy. Będzie spać do rana.

– Wobec tego nie chcę jej przeszkadzać – oznajmiła Jane. – Poproszę o kubek gorącego mleka i parę słodkich biszkoptów. Posiedzę w ubieralni, dopóki lord Frant nie odwiezie swojej podopiecznej. Proszę mnie zawiadomić, kiedy tylko Melia wróci do domu.

– Oczywiście, *milady*.

Jane udała się na górę do swoich apartamentów, gdzie pokojówka pomogła jej się rozebrać, i rozczesła jej włosy. Wyglądało na to, że niepotrzebnie odjechała tak wcześnie, martwiła się jednak o Sarah.

Po odprawieniu pokojówki próbowała poczytać książkę w wygodnym fotelu, lecz myślaniami wciąż wracała do lorda Franta i jego uśmiechu. Lata spędzone w Indiach wyrzeźbiły siateczkę zmarszczek wokół jego oczu. Może zbyt często musiał je mrużyć, patrząc pod słońce? Taka lekko pobrużdżona twarz wydała jej się całkiem atrakcyjna i wyrazista, znamionując człowieka, który zna życie – a także, o ile intuicja jej nie myli, poznał, co to cierpienie.

Nie potrafiła jeszcze powiedzieć, czym ją tak zainteresował, ale przy każdym kolejnym spotkaniu dowiadywała się czegoś więcej o nim i o jego charakterze – i wszystko jej się podobało. Pomyślała, że Paul Frant to człowiek godny zaufania, a jego szczerłość i bezpośredniość, z jaką się do niej zwracał, ujęła ją za serce.

– Cieszę się, że mamy okazję побыć przez chwilę sam na sam – zwróciła się Melia do siedzącego naprzeciw niej Paula, kiedy jego powóz ruszył z miejsca. – Chciałam porozmawiać z panem o wicehrabim Hargreaves... to znaczy, o jego trudnej sytuacji, uniemożliwiającej mu ożenek z miłości...

– Czyżby? – Paul zmrużył oczy, Melia zlekceważyła jednak ten sygnał ostrzegawczy. – Nie sądzisz, że to niestosowne rozmawiać o człowieku, którego się prawie nie zna?

– Nie, ponieważ od tego zależy moje szczęście. Musi pan wiedzieć, że jestem w nim zakochana i jeżeli nie będzie mógł mnie poślubić z braku odpowiednich środków, pęknie mi serce.

Paul milczał przez chwilę, po czym zapytał:

– Czy Hargreaves rozmawiał z tobą o małżeństwie, Melio? Powinien był zwrócić się do mnie o pozwolenie, ponieważ jesteś małoletnia... a nawet gdy osiągniesz dopuszczalny wiek, wymaga tego dobry obyczaj.

– Też coś! W ogóle nie zwracałabym na to uwagi, gdybym była pełnoletnia i miała sto-

sowny majątek. Nie wątpię, że gdyby papa żył, dałby mi co najmniej dziesięć tysięcy funtów w posagu.

– A ja bardzo wątpię, by twój ojciec zdołał wyasygnować taką sumę – powiedział Paul. – Musiałby w tym celu sprzedać swoją posiadłość, czego zgodnie z prawem majoratu nie mógł uczynić, jak ci wiadomo.

Melia umilkła z zaciętą miną, by po chwili zaatakować ponownie:

– Nie uważa pan, że jest pan coś winien wicehrabiemu za to, co zrobił, gdy ratowaliście tego księcia? Pan został hojnie wynagrodzony, a on dostał marną garść złotych monet, którymi się podzielił ze swoimi ludźmi.

– Czy Hargreaves tak ci powiedział?

Melia zawahała się, jakby wreszcie pojęła, że jej zachowanie jest nie tylko niegrzeczne, ale i bardzo nieroztropne.

– Próbuje pan zaprzeczyć, że tak było naprawdę?

– Jak było naprawdę, to moja sprawa, i nic innym do tego – odparł Paul ze spokojem, choć wszystko się w nim gotowało.

Nie potrafił osądzić, czy niesprawiedliwe oskarżenia dziewczyny to skutek jej osobistej niechęci, czy także tego, co jej naopowiadał Adam. Czy to możliwe, by człowiek, którego miał za swego najlepszego przyjaciela, zazdrościł mu prezentów od maharadży? Udział Adama w tamtej walce był niezaprzeczalny i heroiczny, lecz spóźniony – a młody książę przeżył wyłącznie dzięki błyskawicznej reakcji Paula. Poza tym maharadża uważał, że żołnierze wykonywali swój obowiązek, ochraniając jego prowincję, za co im przecież płacono. Zaś jego szczodry dar – dwa tysiące złotych monet – trudno nazwać marną garścią, nawet jeżeli Adam podzielił się ze swoimi ludźmi.

– Moim zdaniem, dwa tysiące złotych monet to godziwe wynagrodzenie dla kogoś, kto wykonuje swoją pracę. Armia pobiera żołd za to, że strzeże ładu w poszczególnych prowincjach, a te dwa tysiące to był hojny dar.

– Jakie dwa tysiące?! Daleko do tego! Przecież...

– Zapewniam cię, że taką właśnie sumę wręczono Hargreavesowi i jego ludziom, wraz z winem i obfitym poczęstunkiem.

– Nawet jeżeli tak, to dlaczego pan miałby dostać o tyle więcej? – zapytała Melia z prentensją w głosie. Nagle mina jej zrzedła i wytrzeszczyła oczy, a Paul domyślił się, że Adam musiał jej podać inną kwotę.

– Mówisz o sprawach, których nie rozumiesz – powiedział dobrotliwym tonem. – Radzę ci, dobrze się zastanów, zanim znów zechcesz rozmawiać ze mną na ten temat. Gdybyś bowiem знаła prawdę... – Westchnął. – Zresztą, nieważne. Jesteś młoda i zakochana i wydaje ci się, że liczą się tylko twoje życzenia. Dopóki trochę nie wydoroslejesz i nie nauczysz się myśleć także o innych, nie dostaniesz mojej zgody na ślub – nawet gdyby Hargreaves poprosił cię o rękę i dysponował majątkiem godnym twoich oczekiwań.

– Nienawidzę pana! Żałuję, że papa w swoim testamencie mianował pana moim opiekunem!

– Przypominam ci, że twój papa nie wyznaczył mnie, tylko mojego ojca, czyli swojego kuzyna – zauważył Paul. – Z tego, co wiem, przyjaźnili się, ale mój ojciec nie żyje, a twój zmarł na krótko przed nim. Tak to się niefortunnie złożyło. Przypuszczam, że druga żona mego ojca mogła wziąć cię do siebie, ale z pewnością nie dałaby ci pięciu tysięcy funtów. Ciesz się z tego, co masz, Melio... I przestań się dąsać, bo ci z tym nie do twarzy.

Melia spojrzała na niego ze złością, ale nic nie powiedziała, a ponieważ zajechali przed dom wicehrabiego Salisbury, Paul pomógł jej wysiąść i odprowadził ją pod same drzwi.

– Nie życzysz mi dobrej nocy, Melio? Lepiej, abyśmy pozostali w dobrych relacjach.
– Och, no to dobranoc – odburknęła. – Ale uważam, że mógłby pan pomóc wicehrabiemu Hargreaves, abyśmy się mogli pobrać.

– Wiem, że tak uważasz – odparł z bladym uśmiechem. – Bądź cierpliwa, Melio. Wszystko się jeszcze ułoży, zobaczysz. Może któregoś dnia będziesz mi wdzięczna, że nie zrobiłem tego, o co prosiłaś.

Drzwi otworzyły się; Melia weszła do środka, a Paul wsiadł do powozu i resztę drogi do domu przejechał pogrążony w zadumie. Niewątpliwie Melii opowiedziano bajeczkę, mającą ją przekonać, że to Adam odegrał główną rolę w ocaleniu księcia. Musiał to być jedyny powód jej wrogiego nastawienia. Prawdę mówiąc, nie obchodził go jej charakter i mógł tylko dziękować Bogu, że zbyt pochopnie nie zaproponował jej małżeństwa. Nie pasowałiby przecież do siebie – nawet gdyby się zgodziła.

Czy Adam rzeczywiście był mu tak niechętny, jak by to wynikało z rzuconych niebacznie słów Melii? Jeżeli naprawdę uwierzyła, że zagarnął dla siebie wszystkie nagrody i zaszczyty należące się Adamowi – to i Adam mógł być tego zdania.

Poczuł lekki przyływ niepokoju. Był Adamowi tak wdzięczny za jego opiekę na statku, że nie myślał już o nim inaczej, jak tylko o swoim najlepszym przyjacielu. A przecież tam, w Indiach, nie byli sobie aż tak bliscy. Pamiętał, że Hargreaves sprawiał wtedy wrażenie zakochanego w Annamarie. Ku swej konsternacji przypomniał sobie, że gdy zaleczył rany odniesione w trakcie ratowania młodego księcia, to jego Annamarie zaczęła nagle faworyzować. Jej matka odwiedziła go parokrotnie, gdy leżał poparzony, i zaprosiła, by je odwiedził, kiedy dojdzie do siebie. Dopiero wtedy ta piękna młoda dziewczyna dała mu jasno do zrozumienia, że jest godzien zostać jej mężem.

Uśmiechnął się gorzko; w jedną noc został bohaterem małej społeczności, a Annamarie nie była jedyną dziewczyną rzucającą mu zachęcające uśmiechy. On zaś, szczęśliwy, że wyzdrowiał, chciał tylko, aby ludzie jak najprędzej zapomnieli o jego szaleńczej szarży i przestali robić tyle hałasu o coś, co uważał za naturalny odruch. Owszem, był świadom, że Annamarie jest nim zainteresowana, ponieważ zaproponowano mu jej rękę, ale nie przywiązywał do tego większej wagi. Nagle naszała go myśl, że może jednak przed tamtą dramatyczną nocą, po której zostały mu rozmyte wspomnienia i tygodnie bólu, Adam miał jakieś podstawy, by sądzić, że zostanie wybrany przez Annamarie?

Sięgnął w głąb pamięci i jak przez mgłę przypomniał sobie pewną scenę, o której zdążył już zapomnieć. Działo się to na balu jego regimentu, na który został zaproszony jako były oficer oraz wpływowy biznesmen. Adam także tam był, świeżo oddelegowany, przystojny jak diabli w nowiuteńkim oficerskim mundurze. Czy to gra wyobraźni, czy rzeczywiście widział, jak Adam z Annamarie wychodzą na werandę, by wrócić za jakieś pół godziny, cali w pąsach i podnieceni?

Czy to możliwe, by Adam obwinił go o utratę względów Annamarie? Czy ten młody oficer bez majątku, z małymi widokami na jego zdobycie w czasach pokoju, mógł żywić nadzieję, że zechce go poślubić posażna piękność z królewskiego rodu? Przecież nikt nawet nie wzięłyby go pod uwagę.

Co do Annamarie... Pewnie wydadzą ją za jakiegoś księcia w Indiach – chyba że matka przywiezie ją do Anglii i znajdzie jej męża z najwyższych sfer... Ale to już nie jego zmartwienie. Wkraczając do domu, Paul wzruszył ramionami. Skoro postanowił pozostać w Anglii i odrzucił propozycję wdzięcznego maharadży, sprawa ta go nie interesuje – odbiła się jednak na jego relacjach z Adamem.

Do tej pory niecierpliwie wyglądał dnia, gdy wraz z przyjacielem otworzą stajnię wyścigową, ale jeśli Adam jest do niego wrogo nastawiony, to chyba nie najlepszy pomysł... Pokręcił

głową, lecz odpędził tę myśl. Nie, to raczej Melia, pełna pretensji do ojca za jego testament, źle zrozumiała słowa Adama. Oby tak było...

Z westchnieniem pomyślał, że odtąd będzie musiał mieć oczy i uszy otwarte.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Mama została praktycznie bez grosza – przyznała się Sarah, gdy rankiem zasiadły z Jane w salonie nad filiżanką kawy. – Odkrycie, że z roku na rok papa coraz głębiej grzązł w długach, było dla niej strasznym ciosem.

– Mogę to sobie wyobrazić – powiedziała Jane. – Dlaczego od razu nie zwróciłyście się do mnie? Zrobiłabym, co w mojej mocy, aby wam pomóc. Mogłyście obie zamieszkać w moim domu. Z radością udzieliłabym wam gościny.

– Nie chciałyśmy prosić nikogo o wsparcie. Brat mamy sprzedał to, co zostało z majątku papy, i wynajął nam domek na terenie swojej posiadłości. Miałyśmy środki na godne życie, ale po śmierci mamy wuj stwierdził, że nie mogę mieszkać tam sama, a jego żona mnie nie lubi... – Sarah zawahała się. – Zasugerował, że powinnam wyjść za mąż, i przedstawił mi dwóch kandydatów: sir Jonathana, sympatycznego dżentelmena po sześćdziesiątce, oraz kapitana Brusha, wdowca obciążonego szóstką dzieci. A ponieważ jego żona zmarła z wyczerpania, na skutek licznych ciąż i porodów, chyba trudno mi się dziwić, że nie miałam ochoty zająć jej miejsca. Sir Jonathan był bardzo serdeczny i powiedział mi, że pragnie tylko miłej towarzyszkii, ale...

– Dobry Boże! – Jane wychyliła się nad stołem i chwyciła ją za rękę. – Twój wuj postąpił bardzo nie fair, stawiając cię przed takim wyborem. Absolutnie nie powinnaś wychodzić za żadnego z tych panów!

– Zastanawiałam się, czy nie przyjąć oferty sir Jonathana, aby zadowolić wuja. Potem jednak pomyślałam o tobie, Jane, i napisałam list... Bardziej z rozpacz niż z nadziei na cokolwiek.

– Bardzo się cieszę, że tak zrobiłaś – szczerze przyznała Jane. – Jeżeli Will się ożeni, będę musiała pomyśleć o domu dla siebie. Może zdecyduję się zamieszkać w Bath, choć lubię też wyjeżdżać na wieś. Oczywiście, potrzebne mi będzie damskie towarzystwo, a twój list nasunął mi pewną myśl. Mogłybyśmy być bardzo szczęśliwe, mieszkając razem w Bath. Odwiedzałybyśmy Londyn, wiejskie posiadłości i od czasu do czasu mojego brata – ale większość czasu spędzałybyśmy w jakimś przyjemnym miejscu w Bath. Co ty na to, Sarah?

– Mój Boże, chyba mi cię niebo zesłało! Ale... nie zdarza ci się myśleć o ponownym zamążpójściu? – zapytała Sarah z westchnieniem.

– Raczej nie... – Jane zawahała się. – To znaczy... byłam zdecydowana pozostać już na zawsze wdową po Harrym, ale teraz nie wykluczam już tego tak definitywnie. Ale i ty możesz poznać kogoś, kogo zapragniesz poślubić, i gdyby doszło do tego, będę ci życzyć szczęścia, moja kochana. Natomiast gdybym to ja wyszła za mąż jako pierwsza, mój dom zawsze będzie twoim domem.

– Jakaś ty dla mnie dobra...! – powiedziała Sarah. – Nie chciałabym być dla ciebie ciężarem...

– I nigdy nie będziesz – zapewniła ją pospiesznie Jane. – Tak czy owak, będę musiała zatrudnić kogoś do towarzystwa, a wołałabym cię po prostu gościć dopóty, dopóki będzie nam to odpowiadało. Teraz bawi u mnie Melia, młoda dziewczyna, która zawsze wie swoje... Poza tym to tylko wizyta do końca naszego pobytu w Londynie. Will wiąże z nią pewne nadzieje, obawiam się jednak, że ktoś zdążył już zawrócić jej w głowie. Cóż, z dwojga złego lepsze to, niż gdyby skradł jej serce, ponieważ nie potrafię polubić tego człowieka...

– To niemożliwe, by wołała kogoś innego, jeśli stara się o nią... – Sarah urwała i spłonęła rumieńcem. – Twój brat jest taki miły i mądry, Jane. Gdy zesłam na dół tego ranka... trudno

wręcz sobie wyobrazić bardziej serdeczne powitanie.

– Tak, bardzo kocham Willa i byłoby mi ogromnie przykro, gdyby Melia go zraniła. Mam jednak nadzieję, że potrafi podjąć właściwą decyzję. Albo jest to dziewczyna jego życia, albo nie... zresztą, może niepotrzebnie się wtrącam. Melia nie rozmawiała ze mną o swoich uczuciach, więc skąd mogę wiedzieć, co każde z nich myśli.

– Jako siostra, troszczysz się przede wszystkim o swojego brata – powiedziała ze zrozumieniem Sarah. – W dzieciństwie bardzo chciałam mieć rodzeństwo, ale teraz, po tym, co zrobił nam papa... cieszę się, że nikogo więcej nie skrzywdził.

– Wiem, co czujesz. Mój ojciec nie roztrwonił majątku, był jednak nazbyt surowy. Wciąż tylko rozkazywał całej rodzinie i mieliśmy z nim ciężkie życie... Zwłaszcza biedna mama.

– Ale teraz jest szczęśliwa, prawda? Dostałam od niej przemiły list. Napisała, że pomoże mi kupić jakieś ładne stroje, kiedy będę u ciebie i... że mogłaby mi poszukać męża wśród swoich znajomych – dodała zapłonią.

Jane roześmiała się.

– Moja biedna mama już chyba zrezygnowała ze mnie, więc teraz chce się zająć tobą. Powiem jej, żeby cię zostawiła w spokoju.

– Och, nie, ona ma jak najlepsze intencje! – zaproponowała Sarah. – Obiecała mi, że nie będzie mnie do niczego zmuszać, przedstawi mi tylko paru uroczych dżentelmenów, którzy mogą mnie uszczęśliwić, jeśli tylko im pozwolę...

– Mama przedstawiła mi całą paradę przystojnych i bogatych dżentelmenów... – Jane uśmiechnęła się na samo wspomnienie – ...ale z jakichś powodów się poddała. Będzie w swoim żywiole, mogąc cię przedstawić swoim znajomym, a jeżeli ciebie to nie krępuje, tym bardziej nie ma w tym nic złego.

– Nie, wcale mnie to nie krępuje! – zapewniła ją Sarah. – Księżna przyjedzie po mnie o dziesiątej i chce mnie zabrać do swojej krawcowej.

– W tych sprawach nie zamierzam wam przeszkadzać – powiedziała Jane. – Mama ma świetny gust i będzie wiedziała, w czym ci do twarzy. Chciałam ci przeznaczyć pewną sumę na stroje, i tak zrobię, ale pozwól też mojej mamie rozpieszczać cię trochę. Dostaje od Porky'ego znacznie więcej, niż jest w stanie wydać na siebie, dlatego lubi obdarowywać swoich bliskich. Nie wątpię, że gdy Will się ożeni, będzie zasypywała prezentami jego żonę i dzieci.

– A dlaczego nie? – Sarah roześmiała się cicho. – Po to przecież są pieniądze, żeby je wydawać na tych, których się kocha.

– Tak, dlatego nie oponuj, Sarah. Ta wyprawa do Londynu miała być przyjemnością, a my z mamą bardzo lubimy dawać prezenty. – Jane dotknęła jej ręki. – Mam pewne sprawy do załatwienia dziś rano... chyba że potrzebne ci moje wsparcie?

– Nie, bynajmniej; uwielbiam księżną. Nie chcę też w żaden sposób kolidować z twoimi planami, Jane.

– O tym nie może być nawet mowy. Masz czuć się wśród nas jak u siebie w domu. Po południu zabiorę cię na wizyty, a wieczorem wszyscy jesteśmy zaproszeni na tańce. Will zamierza nam towarzyszyć, więc udamy się tam całą rodziną. Jutro natomiast wybieram się do paru składów meblowych z lordem Frantem. Może chciałabyś się przyłączyć?

– Wolalabym zostać w domu. Może mogłabym zrobić coś dla ciebie, Jane? Układać kwiaty lub porządkować twoją korespondencję? Robiłam to dla mojej mamy.

– Możesz zająć się kwiatami, jeśli masz ochotę, ale jesteś tu po to, żeby się dobrze bawić. Wkrótce nawiązesz ciekawe przyjaźnie, a twoje nazwisko będzie oczywiście figurować na wszystkich moich zaproszeniach, kiedy tylko rozejdzie się wiadomość, że jesteś w Londynie.

– Muszę iść na górę po szal – powiedziała Sarah. – Księżna będzie tu lada chwila, a nie

chę, aby musiała na mnie czekać.

Jane skinęła głową i pozwoliła jej odejść, ale ledwie zasiadła przy biurku nad korespondencją, drobne zamieszanie w holu obwieściło przybycie jej mamy. Zaraz potem drzwi otworzyły się na oścież i księżna wkroczyła do salonu. Była to ładna kobieta o delikatnych rysach i włosach, które zachowały naturalny odcień, perłowy blond. Jej ubiór – ostatni krzyk mody – sprawiał, że wyglądała dwa razy młodziej, często też brano ją za siostrę Jane.

– Córko, moje kochanie! – Mama uściskała ją czule, wciągając w obłok drogich perfum. – Jak się miewa nasza kochana Sarah? Co ona, biedactwo, przeżyła...!

– Już znacznie lepiej się czuje – odparła Jane. – Jest jeszcze trochę smutna, choć chyba jest już skłonna zdjąć żalobę i pozwolić, abyś ją ubrała, najdroższa mamó. Myślę, że nie chciałaby jeszcze nosić jaskrawych kolorów, ale wiem, że znajdziesz dla niej najlepsze rozwiązanie.

– Oczywiście, że tak – zapewniła córkę księżna. – Nikt nigdy nie wątpił w mój dobry gust i wyczucie. Powinna się ubierać twarzowo, ale nie krzykliwie, czyli stosownie dla panny, która niedawno straciła matkę.

– Masz rację, mamó. – Jane pokiwała głową. – Powiem ci też, że poważnie myślę o tym, by zamieszkać z nią w Bath. Sądzę, że dobrze byśmy się ze sobą zgadzały, mamó też chyba dosyć podobne gusta.

– To tylko gdybanie – powiedziała mamó z enigmatycznym uśmieszkiem. – Liczę na to, że uda mi się znaleźć mężów dla was obu, zanim sezon się zakończy...

– Mamó, bardzo cię proszę; żadnych kombinacji ze mną w roli głównej... i nie próbuj naciskać na biedną Sarah. Zaznała tego w nadmiarze od wuja.

– Tak, wiem. – Mamó pokiwała głową. – Absolutnie nie będę jej przymuszać. Jednak gdyby poznała kogoś, kto ją pokocha, lecz jest niebogaty, mój najdroższy Porky dobrze ją zabezpieczy. Wiesz, że on zrobi wszystko, aby mnie uszczęśliwić, prawda?

– Wiem, najdroższa mamó – odparła Jane ze śmiechem. – Owinęłaś go sobie wokół małego paluszka.

– Nic podobnego! – zaprotestowała księżna z figlarnym błyskiem w oku. – Porky lubi po prostu być hojny. Nie potrafiłby wydać jednej dziesiątej swojej fortuny, gdybym mu nie pokazała, jak to zrobić. Jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy jak w tej chwili... Powtarza mi to co noc... i każdego ranka, ledwie otworzy oczy.

– Tak, to prawda – przyznała Jane. – A ty, mamó też jesteś taka szczęśliwa?

– Oczywiście. Porky mnie uwielbia, a to coś cudownego. Jest mi bardzo bliski i lubię się o niego troszczyć. On mnie potrzebuje, rozumiesz, był taki zagubiony i samotny, zanim mnie poślubił.

Jane uśmiechnęła się w duchu, gdyż Porky miał całą masę przyjaciół, a także legion wiernej służby gotowej zaspokoić każdą jego potrzebę. Może jednak tym, co dawało mu prawdziwe szczęście, była nieustająca adoracja ślicznej, filuternej żony...?

Tymczasem Sarah zeszła na dół i Jane odprowadziła ją oraz mamę do eleganckiego powozu, o wnętrzu wyściełanym skórzanymi poduchami. Gdy wracała do salonu, zobaczyła na schodach Melię w stroju spacerowym.

– Wychodzisz gdzieś, Melio?

– Tak, z panną Anną Smythe i jej bratem, kapitanem Smythe'em. Umówiliśmy się już wczoraj wieczorem, na przyjęciu. Mówiłam ci po powrocie do domu, nie pamiętasz?

Jane była pewna, że Melia wetknęła tylko głowę przez drzwi, by zapytać, czy wszystko w porządku, po czym oddaliła się do swego pokoju. Teraz, patrząc na nią z bliska, pomyślała, że dziewczyna jest blada i ma zapuchnięte oczy, jakby płakała. Nie wyglądała już tak świeżo i uroczco, jak tuż po przyjeździe do Londynu.

– Czy coś cię gnębi? – zapytała zaniepokojona.

– Nie, wszystko w porządku. – Melia odwróciła wzrok. – Muszę już iść. Czekam na mnie moja pokojówka i mam się spotkać z nimi o wpół do dwunastej. Nie wrócę do domu na lunch, ale nie jestem głodna.

Jane pozwoliła jej odejść. Melia była jej gościem, ale nie podopieczną, nie zamierzała więc jej pouczać, co wypada, a co nie – przynajmniej na razie. Skoro przydzieliła jej na wyjście pokojówkę, nie było powodu, aby dziewczyna nie miała spotkać się w parku z przyjaciółmi.

Jane z westchnieniem zaczęła przeglądać zaproszenia, nadesłane tego ranka. Na każdy wieczór miały przynajmniej po trzy propozycje i czasami udawało im się pokazać we wszystkich miejscach. Jeżeli jednak wieczorem był jakiś ważny bal lub prywatna wizyta do teatru, wysyłała pozostałym zapraszającym liścik z przeprosinami za nieobecność.

Stała zamyślona przy oknie, kiedy usłyszała za sobą ciche kroki. Odwróciła się i zobaczyła brata, wchodzącego do salonu. Był taki przystojny i taki kochany, że serce jej się ścisnęło. Jeżeli Melia go skrzywdzi, nigdy jej tego nie wybaczy, pomyślała.

– Jesteś sama, Jane? – zapytał Will lekko stropiony.

– Tak. Mama zabrała Sarah na zakupy, a Melia poszła na spacer z kapitanem Smythe'em i jego siostrą.

– Nie z wicehrabią Hargreaves?

– Nie. Chyba jest na niego trochę obrażona, bo mówiła mu wyraźnie, gdzie będziemy wczorajszego wieczoru, a on wybrał się gdzieś indziej.

– Ach, tak, rozumiem... Nic dziwnego, że jest niezadowolona. – Will uśmiechnął się do Jane. – Czyli na lunchu będzie nas tylko dwoje?

– Tak, zupełnie jak w domu. – Jane podeszła do niego. – Dobrze się bawisz w Londynie, mój miły?

– Tak, zawsze cieszy mnie możliwość odwiedzenia przyjaciół, goszczenia ich u siebie... a także kupna nowych ubrań. Zamówiłem trzy pary wysokich butów i dwie nowe peleryny u Westona. Myślę, że ten styl będzie odpowiedni na wsi.

– Jeżeli się ożenisz, Will, twoja żona będzie może chciała częściej bywać w Londynie. Melii bardzo się podoba Londyn.

– Tak, to widać. – Will zamyślił się. – No cóż, nie będziemy martwić się na zapas. Mam nadzieję, że porzuciłaś ten nonsensowny pomysł, aby zamieszkać sama?

– Ależ ja nigdy nie zamierzałam być sama – odparła Jane. – Sarah idealnie nadaje się na moją towarzyszkę, nie uważasz?

– Wydaje mi się, że to bardzo miła dziewczyna. – Will roześmiał się. – Nie należy chyba mówić tak o niej, bo jest w tym samym wieku co ty, Jane, i sprawia wrażenie osoby dojrzałej.

– Przechodzi ciężkie chwile po śmierci ojca. Jej matka również. Opowiadała ci o swoich przeżyciach?

– Tak, trochę, ale reszty można się było doczytać między wierszami. Szczerze jej współczuję i przyznam się, że poczułem do niej ogromną sympatię. Proszę cię, Jane, zróbmy wszystko, by wiedziała, że jest mile widziana i może u nas mieszkać, jak długo zechce... Choć jest tak atrakcyjna, że nie pozostanie długo niezamężna.

– Ona nie ma posagu, Will. – Jane uśmiechnęła się w duchu, widząc, jak szybko jej brat zmienił zdanie o kuzynce, którą jeszcze niedawno uważał za nieładną.

– To prawda, lecz jej miłe usposobienie przyciągnie wielbicieli, a ja chętnie dam jej posag, jeśli tylko zechce go przyjąć.

– Ja też mam ten sam zamiar – powiedziała Jane. – Mama byłaby szczęśliwa, gdyby Sarah z nią zamieszkała, gdyż jest nią oczarowana – ale jak sam słusznie zauważyłeś, nie sądzę, by

przyszło nam długo czekać na ślub kuzynki.

– Ale to kuzynka w drugiej linii – przypomniał jej Will. – Sarah jest kuzynką mamy, mimo że mówiliśmy o niej jako o naszej kuzynce...

– Tak, oczywiście... dla nas jest kuzynką w drugiej linii – przyznała Jane, zastanawiając się, dlaczego brat tak bardzo akcentuje ich dalsze pokrewieństwo.

– Ma pani doskonały gust – ocenił Paul, gdy obeszlą cały skład meblowy i dokonali kilku zakupów. Poprowadził potem Jane do swojego powozu, pomógł jej wsiąść i na koniec sam wspiął się po schodkach. – Podobało mi się wszystko, co pani wybrała, i wiem, że będę się czuł dobrze wśród tych mebli.

– Załatwiliśmy dopiero jedną trzecią pańskiej listy – przypomniała Jane i roześmiała się, widząc jego spojrzenie. – Tak, wiem, mężczyźni często są zdania, że takie zakupy należy robić powoli... Nic bardziej mylnego.

– No cóż... W każdym razie jestem pani dozgonnym dłużnikiem, lady March. Gdyby nie pani porady, nie wiedziałbym, od czego zacząć.

– Cała przyjemność po mojej stronie, milordzie – odparła skromnie, lecz z żartobliwym błyskiem w oku. – Świetnie się bawiłam tego ranka i już się nie mogę doczekać, kiedy będę mogła złożyć panu wizytę i obejrzeć porostawiane meble.

– Będzie pani miała okazję uczynić to jako pierwsza. Teraz wyjeżdżam na kilka dni na wyścigi konne w Newmarket i mam nadzieję, że większość prac zostanie wykonana pod moją nieobecność...

– Tak będzie najlepiej – orzekła Jane. – Człowiek czuje się intruzem we własnym domu, okupowanym przez ekipę remontową.

– To prawda. – Paul westchnął. – Muszę się pani przyznać, że po raz pierwszy odważyłem się na taki krok. Wcześniej nie miałem własnego domu w Anglii, a mój pałac w Indiach oczywiście był umeblowany...

– Pański pałac? Naprawdę ma pan pałac, milordzie?

– Ofiarował mi go maharadża z wdzięczności za ocalenie syna. Jak na ich standardy jest niewielki, ale jednak... Otaczają go urokliwe ogrody pełne chłodnych sadzawek i fontann, a drzewa rzucają miły cień, chroniąc przed palącym słońcem...

– Indie muszą być fascynujące... – rozmarzyła się Jane. – Czasami chciałabym znów podróżować...

– Podróżowała pani z mężem po Francji i Hiszpanii, prawda?

– Tak. Harry ostrzegał mnie, że może być ciężko, i było... ale nigdy tego nie żałowałam. Kochałam męża i był to dla mnie cudowny czas, choć nie raz przyszło nam mieszkać w ciasnych, zimnych koszarach.

– Zazdroszczę lordowi March – powiedział cicho Paul, a Jane oblała się rumieńcem, choć nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

– Kiedy ma pan nadzieję wrócić? – spytała. – Mogłabym w międzyczasie odwiedzić kilka magazynów i poprosić o wysłanie pewnych sprzętów... na próbę. Mógłby je pan później obejrzeć i odesłać to wszystko, co się panu nie spodoba.

– Jeżeli wybierze pani tak dobrze jak dziś, niczego nie oddam... – Paul zawahał się, po czym dodał: – Mam wobec pani ogromny dług. Gdybym mógł coś zrobić, aby sprawić pani przyjemność, proszę tylko powiedzieć.

– Wobec tego postaram się pożytecznie spędzić czas, gdy pana tu nie będzie. Lubię robić zakupy i może znajdę też parę rzeczy, które mi się przydadzą po przeprowadzce do Bath. Moja kuzynka przyjechała do Londynu i jest chyba szczęśliwa, że będzie z nami mieszkać... dopóki nie wyjdzie za mąż, rzecz jasna.

– Z przyjemnością poznam pani kuzynkę. – Paul wziął Jane za rękę i złożył na niej poże-
gnalny pocałunek, gdyż powóz zatrzymał się już przed jej domem. – Raz jeszcze pragnę pani po-
dziękować... i przeprosić, bo teraz muszę panią opuścić. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia
przed wyjazdem.

– Dziękuję za miłe towarzystwo, lordzie Frant – odpowiedziała. – Życzę udanego wyjaz-
du i dobrej zabawy na wyścigach.

Paul uśmiechnął się, pomógł jej wysiąść i odprowadził ją do drzwi, które się natychmiast
otworzyły, po czym wrócił do powozu i pograżył się w zadumie. On i Jane zdawali się mieć iden-
tyczne gusta i w miarę upływu poranka, z każdą spędzoną wspólnie godziną, upewniał się tylko
w przekonaniu, że to ta jedna, jedyna, którą pragnąłby poślubić.

Był wystarczająco zamożny, aby zadowolić najbardziej nawet wymagającą damę, był też
dobrze urodzony – choć ojciec Jane stał wyżej w hierarchii, nie na tyle jednak, by mogło to sta-
nowić jakkolwiek przeszkodę. Pytanie brzmiało, co zrobić, by Jane zechciała zwrócić ku niemu
swe serce.

Była w stosunku do niego miła i życzliwa, nie wątpił też, że lubiła jego towarzystwo –
lecz jako człowiek trzeźwo myślący musiał przyznać, że ani razu nie dała mu do zrozumienia że
z jej strony mogłoby w grę wchodzić coś więcej niż tylko sympatia. Zresztą, trudno jej się dzi-
wić. Już raz kochała i przeżyła tragedię. Czy potrafiłaby uwolnić się od przeszłości i znów oddać
komuś serce i rękę? Czy w ogóle o tym myślała?

Westchnął i otrząsnął się z tych myśli. Musiał teraz skupić uwagę na sprawach do zała-
twienia. Miał się spotkać z człowiekiem, który badał interesy zmarłego wicehrabiego Hargreaves,
ojca Adama.

Jane zdjęła czepek i pelisę, po czym weszła do salonu, gdzie zastała Sarah i Melię. Sarah
czytała, a Melia siedziała przy stoliku, układając pasjansa. Naraz rzuciła karty, wyraźnie zniecier-
pliwiona.

– Nic mi nie wychodzi! – krzyknęła. – Co za bezsensowna gra! Cieszę się, że wróciłaś,
Jane, bo Sarah powiedziała, że nie wypada nam domagać się podwieczorku, dopóki nie wrócisz.

– Jestem trochę spóźniona – przyznała Jane. – Przepraszam, wszystko trwało dłużej, niż
myślałam... ale było tak miło, że straciłam rachubę czasu...

– Nie rozumiem, co może być miłego w wybieraniu mebli dla tego człowieka – powie-
działa Melia z naburmuszoną miną. – On cię po prostu wykorzystuje, Jane. Nie powinnaś mu na
to pozwalać.

– Nie odniosłam takiego wrażenia – odparła Jane z kamiennym spokojem, choć drażnił ją
ton, jakim Melia mówiła o lordzie Francie. Co za czarna niewdzięczność wobec kogoś, kto zrobił
dla niej tyle dobrego! – Jak wielu dżentelmenów, lord Frant nie lubi tracić czasu na wybieranie
mebli, a ja cieszę się, że mogę to zrobić dla niego. Poza tym, widziałam parę rzeczy, które chcia-
łabym mieć w swoim domu, kiedy Will się ożeni – dodała, a nagły rumieniec Melii nasunął jej
podejrzenie, że nie chce już zostać jego żoną.

– Czy twój brat będzie się żenił? – Sarah podniosła wzrok znad książki.

– Och, wszystko w swoim czasie – powiedziała wymijająco Jane, zerkając na Melię. – To
nie jest jeszcze postanowione...

Melia zrobiła się purpurowa. Podeszła do okna i spoglądając na ulicę, zapytała:

– Jane, wiedziałas, że lord Frant i wicehrabia Hargreaves jadą do Newmarket?

– Tak. Lord Frant powiedział mi o tym przed minutą. A ty dowiedziałaś się od wicehra-
biego Hargreaves, jak rozumiem?

– Tak... – mruknęła Melia. – Napomknął mi, że może już wkrótce wyjedzie z Londynu.

– Wyjeżdżają jutro ... chyba na wyścigi. A potem kupią młode konie do stajni, które chcą

razem otworzyć.

– Tak myślę. – Melia westchnęła. – Z tego, co wiem, zamierzają później kupić ziemię w Irlandii...

– O tym nie wiedziałam. Wygląda na to, że wiesz znacznie więcej niż ja... – Jane zadzwoniła po pokojówkę i poprosiła, by im podano podwieczorek. – Musimy się przygotować na wieczór... dziś w planie jest tylko muzyka i karty. Tańczyć będziemy dopiero na balu u mamy, w przyszłym tygodniu...

Mówiąc to, westchnęła w duchu. Miała nadzieję że lord Frant pojawi się na balu u księżnej – ale jeśli się wybiera do Newmarket, lub nawet do Irlandii, to zapewne nie przyjdzie...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Wszystko wskazuje na to, że zdobędę środki na nasze przedsięwzięcie – obwieścił triumfalnie Adam, wchodząc do pokoju w zajeździe. – List przyszedł dzisiaj rano i kiedy wszystko zostanie załatwione, będę miał pięć tysięcy na czysto: trzy tysiące na wkład i resztę na przyzwoity dom w Irlandii, gdybym zdecydował się tam zamieszkać.

– Jeżeli dodać jeszcze twoje wygrane z ostatnich dwóch dni, będziesz miał za co żyć przez jakiś czas – zauważył Paul. – Wygląda na to, że los się w końcu do ciebie uśmiechnął.

– O tak, dzięki Bogu! – odrzekł Adam w euforii. – Sto gwinei, które postawiłem na konia, to były moje ostatnie pieniądze. Gdybym przegrał, zostałyby mi w sam raz tyle, by uregulować rachunek w zajeździe.

– Masz więcej odwagi niż ja – stwierdził Paul. – Ja nie śmiałybym zaryzykować takiej sumy.

– Bo nie jesteś graczem – rzucił Adam cierpkim tonem. – Jesteś odważny, Frant, ale nie postawiłbyś na żadnego konia, jeśli stawką byłoby twoje życie. Gdybym przegrał, pozostałoby mi tylko palnąć sobie w łeb.

– Wobec tego, Bogu dzięki, że twój koń wygrał. Nie chciałbym stracić przyjaciela z takich powodów...

– Rzeczywiście wygląda na to, że zostałem ocalony. – Adam uśmiechnął się szeroko. – Powinniśmy zajrzeć jutro na aukcję koni. Może znajdziemy tam parę przyzwoitych okazów.

– Młode konie szlachetnej krwi, które moglibyśmy sami trenować – dopowiedział Paul. – Potrzebna nam też dobra klacz oraz jeden lub dwa dobrze zapowiadające się młode konie, na gonitwy w najbliższej przyszłości.

– Będziesz wystawiał tego pięknego ogiera, którego dał ci książę w Indiach?

– Obawiam się, że podróż kosztowała mojego biednego Sulejmana więcej niż mnie – odparł Paul. – Pewnego dnia może wystawię go na wyścigach, ale może równie dobrze zostać ogierem rozplodowym.

– Nie miał sobie równych w tej gonitwie w Indiach...

– To prawda. Proponowano mi za niego bajońskie sumy, ale wolałem zabrać go ze sobą do kraju...

– Mam rozumieć, że chcesz osiąść w Anglii?

– Tak, podjąłem już decyzję. Zatrzymam kilka koni w mojej wiejskiej posiadłości, a młode mogą pojechać z tobą do Irlandii.

– Został nam jeszcze jeden dzień na wyścigach – przypomniał mu Adam. – Chcesz już jutro wsiadać na statek do Irlandii?

– Nie, ponieważ za dwa dni mam być na balu u księżnej Roshithe – wyjaśnił Paul. – Dziś wieczorem wracam do Londynu, a o Irlandii porozmawiamy w przyszłym tygodniu.

– Tak, rozumiem, nie chcesz, by ominął cię ten bal – mruknął Adam. – Chodźmy zatem na wyścigi; może uda nam się znaleźć jeszcze jednego czempiona.

– Niezależnie od dotychczasowych wyników, będę obstawiał umiarkowanie – powiedział Paul. – A tobie doradzam to samo.

– Oczywiście – zgodził się potulnie Adam, lecz wzrok miał rozpalony. Paula ogarnęły złe przecucia. Jeżeli Adam będzie grał nierozważnie, może stracić wszystko, co dotychczas wygrał... a nawet więcej.

– Wyglądacie prześlicznie – powiedziała Jane na widok Sarah i Melii wchodzących do sa-

lonu, gdzie czekała już na nie z Willem. – Melio, bardzo ci do twarzy w tej sukni... A ty, Sarah, jesteś piękna jak nigdy dotąd.

– Och, wcale nie jestem piękna! – Sarah zarumieniła się i potrząsnęła głową. – To ty wyglądasz cudownie, kuzynko. Czy to nowa suknia?

– Nie, miałam ją już raz na sobie. – Jane nie przyznała jednak, że zrezygnowała z nowej sukni, aby Melia i Sarah mogły dostać te przepiękne kreacje, które miały na sobie. Madame Françoise została wręcz zasypana zamówieniami, gdyż zbliżał się jeden z największych balów sezonu. Jane jednak wcale się tym nie przejmowała. Stwierdziła, że skoro lord Frant się nie pojawi, nie miało to znaczenia, że już kiedyś wystąpiła w tej sukni, chociaż mama ją za to ofuknęła:

– Jane, nie bądź taka wielkoduszna. Przecież Melia ma już dwie suknie balowe.

– Tak, ale ona jest młoda i to jej pierwszy sezon. Ona i Sarah powinny ładnie wyglądać. To znacznie ważniejsze.

– A niby dlaczego? – obruszyła się księżna. – Moja córka także ma pięknie wyglądać... Może wreszcie znajdzie drugiego męża...

– Mamo, błagam, daj spokój... – Jane westchnęła. – Mówiłam ci już, że nie wyjdę za markiza Vermont ani za siostrzeńca lorda Hamiltona, ani...

– Nie, oczywiście, że nie, skoro na horyzoncie rysują się lepsze perspektywy. On wprawdzie nie jest markizem, ale wielkie serce i wielki majątek są znacznie ważniejsze... A tego właśnie lord Frant ma w nadmiarze.

– Mamo! – Jane poczuła, że płoną jej policzki. – Proszę cię, nie chcę tego słuchać...

– Zwracam ci tylko uwagę, że jest już prawie zakochany w tobie, Jane. Daj mu znak, choćby najmniejszy – a wnet ci się oświadczy...

Mocno zażenowana Jane uświadomiła sobie, że mama sugeruje tylko to, co sama już wcześniej podejrzewała. Paul spoglądał na nią przecież niejeden raz takim wzrokiem, jakby czuł do niej coś więcej niż tylko sympatię.

– Nie, to wykluczone... – Odwróciła głowę, nie mogąc znieść zbyt promiennych spojrzeń matki. Czy to możliwe, aby względy okazywane jej przez lorda Franta dowodziły głębszych uczuć? A gdyby to była prawda, jak powinna się zachować?

Chociaż... sam pomysł wbrew jej obawom nie budził w niej odrazy. Nie była jeszcze jednak gotowa na miłość; oznaczałoby to zdradę względem Harry'ego. Poza tym to tylko pobożne życzenia mamy, która próbuje ją po raz kolejny wyswatać.

– Mam nadzieję, że wicehrabia Hargreaves pojawi się dziś wieczorem – odezwała się Melia. – Wybierał się wprawdzie do Irlandii, ale może jednak... – urwała, czując na sobie wzrok Jane. – Czy mówię coś złego?

– Wolalabym, żebyś ulokowała swoje uczucia gdzie indziej – powiedziała Jane bardzo łagodnie. – Z tego, co wiem, on nie jest majątny, a choć nie musi to być przeszkodą w szczęśliwym pożyciu, mam inne zastrzeżenia... – umilkła, wiedząc, że nie może powiedzieć Melii o swoich obawach. Musiała sama dokonać wyboru, a im pozostaje tylko mieć nadzieję, że podejmie rozsądną decyzję.

– Gdyby dostał to, co mu się należało... – wybuchnęła Melia, lecz urwała i oblała się rumieńcem. – Nieważne... – Odwróciła się zmieszana. – Chyba masz rację, Jane.

Jane byłaby może nalegała, aby dokończyła, ale wszyscy byli już gotowi do wyjścia na bal, a scysja z Melią położyłaby się cieniem na miłym wieczorze.

Uśmiechając się promiennie, podeszła do drzwi. Lokaj otworzył je, a gdy wyszli na dwór, następny służący czekał już, aby pomóc paniom wsiąść do powozu. Wicehrabia pojawił się jako ostatni.

– Will, pospiesz się, kochany! – przynagliła go Jane z uśmiechem, gdyż schodził tak wol-

no po schodach, jakby mieli jeszcze mnóstwo czasu. – Jeżeli się spóźnimy, mama nie będzie zadowolona.

– Na samą myśl o tym, trzęsę portkami ze strachu – powiedział Will ze śmiechem, gdyż ukochana mama nigdy nie próbowała trzymać ich w ryzach.

– Nie bądź uszczypliwy, braciszku. – Jane szturchnęła go w bok. – Posuń się; tylko mi nie pognieć sukni.

– Wykluczone – mruknął Will.

– Jak można wytrzymać z kimś takim? – zwróciła się Jane do Sarah, którą wyraźnie bawiły ich przekomarzanki.

– Myślę, że wicehrabia droczy się z tobą – odparła Sarah, wpatrzona w Willa, który przesunął się, aby Jane miała więcej miejsca na suknię.

Podróż do rezydencji księżnej w zachodniej dzielnicy Londynu upłynęła im wśród rozmów, śmiechów i żartów. Tylko Melia milczała uparcie, wciśnięta w róg powozu – zamyślona i jakby przygaszona. Jane dziękowała sobie w duchu, że jej nie zbeształa, gdyż zdawała się ona być w znacznie gorszym nastroju niż zaraz po przyjeździe do Londynu. Szkoda, że oddała swe serce komuś, kto na to nie zasługiwał, pomyślała Jane, ale w tym właśnie momencie zajechali na miejsce i jeden z lokajów księcia otwierał już drzwiczki powozu. Panie mogły więc wysiąść wprost na czerwony dywan, rozłożony po to, aby goście nie ubrudzili sobie wieczorowych trzewików i balowych pantofelków.

Weszli do ogromnego holu o lśniących marmurowych posadzkach, skąd reprezentacyjne schody prowadziły na pierwsze piętro. U ich szczytu księżna Roshithe witała już przybywających gości.

Jane wraz ze swoim towarzystwem szła na górę, gdzie została ceremonialnie powitana przez matkę. Poczekała, aż reszta przywita się z księżną, po czym Will zabrał obie młode damy do najbliższego salonu, a ona została jeszcze na moment przy matce.

– Cieszę się, że tak ślicznie wyglądasz, kochanie – powiedziała księżna z uczuciem, gdy Jane pocałowała ją w policzek.

– Dziękuję, najdroższa mamó. – Jane obdarzyła ją czułym uśmiechem i na widok zbliżającej się grupy skinęła głową. – Zostawię cię teraz, mamó, żebyś mogła przywitać kolejnych gości. Porozmawiamy później...

Salony pękały w szwach od rozbawionych balowiczów. Porky jako pan domu krążył między nimi, lecz na widok Jane pożegnał swego rozmówcę i podszedł do niej z otwartymi ramionami.

– Moja ukochana Jane! – zawołał, całując jej dłonie. – Wyglądasz cudownie... Jak zwykle czarująco i młodo... Zupełnie jak twoja mama.

– Dziękuję, sir... – odpowiedziała, dygając.

– Nie, darujmy sobie te nonsensy – powiedział, klepiąc ją pieszczotliwie po policzku. – Dla ciebie jestem twoim kochanym Porkym... i ojcem... mam nadzieję...

– Jesteś mi bliższy niż rodzony ojciec. – Jane pocałowała go w policzek, a Porky aż pokraśniał z zadowolenia. – Mam nadzieję, że dobrze o tym wiesz, Porky?

– Sprawiasz, że pęcznięję z dumy – odparł. – Spójrz na księżną, nie uważasz, że wygląda pięknie tego wieczoru?

– Mama zawsze jest piękna – zauważyła Jane. – A ten śliczny brylantowy diadem to coś nowego, prawda?

– Ach, tak... Ot, taki drobiazg, kupiłem go z przyjemnością – wyjaśnił z uśmiechem. – A teraz zmykaj do sali balowej, Jane. Nie trać czasu na rozmowę z takim starym jegomościem jak ja, kiedy wokół jest pełno młodych i przystojnych, którzy już czekają, aby się z tobą przywi-

tać, moja miła.

– Ale ja lubię z tobą rozmawiać. – Jane wzięła kieliszek szampana od jednego z lokajów, krążących między gośćmi, a potem zobaczyła, że Melia, Sarah i Will rozmawiają ze znajomymi i też nie dotarli jeszcze do sali balowej. Upiła kilka łyčzków wina, przeczesała wzrokiem salę w poszukiwaniu lorda Franta, ale nigdzie go nie było. Poczula się lekko zawiedziona, ale tylko przez krótką chwilę, bo zaraz otoczyło ją kilku dżentelmenów domagających się tańca. Podała im karnecik, szczególnie ciepłym uśmiechem obdarzając dwóch oficerów, przyjaciół Harry'ego.

– Majorze Harding, poruczniku Brandt, jak miło znów panów zobaczyć – powiedziała. – Jesteście na urlopie?

– Tak, prawdę mówiąc, w tej chwili żołnierze nie mają zbyt wiele do roboty – odparł major Harding z uśmiechem. – Byliśmy z Wellingtonem w Wiedniu, ale teraz jesteśmy oficjalnie na urlopie. Zamierzam sprzedać wkrótce mój patent oficerski... George się jeszcze waha.

– Cały kłopot w tym, że ojciec nie życzy sobie mojej pomocy przy zarządzaniu majątkiem – wyjaśnił młody człowiek o zniewalających, ciemnych oczach. – Co zatem może robić ktoś na moim miejscu, jeśli nie balować, pić i grać w karty? Ale to także nie zadowala jego lordowskiej mości.

– Znajdź sobie jakąś pracę, George – ofuknął go major Harding. – Ja zamierzam sprowadzać wina i założyć stadninę dla koni czystej krwi...

– Powinien pan zatem porozmawiać z lordem Frantem – rzuciła Jane bez zastanowienia. – O ile wiem, on chce wystawiać konie na wyścigach...

– Mówi pani o kapitanie Francie? – Majorowi oczy się zaświeciły. – Przyjaźniliśmy się w dawnych czasach, ale on wystąpił później z wojska i pojechał do Indii.

– Nie wiedziałam, że lord Frant był kapitanem. – Jane z miejsca poczuła sympatię do tego szczerzego oficera o bezpośrednim sposobie bycia. – Ale chyba nie wtedy... kiedy Harry i ja byliśmy z wami, prawda?

– Nie, kilka lat wcześniej. Był moim pierwszym dowódcą na Półwyspie Iberyjskim...

– Ach tak... – Jane pokiwała głową. – Miał tu być dziś wieczorem, ale zapewne wyjechał... – słowa zamarły jej na ustach na widok wchodzącego lorda Franta. Coś było jednak nie w porządku, bo wokół rozległ się pomruk. Z początku nie wiedziała, o co chodzi, a potem zobaczyła, że Paul ma rękę na temblaku i opatrunek na czole. – Och, nie... panowie wybaczą...

Jane zaczęła przedzierać się przez tłum gości, nieświadoma ludzkich spojrzeń, szeptów i uśmiechów skrywanych za wachlarzem, dłonią bądź chustką do nosa. Gdy wreszcie dotarła do Franta, stanęła przed nim jak wryta, przyglądając się jego podrapanej twarzy i z bandowi na czole.

– Lordzie Frant, skąd te rany? Co się stało? – zapytała z przejęciem.

Spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem i zdrową ręką dotknął jej ręki.

– Ach, drobny wypadek, lady March. Radzono mi odpoczywać przez kilka dni, nie mógłbym jednak odmówić sobie przyjemności zobaczenia... balu u księżnej...

Jane zalała fala gorąca. A więc przyszedł na bal, aby się z nią zobaczyć, pomimo odniesionych obrażeń! A może nie; może przemawia przez nią próżność, dotąd jej zupełnie obca?

– Jak do tego doszło?

– Och, to nic takiego – odparł, jakby temblak był niczym. – Koń mnie zrzucił, to wszystko...

Jane była jednak pewna, że kryje się za tym coś więcej, a on nie chce o tym mówić – przynajmniej teraz.

– Bardzo się cieszę, że pana widzę – powiedziała szczerze i nagle wszystko wokół jakby pojaśniało, choć wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że za nim tęskni. Teraz uświadomiła sobie,

że gdyby nie przyszedł, ten wieczór nie byłby dla niej udany. – Obawiam się jednak, że dziś nie będzie pan w stanie tańczyć.

– Raczej nie – przyznał z żalem. – Nie mogłem się już doczekać, kiedy z panią zatańczę, *milady*, ale to musi poczekać. Może usiądzie pani ze mną i napijemy się wina... albo wyjdziemy na balkon...?

– Ależ oczywiście – zgodziła się. – Zarezerwowałam sobie dwa tańce dla pana...

– Miło mi, że pamiętała pani o mojej prośbie – odparł półgłosem. Serce Jane zabiło mocniej na jego słowa. Od dawna tego nie doświadczyła.

Patrzyła mu w oczy, słysząc swój przyspieszony oddech, i po raz pierwszy od śmierci męża zapragnęła pocałunku – żal jednak w mgnieniu oka stłumił to niepożądane uczucie. Nie może sobie pozwolić na to, by się znów zakochać, gdyż z miłością łączy się zbyt wielkie cierpienie. To właśnie postanowiła sobie po śmierci Harry'ego.

– Ale... czy naprawdę powinien pan tu przychodzić? – zapytała, kiedy milczenie zaczęło się przeciągać.

– Gdybyśmy zawsze robili to, co powinniśmy, nasze życie byłoby bardzo nudne – odparł Paul ze śmiechem. – Często zdarzało mi się ryzykować, co może potwierdzić ten oto dżentelmen... – dorzucił, wskazując na majora Hardinga, który właśnie podszedł do nich.

– Cóż to za szaleńcza eskapada doprowadziła cię do takiego stanu, Frant? – zapytał ze zdumieniem.

– I kto to mówi? Największy szaleniec, jakiego miałem pod swoim dowództwem – odrzekł Paul ze śmiechem, podając mu rękę. – Jack Harding! Co u ciebie słychać? Jak widzę, zostałeś majorem...

– Tak, ale nie planuję ciągnąć tego dalej – wyjaśnił major Harding – Myślę o otwarciu stajni, a lady March powiedziała mi, że nosisz się z tym samym zamiarem. Musimy umówić się któregoś wieczoru na kolację i o tym porozmawiać...

– Oczywiście, z największą przyjemnością – zgodził się Paul. – Może jutro w moim klubie... o ósmej?

Na tym stanęło i major Harding oddalił się, aby sobie poszukać partnerki do następnego tańca.

– To jeden z tańców zarezerwowanych dla pana – zwróciła się Jane do Paula. – Może ma pan ochotę wyjść na balkon, sir?

– Owszem, jeżeli przestaniesz mówić do mnie „sir” – powiedział. – W ostateczności może być „Frant”, jeżeli już musisz, choć wolałbym, żebyś zwracała się do mnie po imieniu. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, Jane.

– Dobrze wiesz, że tak – odparła, gdy podsunął jej ramię i razem ruszyli przez tłum w stronę szeroko otwartych drzwi jednego z niewielkich balkonów. – Powiedz mi prawdę, jak to się stało? – zapytała spokojniejszym tonem.

– Jakaś zabłąkana kula spłoszyła konia, kiedy wracałem wczoraj do domu z Newmarket.

– Ktoś strzelał do ciebie?! – przeraziła się, a Paul kojącym gestem przytulił jej rękę.

– Nie, to był pewnie jakiś kłusownik... albo wyjątkowo kiepski strzelec? Niestety, mój koń nieprzyzwyczajony do takich odgłosów, stanął dęba, a ja wylądowałem na ziemi. Szybko też zjawił się Adam i pomógł mi się pozbierać...

– Wicehrabia Hargreaves był tam z tobą?

– Tak, na szczęście. Pomógł mi dosiąść konia i zawiózł do najbliższego zajazdu, gdzie obejrzał mnie miejscowy doktor. Ten pocziwiec poinformował mnie, że nie połamałem sobie kości i będę żył, ale muszę odpocząć przez dzień lub dwa.

– Dzięki Bogu, że nie byłeś sam... – Myśl, że mógł tam leżeć sam, ranny, przeraziła Jane.

– Miałem szczęście, ale nie po raz pierwszy Adam przyszedł mi z pomocą – powiedział Paul. – Na statku płynącym z Indii do Anglii zmogła mnie febra i byłbym umarł, gdyby mnie nie pielęgnował.

– Nie wiedziałam, że był dla ciebie takim dobrym przyjacielem.

– On nie lubi o tym mówić, ale to przyzwoity gość – odparł Paul i oboje odwrócili się, aby popatrzeć na piękne ogrody, oświetlone girlandami lampionów, rozwieszonych na drzewach i krzakach. – To była dla nas udana wygrana. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do Irlandii kupić kawałek ziemi dla naszych młodych koników... A mamy już ich sześć.

– Więc to pewne, że razem otwieracie stajnie w Irlandii?

– Tak, teraz nie widzę już powodu, żeby to odwlekać – mruknął Paul, jakby sam do siebie. – Z tego, co wiem, Adam zamierza kupić dom tam, gdzie będzie mieszkał przez dłuższą część roku. Choć wiem też, że za bardzo lubi bywać w Londynie, aby na zawsze osiąść na prowincji.

– Nie przyszedł z tobą na bal? Melia mówiła, że miał taki zamiar...

– Chyba wybrał jakieś inne rozrywki, bardziej w jego guście... – Paul urwał, marszcząc brwi, po czym zmienił temat. – Ja byłem zdecydowany dotrzymać słowa, więc przyszedłem, choć przedstawiam sobą iście żalony widok. Mam nadzieję, że nie wystraszyłem naszych pięknych dam...

– Ależ nie ma nic niemiłego w twojej aparycji – zapewniła go Jane. – Cieszę się, że cię widzę, Paul, choć przykro mi, że jesteś poturbowany.

Patrzył jej przez chwilę w oczy, a potem w delikatnej pieśczości dotknął koniuszkami palców jej policzka. Wstrzymała oddech i omal nie przytuliła się do niego. Poskromiła jednak tę niemądrą chęć, niepewna swych uczuć. W głowie miała zamęt.

– Moja słodka Jane... – wyszeptał. – Piękna jak zawsze...

– Pochlebiasz mi – powiedziała ze śmiechem, lecz jego przeciągłe spojrzenie nagle odmieniło jej uczucia. Znowu poczuła się młoda, jakby wstąpiło w nią nowe życie. – Ale to takie miłe... – dodała – ...a ten wieczór nie byłby taki przyjemny, gdybyś nie przyszedł. – Czuła, jak jej policzki płoną, i przez moment wydawało się jej, że świat wokół nich przestał istnieć. Pomyślała, że gdyby ją teraz objął i pocałował, przestałaby się wzbraniać... aż nagle jakaś inna para wyszła na balkon i czar prysł!

– Strasznie dziś gorąco w sali, nie uważa pan, lordzie Frant? Myślałam, że się roztopię z gorąca, jeżeli nie odetchnę świeżym powietrzem...

Paul odwrócił się do kobiety i skinął głową.

– Ma pani rację, lady Catherine. Właśnie dlatego z lady March wyszliśmy na balkon. Szybko jednak robi się zimno... nieprawdaż, lady March?

– Ma pan absolutną rację. – Jane zrozumiała aluzję. Poza tym omal nie dała się ponieść emocjom. – Niech pani nie stoi zbyt długo na balkonie, lady Catherine. Lordzie Frant, chyba powinniśmy już wejść do środka.

– Och, ale ja chciałam się dowiedzieć, co się panu stało, lordzie Frant! – Lady Catherine położyła mu rękę na ramieniu, próbując zatrzymać. – Wszyscy wkoło szepczą jakieś dziwne historie... Czy to prawda, że ktoś próbował pana zabić i może by mu się to nawet udało, gdyby wieczerabia Hargreaves nie nadjechał z pańskim służącym?

– Gruba przesada – rzucił z uśmiechem Paul. – Spadłem z konia, to wszystko. A teraz wybacz pani, ale nie chcę, aby lady March przeziębła się...

Podsunał Jane ramię i wciągnął ją z powrotem do sali balowej. Jane niemal czuła, jak ta młoda, ładna kobieta odprowadza ich wzrokiem. Była córką hrabiego zaręczoną z markizem; szeptana plotka głosiła, że ojciec życzy sobie jak najrychlejszego ślubu w nadziei, że mąż po-

skromi jej bujny temperament.

– Jestem przekonana, że lady Catherine wyszła na dwór, żeby cię przyprzeć do muru – zwróciła się Jane do Paula. – Ona wciąż szuka nowych atrakcji...

– Ta młoda kobieta jest największym utrapieniem swego ojca – odparł Paul. – Znałem go przed laty. Miał żonę latawicę, która go nieustannie zdradzała, ale jest przekonany, że ich dwaj starsi synowie to jego dzieci.

– Sądzisz, że lady Catherine wdała się w matkę?

– Wiem tylko, że łatwo zepsuć reputację młodej damie, choć inni są pod tym względem mniej łaskawi – przyznał Paul. – Słyszałem to i owo, ale nie chciałbym wierzyć plotkom.

– Chyba jej się podobasz – droczyła się z nim Jane, ale on potrząsnął głową.

– Nie, moim zdaniem ona interesuje się Adamem. Niejeden raz towarzyszył jej przy różnych okazjach, ponieważ ich rodziny były zaprzyjaźnione... nie sądzę jednak, aby hrabia dał przyzwolenie na taki mariaż...

– Myślisz, że wicehrabia Hargreaves życzyłby sobie takiego małżeństwa?

– Jak już mówiłem, jemu potrzebna jest panna z dużym posagiem, ale ojciec lady Catherine pragnie dla niej czegoś więcej.

– Jest zaręczona z markizem Barnchester.

– Markiz jest już w takim wieku, że mógłby być jej ojcem – odparł Paul z wyraźną dezaprobatą.

– Tak, to smutne – zgodziła się Jane. – Nie pochwalam takich małżeństw; zbyt często nie przynoszą szczęścia żadnej ze stron.

– Barnchester potrzebuje spadkobiercy. A potem da jej wolną rękę...

– Być może... – Jane pomyślała, że nigdy nie zgodziłaby się na taki układ, i choć to może wydać się dziwne, ogarnęło ją współczucie. Co taka pełna życia, śliczna młoda kobieta musi czuć na myśl o ślubie z człowiekiem o tyle lat od niej starszym? – Czy ona ma własne fundusze, a może ich pilnie potrzebuje?

– Jej rodzina jest wystarczająco zamożna, ale skoro ojciec życzy sobie dla córki tytułu i fortuny, doprowadzi do tego małżeństwa.

Jane pokiwała głową, a potem spojrzała na Paula.

– Widzę, że zbliża się mój kolejny taniec, ale tuż przed kolacją zobaczymy się ponownie.

– Co za śmieszny obyczaj – stwierdził Paul. – Gdybym mógł tańczyć, chciałbym mieć cię tylko dla siebie i tańczyć z tobą całą noc... – Pocałował ją w rękę i znów spojrzał na nią tak, że serce jej zaczęło bić szybciej. – Nie jestem jednak aż takim egoistą, żeby cię pozbawiać dobrej zabawy. Idź do Brandta, Jane. On świetnie tańczy walca... jak wszyscy adiutanci Wellingtona...

Jane wstała dosyć niechętnie, ale Brandta powitała uśmiechem i ochoczo wyszła z nim na parkiet. Lubiła tańczyć i już po chwili przekonała się, że Paul miał rację.

Tuż przed kolacją ponownie się spotkali i wyszli zażyć świeżego powietrza przed posiłkiem. Przez chwilę spacerowali w wieczornym chłodzie, ale ani przez moment nie byli sami. Jane dostrzegła w oczach Paula cień frustracji, jakby on także chciał spędzić z nią kilka chwil sam na sam, i wrócili do środka.

W jadalni dołączyła do nich grupka znajomych Paula, a także Melia, Sarah oraz Will.

– Dobrze się bawisz na swoim pierwszym balu w Londynie? – zwróciła się Jane do Sarah.

– O tak! – Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. – Uwielbiam tańczyć, a twój brat jest takim dobrym tancerzem. Przedstawił mi też swoich przyjaciół. Przesiedziałam zaledwie trzy tańce, z czego dwa zeszyły mi na rozmowie z lordem Frantem. Co za sympatyczny człowiek, Jane. Musi cię bardzo lubić, bo mówił o tobie w samych superlatywach.

Jane nie zapytała, co takiego konkretnie od niego usłyszała. Aż do tego wieczoru nie zda-

wała sobie sprawy, jak bardzo polubiła tego spokojnego dżentelmena i jak miłe było jej jego towarzystwo.

Ostatni taniec minął nazbyt szybko i ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Paul został aż do końca i kiedy Jane wraz Willem, Sarah i Melią szykowała się do wyjścia, podszedł do niej.

– Mam nadzieję, że po moim powrocie z Irlandii odwiedzisz mnie, aby ocenić postęp prac w domu – powiedział, ściskając wymownie jej rękę. – Zabierz ze sobą Melię i swoją kuzynkę... oraz brata, jeśli będzie miał ochotę.

– Nie mogę ręczyć za Willa, który zawsze wydaje się okropnie zajęty. Za to Sarah i Melia będą zachwycone, to pewne. Twoja podopieczna powinna się tym zainteresować, bo może pewnego dnia zamieszka z tobą, kiedy się ożenisz.

– Może... – mruknął, choć jego spojrzenie wciąż wyrażało rozbawienie. – Mam nadzieję, że się zobaczymy... Może pojutrze, dobrze?

Skinęła głową.

– Dobrze, przed południem. Nie mogę się już doczekać.

– Dobranoc, słodka Jane – powiedział, spoglądając na nią wymownie.

– Dobranoc, Frant – odparła z uśmiechem.

Podeszli razem do powozu. Will pomógł siostrze, Sarah i Melii wspiąć się po schodkach, po czym sam wsiadł do środka. Jane mignęła jeszcze przelotnie twarz Paula, kiedy się odwracał, by odejść.

Wydał jej się smutny i znużony, że aż serce jej się ścisnęło. Żałowała, że musi go teraz zostawić... Tego wieczoru przez krótką chwilę na balkonie skłonna była uwierzyć, że dojrzała już do tego, by znów kogoś pokochać.

Po powrocie do domu, w ciemnościach swej sypialni, Jane biła się z myślami. Zastanawiała się, czy to możliwe, aby była zdolna kogoś jeszcze pokochać. Przecież tak mało wie o Paulu Francie, a jeśli tylko z nią flirtuje, nie mając żadnych poważnych zamiarów...

Jego przeszłość była dla niej niewiadomą – mógł nawet się okazać awanturnikiem lub oszustem. Podejrzewała też, że nie powiedział jej prawdy o swoim wypadku i coś próbował przed nią zataić.

Paul wszedł do domu, oddał laskę, kapelusz i palto służącemu i westchnął ciężko. Ten wiejski doktor wiedział, co mówi, kiedy zalecał mu kilkudniowy odpoczynek. Ramię go bolało i był śmiertelnie zmęczony po kilku godzinach stania, rozmów, rozdawania uśmiechów i witania starych znajomych. Co więcej, nie potrafił ani na moment pozbyć się przykrych myśli. Ten ktoś, kto strzelał do niego zza drzewa, chciał go zranić. To był wypadek. Potem przybył Adam i go wystraszył.

Oznaczało to, że miał śmiertelnego wroga, który czyha na jego życie, i zupełnie nie wiedział, komu tak się naraził, kogo podejrzewać. Nikomu nie powiedział, że tego wieczoru będzie wracał z Newmarket do Londynu, co więcej, zdecydował się na to w ostatniej chwili.

Adam zamyślił się i usilnie próbował znaleźć choćby jedną osobę, którą mógłby podejrzewać. Nie był to jednak ani jego przyrodni brat, ani macocha. W armii także nie miał żadnych wrogów. Może zatem był to ktoś, z kim zetknął się w Indiach? – zadał sobie pytanie. Szybki awans i spora fortuna niejednemu mogły być solą w oku. Ktoś spośród żołnierzy Adama mógł mu zazdrościć szczodrej nagrody, jaką dostał od maharadży za uwolnienie jego syna z rąk porywaczy. To prawda, że dostał o wiele więcej niż oni, ale to on wyciągnął księcia z płonącej chaty, ryzykując życie, zaś oni spełniali tylko swój obowiązek.

Zmarszczył brwi, gdy służący zdejmował z niego obcisły żakiet. Na bandażach wykwitło kilka szkarłatnych plam i rana dotkliwie go piekła. Skłamał, że odniósł obrażenia przy upadku i przeżył tylko dlatego, że napastnik okazał się marnym strzelcem. Kula drasnęła go w ramię, ale

siła uderzenia sprawiła, że spadł z konia. Następnym razem może jednak już nie mieć tyle szczęścia. Musi zapewnić sobie ochronę – a także wynająć kogoś, kto poszuka sprawcy.

Paul westchnął sfrustrowany i starał się skupić myśli na Jane. Wyglądała na balu tak cudownie, a przez moment, na balkonie, czuł, że zachęca go do pocałunku. Niestety lady Catherine przeszkodziła im i nastrój prysł. Ta rozpieszczona piękność nie raz już próbowała wzbudzić jego zainteresowanie, tym razem jednak chyba mimowolnie wyświadczyła mu pewną przysługę...

Gdyby jego życie rzeczywiście było zagrożone, nie mógłby poprosić Jane, aby została jego żoną. Już raz poniosła dotkliwą stratę, więc nie chciałby jej narażać na podobne cierpienia. Będzie więc pielęgnował ich przyjaźń, a o oświadczeniach pomyśli ponownie, gdy się dowie, kto nastaje na jego życie.

Zamierzał się właśnie kłaść do łóżka, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– To ja, Adam. Mogę z tobą porozmawiać?

– Tak, oczywiście, proszę – odpowiedział, sięgając po szklaneczkę whisky.

– Nie mógłbym się położyć, nie zapytawszy wcześniej o zdrowie. – Przyjaciel stanął w progu, potargany, w koszuli z podwiniętymi rękawami. – Niepotrzebnie ryzykowałeś, bo rana mogła się znów otworzyć podczas tańca...

– Nawet nie próbowałem tańczyć; zobaczyłem się tylko z Jane i kilkoma znajomymi. Nie poznałeś chyba majora Hardinga? Służył ze mną w wojsku wiele lat temu, jeszcze zanim wyjechałem do Indii.

– Cieszę się, że spotkałeś swoich przyjaciół... – Adam zawahał się, po czym dodał: – Ale miej się na baczności, Paul. Poprzedniego wieczoru ktoś chciał cię zabić. Masz wroga, mój drogi... i każdy może nim być...

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę... – Paul już miał zwierzyć mu się ze swoich planów, ale ugryzł się w język.

– Gdybyśmy w porę nie nadjechali... – Adam wzdrygnął się. – Przystanęliśmy, aby pomóc damie, której stangret zmylił drogę w mroku. Gdybyśmy się zjawili chwilę później, wykończyłby cię. Na szczęście na nasz widok uciekł do lasu.

– Tak, na szczęście... – Paul zmarszczył brwi. – Powiedz mi, Adamie, co takiego zrobiłem, żeby ktoś życzył mi śmierci?

– Ludzie mają różne powody... – mruknął Adam, a coś w jego spojrzeniu nasunęło Paulowi podejrzenie, że może chodzić mu o Annamarię. – Zazdrość, gniew... czy nawet jedno obraźliwe słowo wystarczą, by mężczyzna gotów był zabić.

– Chyba tak...

– Skrytobójca zabija za garść monet – odparł Adam. – Zamiast szukać powodów, pogódź się z tym, że ktoś cię nienawidzi, i miej oczy z tyłu głowy.

– Tak, racja. – Paul skrzywił się i ostrożnie poruszył ramieniem. – A ty miałeś udany wieczór?

Adam roześmiał się smętnie.

– Wygląda na to, że mam więcej szczęścia na wyścigach niż przy stoliku. Tego wieczoru przegrałem pięćset gwinei, ale zostało mi jeszcze dosyć pieniędzy na nasze przedsięwzięcie. Pojutrze wyjeżdżamy do Irlandii, a ja nie zamierzam teraz grać w karty, więc nie stracę reszty...

– Nie dostałeś jeszcze pieniędzy od twojego prawnika?

– Nie, ale kupię za nie ziemię i może jakiś dom – powiedział Adam. – Nie zaryzykuję już i nie przekreślę naszych planów na przyszłość.

– Miło mi to słyszeć – odrzekł Paul z uśmiechem. – Nie chciałbym przecież stracić partnera. A teraz wybac, ale muszę się już położyć.

Adam roześmiał się cicho i wyszedł, zostawiając Paula sam na sam z jego myślami, które

nie były ani klarowne, ani przyjemne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz wieczorem Jane, Sarah, Melia i Will wybrali się do teatru. Jane doskonale się bawiła i gdy w antrakcie major Harding wszedł do ich łoży, powitała go z uśmiechem. Przyjęła też z radością jego zaproszenie na konną przejażdżkę następnego dnia. Rozmowa toczyła się lekko tak, że został u jej boku aż do końca przerwy.

Will siedział między Melią i Sarah, zabawiając obie panny, dbał też o to, aby podczas kolejnych antraktów przynoszono im lody i zimne napoje. Melia okazała się bardziej rozmowna niż w poprzednich dniach i Jane usłyszała, jak zgadza się pojeździć konno z Willem następnego popołudnia.

Jane przyglądała się pilnie bratu, gdy odwrócił się od Melii do Sarah z pytaniem, czy chciałyby się wybrać z nimi. Sarah zawahała się, po czym odpowiedziała, że bardzo, o ile znajdzie się dla niej koń. Will obiecał, że dopilnuje, by prawidłowo dosiadła konia, a Sarah uśmiechnęła się czarująco... Wtedy światła przygasły i zaczął się ostatni akt. Chwilę przed tym Jane zauważyła że ktoś przygląda im się z dołu, przez małą lornetkę.

Zastanawiała się, kim jest ten człowiek i dlaczego je tak uporczywie lustruje. Kiedy zorientował się, że go zauważyła, skinął lekko głową i skupił się na przedstawieniu. Jane, pochłonięta tym, co działo się na scenie, szybko o nim zapomniała, choć później, już w domu, wspominała o tym bratu.

– Widziałeś tego człowieka na parterze? – zapytała. – Wydawał się bardzo nami zainteresowany... myślałam, że go zauważyłeś.

– Nie widziałem... Skłamałbym, mówiąc, że tak – odparł Will z uśmiechem. – Wciąż jesteś piękną młodą kobietą, Jane. Pewny jestem, że wielu ci się przygląda, kochanie... A może to Sarah lub Melia były powodem jego spojrzeń?

– Tak, to bardzo prawdopodobne – bez przekonania przyznała Jane. Ten człowiek wlepił w nią oczy i zachowywał się dosyć dziwnie.

Nazajutrz udała się w poszukiwaniu nowych mebli. Zadowolona z zakupu, Jane wyszła z magazynu i w bocznej uliczce czekała na transport. Przyjechała dorożką i teraz będzie musiała znaleźć następną, która ją odwiezie do domu. Gdyby wiedziała, że skład znajduje się na takim uboczu, przyjechałaby swoim powozem. Lord Frant powinien być zadowolony z tego, co kupiła w jego imieniu, wobec czego nie musiała już dłużej szukać.

Przed powrotem do domu postanowiła wrócić do magazynu i poprosić o przywołanie dorożki. Odwróciła się i nagle została zaczepiona przez człowieka, którego nigdy w życiu nie widziała. Miał na sobie brązowy płaszcz, bryczesy i ciemny kapelusz nasunięty na oczy. Dłoń o brudnych paznokciach oparł na jej ramieniu.

– To chyba ciebie szukam, paniusiu – warknął i przybliżył się tak, że poczuła jego cuchnący oddech. – Moja pani kazała mi powiedzieć, że się z tobą porachuje, jeśli nie przestaniesz się uganiać za jej chłopem. Lepiej wracaj do domu i zapomnij o nim. Dla swojego dobra.

– O czym ty mówisz, człowieku? – Jane zimny dreszcz przebiegł po plecach. – Nie mam pojęcia, kim jest twoja pani czy jej mąż...

Brutal przysunął się jeszcze bliżej.

– Dobrze wiesz, nie udawaj niewiniątka. Nie ze mną te numery. Ostrzegam cię, bo pożałujesz.

Jane wyrwała się z jego uścisku, ale on znów ją złapał i zamachnął się pięścią.

– Hej, ty! – rozległ się nagle męski głos. – Co ty wyprawiasz?! Puść tę damę, i to już, albo

pożalujesz, żeś się urodził...

Napastnik puścił ją i zniknął w głębi uliczki, a Jane odwróciła się i stanęła oko w oko z tym samym dżentelmenem, który przyglądał jej się w teatrze poprzedniego wieczoru.

– Sir – wydyszała, próbując złapać oddech. – Muszę podziękować panu za odstraszenie tego brutala.

– Czego chciał? Pieniędzy? – Mężczyzna przyjrzał jej się i na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. – Mam przyjemność z lady March, prawda? Znajomy wskazał mi panią wczoraj wieczorem, w teatrze...

– Ach, to pan przyglądał mi się przez lornetkę – powiedziała po chwili. Nie bała się już, choć wciąż była wściekła. – Czy zaaranżował pan tę scenę, aby zdobyć moją przychylność?

– Jest pani niesprawiedliwa! – zaoponował z dziwnym uśmiechem. – Nic nie wiedziałem o pani zamiarze odwiedzenia magazynów mistrza Morrisona. Sam przyszedłem tu tylko po to, aby dokonać zakupu. – Uniósł lekko kapelus. – Zechce mi pani wybaczyć, nie będę się już dłużej pani narzucał...

– Nie, proszę zostać. – Jane uświadomiła sobie, że zachowała się niegrzecznie. – Byłam w szoku po napaści tego łobuza i wydało mi się to bardzo dziwne, że to akurat pan przyglądał mi się wczorajszego wieczoru...

Mężczyzna roześmiał się cicho, białe zęby błysnęły w jego ogorzałej twarzy.

– Dziwi to panią, że taka piękność przykuwa uwagę? Jednak prosiła pani, bym nie odchodził. Czy mogę w czymś pomóc?

– Przyjechałam tu dorożką i muszę teraz wezwać nową, ale nie wiem, gdzie jej szukać...

– Tu jej pani nie znajdzie, *milady*. – Mężczyzna skłonił się lekko. – Kapitan Richard Hershaw, do pani usług. Mój powóz czeka na mnie, więc powiem stangretowi, żeby panią odwiózł do domu...

– Och nie, nie chciałabym się narzucać – odparła pospiesznie. – Kierownik magazynu będzie wiedział, gdzie szukać dorożki. Powinnam była zatrzymać tę, którą przyjechałam, ale nie wiedziałam, ile spędzę tu czasu.

– Moim zdaniem, dama o pani statusie powinna była wziąć swój powóz ze służbą. Tak byłoby bezpieczniej – powiedział kapitan Hershaw z żartobliwym błyskiem w oku. – Rozumiem jednak, że czasami chce pani być sama. Proszę wziąć mój powóz. Nalegam. Ja poradzę sobie i znajdę drogę do domu.

Jane zawahała się, a potem mu podziękowała:

– Jest pan bardzo miły, mimo że ja nie zachowałam się zbyt uprzejmie...

– Proszę mi podać swój adres, abym wydał dyspozycje stangretowi – powiedział i ruszył w stronę powozu. Jane poszła za nim, Hershaw pomógł jej wsiąść, po czym uchylił kapelusza i powóz odjechał.

Jane patrzyła przez okno, jak jej wybawca wchodzi do magazynu, a potem opadła na wygodne poduszki i na moment zamknęła oczy. Drobnym incydentem zaniepokoił ją, a z drugiej strony odrzucenie propozycji człowieka, który ewidentnie był dżentelmenem, byłoby z jej strony głupotą. Nie zmieniało to jednak faktu, że nie umiałyby zaufać Hershawowi.

W wirze wydarzeń towarzyskich Jane w ciągu kilku dni zapomniała o nieprzyjemnym incydencie w magazynie meblowym. Nikomu nie powiedziała, że jej grożono, ani słowem nie wspomniała też o kapitanie Hershaw – nawet gdy znalazła jego wizytówkę na tacy w holu. Dopiero kiedy Will powiedział jej, że dopisał nazwisko kapitana do listy gości zaproszonych na wieczorek muzyczny, zapytała, kim jest ten człowiek i gdzie Will go poznał.

– Hershaw...? – Will zmarszczył brwi. – Wczoraj wieczorem przedstawił mi go w klubie mój znajomy. Wygrałem od niego pięćset gwinei, więc uznałem, że wypada zaprosić go na kola-

cję, aby mu to w jakiś sposób zrekompensować.

– Nie wiedziałam, że grywasz o tak wysokie stawki.

– Nieczęsto mi się to zdarza. Choć rzadko gram o więcej niż kilka gwinei, to Hershaw zaproponował stawkę, a ja poczułem się zobowiązany wyrazić zgodę.

– Lepiej, żeby ci to nie weszło w zwyczaj – przestrzegła go Jane.

– Masz coś przeciwko Hershawowi? Nie wiedziałem, że go znasz.

– Spotkałam go tylko raz – powiedziała. – Nic złego o nim nie wiem, ale radzę ci, Will, nie ufaj mu zbyt pochopnie.

– Przecież nie jestem nałogowym graczem – odparł – muszę jednak dać mu okazję, żeby się odegrał. To kwestia honoru, kochanie.

– Tak, wiem... – Jane westchnęła, wiedząc, że dalsza dyskusja będzie jak groch o ścianę. Czuli, że kapitan Hershaw nie jest im wcale życzliwy, ale nie potrafiła tego uzasadnić. Nie miała przecież żadnych dowodów poza własną intuicją, a Will śmiałyby się pewnie, gdyby to usłyszał.

Coraz bardziej żałowała, że lorda Franta nie ma w Londynie. Mogłaby go zapytać, co o tym sądzi, bowiem on z pewnością potraktowałby poważnie jej obawy. Nie wiedziała nawet, na jak długo wyjechał do Irlandii. Żałowała, że go o to nie zapytała, lecz ich ostatnie spotkanie było krótkie i nie chciała go naciskać w tej sprawie. Nie mogła sobie przecież rościć żadnych praw do lorda Franta. Nie zmieniało to jednak tego, że czułaby się znacznie lepiej, gdyby już wrócił do Londynu.

Melia zaczęła spędzać coraz więcej czasu z panną Anne Smythe i jej bratem, kapitanem, chrześniakiem sir Henry'ego Clarke'a. Przyjeżdżali po nią rano i zabierali na konną przejażdżkę lub zakupy, popołudniami natomiast chadzała zazwyczaj na prośzone podwieczorki.

Ktoregoś wieczoru Jane, Will, Sarah i Melia zostali zaproszeni na kolację z grą w karty i odrobiną muzyki. Wtedy właśnie lady Clarke zdecydowała się porozmawiać z Jane o Melii.

– Jest pani przyzwoitką naszej drogiej Melii, nieprawdaż? Mniemam też, że zna pani dobrze jej opiekuna prawnego, lorda Franta?

– Owszem, jak również jej ciotkę, panią Bellingham.

– Zastanawiałam się... Czy ona ma jakiś posag? – Lady Clarke nie owijała w bawelnę. – Chrzestny syn, a zarazem spadkobierca mego męża, jest nią oczarowany; odniosłam także wrażenie, że pochodzi z dobrej rodziny.

– Nie słyszałam złego słowa o jej rodzinie – powiedziała Jane. – Z tego, co mi wiadomo, opiekun zapisał jej pewną sumę. Nie czuję się jednak upoważniona, aby zdradzić jej wysokość...

– Broń Boże! Nie śmiałabym nawet zapytać. Oczywiście mój chrześniak uważa, że to nieistotne... Ale wszystkim nam chodzi o dobro naszych najbliższych, prawda?

– Z całą pewnością, tak – odparła Jane. – Czy Melia okazuje jakieś szczególne względy państwu chrześniakowi?

– Czyżby nic pani nie mówiła? – zdumiała się lady Clarke. – Są właściwie nierozłączni. Myślałam, że pani to zauważyła.

Jane potrząsnęła głową i taktownie zmieniła temat. Owszem, widziała, jak Melia coraz częściej wychodzi gdzieś z nowymi przyjaciółmi, ale nie przywiązywała do tego większej wagi. Jeśli jednak zadeklarowała, że poważnie myśli o zamążpójściu... Nie! Nie mogłaby chyba okazać się tak niestała w swoich uczuciach. Przecież zaledwie kilka tygodni wcześniej głosiła wszem wobec, że jest zakochana w wicehrabim Hargreaves. Czy przestała o nim myśleć, gdy sprawił jej zawód, nie pojawiając się, wbrew obietnicom, na balu u księżnej?

Nie będąc opiekunką prawną Melii, a tylko przyzwoitką na czas pobytu w stolicy, Jane zaczęła już prawie żałować, że w ogóle zgodziła się zabrać ją do Londynu. Jeżeli to prawda, że młody kapitan zdobył jej względy, dla Willa będzie to wielki cios. Przecież wszystko wskazuje

na to, że Melia woli każdego, tylko nie jego, a z czymś takim trudno mu się będzie pogodzić.

Jane nie miała jednak ochoty na żadne scysje z Melią. Nie będzie jej dyktowała, gdzie ma lokować swoje uczucia. Jeżeli rzeczywiście jest taką kapryśną trzpiotką, to niech lepiej wyjdzie za kogoś innego. Willowi będzie przykro, ale z czasem to przeboleje. Z dwojga złego to lepsze, niż gdyby po ślubie szukała nowego obiektu westchnień. Może Willowi otworzą się wreszcie oczy na jej wady.

Jane nie rozmawiała o tym z Melią, lecz następnego ranka postanowiła pomówić o tym z bratem. Gdy zeszła wcześniej na śniadanie, jak to miała w zwyczaju, zastała już tam Willa. Sądząc po jego stroju, wrócił właśnie z konnej przejażdżki.

– Ach, widzę, że byłeś już na dworze. Jestem później umówiona na przejażdżkę z majorem Hardingiem, a Sarah obiecała odwiedzić naszą mamę. Co do Melii, nie mam pewności, jakie są jej zamiary...

– Z tego, co wiem, też będzie jeździć konno, a potem zje lunch u sir Henry’ego i lady Clarke. Sir Henry jest ojcem chrzestnym kapitana Smythe’a...

– Byłyśmy u nich wczoraj wieczorem na kolacji... Moim zdaniem, to lekka przesada, że spędza tyle czasu w ich towarzystwie...

– Myślę, że Melia ma swoje powody...

– Will, mój kochany. – Jane spojrzała na niego zatroskana. – Jego matka chrzestna zapytała mnie wczoraj o jej perspektywy...

– Czy mam jej wobec tego życzyć szczęścia? – zapytał Will, a w oczach dostrzegła cień żalu. – Tak też podejrzewałem, kiedy zobaczyłem, jak on na nią patrzy. Jest w niej zadurzony, a ponieważ ma swój własny majątek, nie przypuszczam, by jego matka chrzestna nastawiała go przeciw niej.

– Wątpię, by tego chciała, i mało mnie to obchodzi. Martwię się tylko o ciebie – powiedziała Jane. – To bardzo nieładnie ze strony Melii, że cię tak źle traktuje...

– Jest zakochana w Hargreavesie – stwierdził ponuro Will. – Zapytałem ją o to, a ona przyznała, że tak. On oczywiście nie może się z nią ożenić, bo jej posąg jest niewystarczający...

– Ale twój majątek jest chyba wystarczający, by ją zadowolić?

– To nie tak, jak myślisz, Jane – odparł Will. – Melia powiedziała mi, że jest jej przykro, ale nie może mi oddać swego serca, więc za mnie nie wyjdzie... bo mnie za bardzo lubi. Podejrzewam, że ma zamiar poślubić Johna Smythe’a, który ją uwielbia i nie będzie jej o nic wypytywał. Ale gdyby Hargreaves poprosił ją o rękę, rzuciłaby wszystko w diabły.

– Współczuję ci. – Jane podeszła i dotknęła jego ręki. – Wiem, że ją kochałeś.

– Tak, i może wciąż ją kocham... na swój sposób... Ale przejrzałem na oczy i widzę, że to egoistka bez serca. – Will westchnął z rezygnacją. – Lepiej teraz niż później po ślubie... John Smythe może ją sobie wziąć za żonę, jeśli mu się to uda. Nie będę mu zazdrościł.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odparł i uśmiechnął się do siostry. – Wyleczę się z tego, Jane, a następnym razem upewnię się, że kobieta, której oddam serce, jest tego warta... I że mogę liczyć na wzajemność.

– Z czasem będzie ci lżej...

– Nie myśl tylko, że cierpię tak jak ty po śmierci Harry’ego. – Will pocałował ją w policzek i spojrzał jej uważnie w oczy. – Nie wydajesz mi się tak radosna jak w ostatnim czasie. Czy powodem jest nieobecność Franta?

– Może... to znaczy, tak – przyznała. – Nie myślałam, że będzie mnie jeszcze kiedyś stać na głębsze uczucie, ale wydaje mi się... – z westchnieniem potrząsnęła głową. – Sama nie wiem... Może jestem niemądra, robiąc sobie nadzieję, że mogłabym raz jeszcze przeżyć miłość.

Przyjaźnimy się, lecz z jego strony nie widzę żadnych oznak, że to coś więcej.

– Myślisz, że nie? Sądząc po tym, co widziałem, bardzo mu na tobie zależy. – Will zmarszczył brwi. – Jak on długo zamierza przebywać w Irlandii?

– Nie mówił mi o swoich planach, ale zrozumiałam, że chce szybko wrócić, zostawiając tam Adama, który będzie doglądał młodych koni – powiedziała.

– A mnie mówił, że otworzy stajnie w Cambridgeshire na terenie swojej posiadłości. Chyba ma nadzieję wystawić któregoś z koni w jesiennych gonitwach.

– To znaczy, że będzie tu już niedługo – orzekła Jane. – A teraz przepraszam cię Will, muszę jeszcze przed wyjściem porozmawiać z twoją gospodynią i wydać dyspozycje co do dzisiejszego wieczoru.

– Tak, sam bym to zrobił, ale wiem, że mogę zdać się na ciebie – odparł. – A teraz zostawię cię i pójdę się przebrać. Mam jeszcze pewną sprawę do załatwienia przed południem, a po południu obiecałem zabrać Sarah na przejażdżkę po parku...

Jane w zamyśleniu patrzyła, jak Will wychodzi z saloniku. Decyzję Melii przyjął z większym spokojem, niż mogła się spodziewać. Może przyjazd Sarah do Londynu mógł mieć na to jakiś wpływ?

– Widziałem Franta dziś rano, kiedy się wybierałem po panią – powiedział major Harding, podczas konnej przejażdżki po parku. – Ukłoniliśmy się sobie w przelocie, ale nie zatrzymał się, żeby porozmawiać. Wpadnę do niego później i zapytam, kiedy wybiera się na wieś, do swoich posiadłości.

– Nie wiedziałam, że wrócił... – Jane serce szybciej zabiło. Nie odezwał się! Pewnie więc te uśmiechy i czułe słówka to tylko flirt. Ich znajomość była przecież zbyt krótka, aby mogła przerodzić się w miłość. Harry'ego znała nieomal przez całe życie, a zakochała się w nim na długo przed tym, jak ją poprosił o rękę. – Gdybym wiedziała, wysłałabym mu zaproszenie na dzisiejszy wieczór...

– Myślę, że wkrótce panią odwiedzi – powiedział major Harding z uśmiechem. – Mój stary przyjaciel jest panią oczarowany, lady March. Ja także chciałem spróbować swoich szans u pani, kiedy go nie było, ale odniosłem raczej marny skutek, prawda?

Jane popatrzyła mu w oczy.

– Cieszy mnie pańska przyjaźń, sir.

– Ale pani serce należy do innego – odparł, spoglądając na nią z uczuciem. – Paul jest moim przyjacielem i za nic w świecie nie chciałbym stanąć pomiędzy wami... Gdyby jednak panią opuścił, może pani być pewna, że zastąpiłbym go i byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała pani oddać mi swą rękę.

– Nikt mi nigdy nie powiedział czegoś równie miłego – przyznała Jane. – Chcę, aby pan wiedział, jak bardzo cenię sobie pańską przyjaźń i będę ją z radością kontynuować.

– Zawsze pozostanę do pani usług... do usług was obojga...

Jane mogła mu tylko podziękować. Lubiła i szanowała majora, który był zacnym człowiekiem, ale kochała Paula Franta. Jego nieobecność uzmysłowiła jej prawdę i już się nie mogła doczekać, kiedy go znów zobaczy.

Niestety Paul nie pojawił się u niej tego popołudnia, a wieczorem major Harding powiedział jej, że rozmawiał krótko z lordem Frantem, który go poinformował, że będzie w Londynie tylko kilka dni, a potem wyjeżdża na wieś, by uporządkować sprawy dotyczące jego posiadłości.

– Och, myślałam, że zabawi dłużej w mieście... – W głosie Jane zabrzmiała nuta zawodu, choć starała się tego po sobie nie pokazywać. Chyba się pomyliła w ocenie Paula... Jak mogła być tak nierozsądna?

– On na pewno przyjdzie. – Major Harding ścisnął ją za rękę i nagle zamarł na widok

wchodzącego gościa. – Hershaw? Co on tu robi?! Nie spodziewałem się zobaczyć tego człowieka w waszym domu, lady March.

– Mój brat go zaprosił, ponieważ wygrał od niego większą sumę któregoś wieczora.

– Proszę ostrzec brata, żeby uważał, bo może przegrać znacznie więcej, kiedy następnym razem zasiądą do stolika...

– Nie ufa mu pan?

– Przez pewien czas służyłem z nim we Francji – odparł major Harding. – Jeden z oficerów zarzucił mu oszustwo przy kartach i mieli się pojedynkować... ale ktoś powiedział o tym dowódcy i Hershaw został wysłany na misję. Później się dowiedziałem, że skierowano go do Indii...

– Do Indii? – Jane nagle ogarnął niepokój. – Co on tam robił?

– Nie mam pojęcia, ale chyba nadal jest na służbie... Nie potrafię powiedzieć, po co przyjechał do Anglii.

– Dobrze, że mnie pan ostrzegł, bo od początku nie budził mego zaufania. Nie byłam w stanie podać bratu konkretnej przyczyny, ale teraz ostrzegę go przy pierwszej okazji. Choć nie dzisiaj, kapitan Hershaw jest naszym gościem i należy go traktować z szacunkiem. Wolałabym jednak, żeby to było ostatnie zaproszenie.

– Proszę mieć się przed nim na baczności, *milady* – poprosił major Harding. – On uwikłał się w skandal z żoną jednego z oficerów...

– O tak, mogę w to uwierzyć – przyznała Jane. – Potrafi być czarujący, ale mnie się nie podoba.

– Miło mi to słyszeć. Niech pani zapamięta, co powiedziałem, Jane. Gdyby mnie pani kiedykolwiek potrzebowała, wystarczy jedno słowo...

Jane uśmiechnęła się i podziękowała mu, ale nie miała już potem okazji porozmawiać z nim na osobności. Przez cały wieczór czuła za to, jak oczy kapitana Hershawa śledzą jej każdy krok. Zagadnęła ją też raz czy dwa, pytając, czy dałaby się zaprosić na przejażdżkę któregoś ranka.

Jane wymówiła się wielością innych zajęć i zobaczyła w jego oczach błysk irytacji. Przyjął jednak jej wyjaśnienia i powiedział, że wkrótce ponowi zaproszenie.

Gdy wieczór dobiegł końca, Jane odetchnęła, rada, że może wreszcie porozmawiać z bratem na osobności.

– Wolałabym, żebyś już więcej nie zapraszał tu tego człowieka, Will. Spotykaj się z nim w klubie, jeżeli już musisz, ale... on mi się po prostu nie podoba. Patrzy na mnie w jakiś dziwny, niepokojący sposób...

– Tak, zauważyłem – przyznał Will. – Możesz jednak być spokojna, bo udało mi się dziś przegrać z nim w karty sześćset gwinei, więc jesteśmy kwita. Wątpię, bym chciał mieć z nim jeszcze kiedykolwiek do czynienia.

– Bardzo się cieszę. – Jane ucałowała go w policzek. – Nie uważasz, że Sarah była naprawdę cudowna? Po kolacji przez tyle czasu zabawiała lady Clarke i panią Holbein...

– Sarah jest wspaniałą panią domu i przyjaciółką – odparł Will z uśmiechem. – Przestań bawić się w swatkę, siostrzyczko, bo to niepotrzebne. Sam potrafię układać sobie plany na przyszłość.

– Will...? – Jane spojrzała na niego wyczekująco, lecz on roześmiał się tylko, kręcąc głową.

– Idź już do łóżka, Jane, i przestań się zamartwiać. Nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji, ale odkryję przed tobą moje myśli, kiedy tylko sam się w nich rozeznam...

Idąc na górę, Jane uśmiechała się sama do siebie. Lord Frant wrócił do Londynu, nie mu-

siała już czuwać nad Willem i wyglądało na to, że w tej chwili naprawdę nie ma żadnych powodów do niepokoju.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego ranka Jane czekała w swoim saloniku na dole i cierpliwość jej została nagrodzona, gdy lord Frant pojawił się tuż przed lunchem. Na jego widok wstała, wyciągając ręce, a on ujął je i ucałował ją w oba policzki.

– Tak się cieszę, że jesteś już w Londynie, Paul. Czy rana już się zagoiła?

– Jak najbardziej – odparł i nie puszczać jej dłoni, zapatrzył się na nią, jakby się nie mógł nasycić jej widokiem. Jane marzyła, by dał jej znak, że czuje to samo, co ona, ale on wciąż tylko spoglądał na nią tęsknie. – Nie mogłem się już doczekać, kiedy cię zobaczę, Jane. Chciałem ci podziękować za to, że zaniedbany i ogołocony budynek przekształciłaś w prawdziwy, ciepły dom.

– Więc jesteś zadowolony?

– Wszystko jest idealne... ale nie mam już teraz pretekstu, żeby cię odwiedzać.

Pomyślała, że gdyby mu na niej zależało, nie potrzebowałby żadnych pretekstów.

– Wiesz, że zawsze możesz mnie odwiedzać jako przyjaciel – powiedziała.

– Taką miałem nadzieję... A prawdę mówiąc, miałem nawet nadzieję na coś więcej. Niestety, pewne okoliczności powstrzymują mnie przed wyznaniem tobie, co leży mi na sercu.

– Co to za okoliczności? – zapytała ze zdumieniem, gdyż wzrok miał nieodgadniony. Dlaczego nie może rozmawiać z nią otwarcie, skoro tak mu na niej zależy? Gdy mówił jej o swoich nadziejach, wyczuła w nim jakąś rezerwę, której wcześniej nie było. – Zresztą, nie mam prawa o to pytać...

– Dałbym ci wszelkie prawo, Jane – zapewnił ją. – Muszę cię jednak prosić o cierpliwość. Pewne sprawy nie pozwalają mi teraz być z tobą i muszę je zakończyć, zanim będę mógł przyjść do ciebie z czystym sercem.

– Oczywiście. – Popatrzyła mu w oczy i serce jej szybciej zabiło. Wyczytała w nich miłość, tęsknotę i pożądanie... Nie mogły kłamać! Pod ich żarliwym spojrzeniem topniała, marząc, by ją wziął w ramiona i całował do utraty tchu. – Niestety, na próżno! – Ale... jeżeli dobrze zrozumiałam twoje słowa, mam prawo zapytać, dlaczego nie mówisz wprost.

– Zaufasz mi, Jane? Czy uwierzysz mi, że chodzi tu przede wszystkim o ciebie? Nie chcę cię wciągać w... – Potrząsnął głową zmartwiony. – Nie, nie chcę cię narażać...

– Dobrze, skoro o to prosisz, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego nie możesz być ze mną szczerzy.

– W tej chwili nie mogę mówić o moich uczuciach, Jane.

– Muszę wobec tego poczekać, aż to się zmieni...

– Przyszedłem, aby ci powiedzieć, że jutro wyjeżdżam do Cambridgeshire z majorem Hardingiem. Poprosiłem go, aby mi dotrzymał towarzystwa przez kilka dni, gdyż mam istny nawal spraw, za które muszę się zabrać. Potem wrócę do Londynu. Planuję wydać wtedy przyjęcie i odwiedzić ogrody Vauxhall...

– Będę zatem niecierpliwie wyczekiwać twego powrotu – odrzekła Jane, choć wolała, aby w ogóle nie wyjeżdżał. Męczyła ją jego tajemniczość. Nie jest przecież plotkarką, mógł więc powiedzieć jej w zaufaniu o swoich kłopotach. – Miałam nadzieję, że udasz się z nami do teatru w tym tygodniu, rozumiem jednak, że to niemożliwe.

– Gdybyś wiedziała, jak bardzo chciałbym zostać w mieście! – potwierdził z żalem, domyślając się, że jest jej przykro i czuje się zawiedziona. – Ale kupiliśmy konie, więc muszę dopilnować, aby miały zapewniony dach nad głową.

– Wicehrabia Hargreaves zostaje w Irlandii?
– Tak będzie lepiej dla niego. W Londynie wydaje się tracić rozsądek, a w Irlandii będzie musiał pilnować interesów. Może pewnego dnia wzbogaci się na tyle, że uda mu się przywrócić dawną świetność rodzinnym włościom, i wtedy się ożeni.
– Rzeczywiście, to najlepsze wyjście – przyznała Jane. – Myślę, że da to Melii czas na uleczenie zranionego serca.
– Czy moja podopieczna rzeczywiście jest tak zdesperowana? – zaniepokoił się Paul.
– Ach, skąd! – odparła Jane. – Chyba na swój sposób kochała Hargreavesa, ale leczenie tego rodzaju ran sprawia jej dużą przyjemność.
– Też tak myślałem – mruknął Paul. – Gdybym wierzył, że łączy ich prawdziwe uczucie, zastanawiałbym się, czy nie zrobić dla niej czegoś więcej.
– I tak byłeś wystarczająco hojny.
– Może... Ale nie chciałbym, aby którekolwiek z nich uszło z miłości.
– Ach, Melii to nie grozi. Wyszła gdzieś z przyjaciółmi.
– No cóż... poczekamy, zobaczymy... – powiedział z uśmiechem. – Miałem nadzieję, że zdążę przed wyjazdem pokazać ci dom... Ale po powrocie będzie dosyć czasu.
– Tak, oczywiście – zgodziła się Jane, choć w głębi duszy liczyła na to, że ją zaprosi jako pierwszą.
– Niestety, muszę cię już pożegnać. – Paul spojrział na nią z żalem. – Wybacz mi tę na- zbyt krótką wizytę. Mam jeszcze przed wyjazdem pewne sprawy do załatwienia. Czeką też na mnie mój prawnik.
– Rozumiem... – Podała mu rękę, którą przytrzymał znacząco dłużej, po czym uśmiechnęła się i wyszedł. Jane patrzyła w ślad za nim zgnębiona i zawiedziona.
Po chwili głosy za drzwiami uświadomiły Jane, że Melia wróciła, więc szybko otarła dłonią twarz, na wypadek gdyby zabląkała się tam jakaś nierozważna łąza. Wyszła do holu i ku swemu niezadowoleniu zobaczyła, że dziewczyna nie jest sama, a towarzyszy jej kapitan Hershaw.
– Richard odwiózł mnie do domu – powiedziała Melia, uśmiechając się wdzięcznie. – Zobaczył, jak stałam, czekając, aż deszcz ustanie, i zaproponował, że mnie podwiezie.
– Nie wiedziałam, że padało – odparła Jane.
– Och, tylko trochę i przestało, zanim dojechaliśmy do domu – wyjaśniła Melia, rumieniąc się. – Tak czy inaczej, miło było dla odmiany nie wracać na piechotę...
– Myślałam, że udałaś się na zakupy z panną Smythe.
– Tak, ale ona chciała iść później do biblioteki, a ja nie, więc pomyślałam sobie, że skorzystam z propozycji Richarda. – Zerknęła zalotnie na Hershawa, który pochylił się nad jej ręką, aby ją ucałować. – Musi zostać z nami na lunch...! Proszę cię, powiedz, że się zgadzasz, Jane...
Zawahała się; nie miała ochoty go zapraszać, lecz szczęśliwie kapitan Hershaw pomógł jej wybrnąć z tej krępującej sytuacji.
– Jestem już niestety umówiony – powiedział. – Dziękuję za uroczne towarzystwo, panno Melio. Może wraz z lady March zechciałyby mi panie wyświadczyć ten zaszczyt i pozwoliły się zaprosić do teatru któregoś wieczoru... Oczywiście, z kuzynką! – dodał, bo Sarah weszła właśnie do domu.
– Bardzo pan miły – odrzekła Jane. – Zajrzymy do naszych kalendarzyków. Mamy już tyle zaproszeń, że trudno znaleźć na cokolwiek czas...
Hershaw przeszył ją zimnym spojrzeniem, a na jego twarzy pojawił się wymowny uśmiech.
– Oczywiście, rozumiem, lady March. Nie wątpię jednak, że i tak będziemy się często spotykać...

Po tych słowach ulotnił się, pozostawiając Jane z niezbitym przekonaniem, że uczyniła go swoim wrogiem. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej jednak, że on zawsze żywił wobec niej złe zamiary.

Po lunchu w rodzinnym gronie Jane uświadomiła sobie, że w grę może wchodzić lord Frant, gdyż w towarzystwie wiadano, że się z nim przyjaźni. Na wspomnienie Paula z ręką na temblaku i opatrunkiem na czole przeszedł ją zimny dreszcz. Kiedy Paul powiedział jej, że pewne okoliczności uniemożliwiają mu otwarcie przed nią swego serca, myślała, że chodzi o interesy... teraz zaczynała rozumieć, że bał się rozmawiać z nią o miłości, ponieważ jemu także mogła grozić nagła śmierć.

Na myśl o tym zrobiło jej się słabo ze strachu. Może właśnie dlatego poprosił majora Hardinga, aby z nim pojechał na wieś...

– Kiedy się zorientowałeś, że ktoś czyha na twoje życie? – zapytał major Harding, gdy zatrzymali się na noc w zajeździe i z butelką wina zasiedli do kolacji.

Paul milczał przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Kiedy w Irlandii mój koń omal nie wpadł na drut, rozciągnięty między dwoma drzewami. Za pierwszym razem, kiedy ktoś do mnie strzelał, trudno mi było wyciągnąć jakieś wnioski. Adam nadjechał w samą porę, a ten łajdak uciekł. Nie wiedziałem, czy to nieszczęśliwy wypadek, czy atak.

– A Hargreaves? – rzucił Harding. – Słyszałem o nim, ale go nie poznałem. Ufasz mu?

– Jeszcze kilka tygodni temu powiedziałbym, że tak. Na statku uratował mi życie i nie widzę powodu, dla którego miałby pragnąć mojej śmierci...

– Ale teraz nie ręczysz już za jego lojalność, prawda?

– Nie umiałbym uwierzyć, że mógł to być on... – Paul zawahał się. – A jednak był wśród garstki tych, którzy znali trasę obu moich podróży... Mógł też mieć do mnie pretensje, że za uratowanie księcia dostał tylko dwa tysiące złotych monet, a ja znacznie więcej... Zresztą znasz tę historię.

– Rozumiem.

– Musisz przyznać, że to możliwe – odparł niechętnie Paul. – Gdybym się dowiedział, że pod maską przyjaźni ukrywał nienawiść... Byłby to nie lada cios.

– Czy powiedział lub zrobił coś, co dałoby ci do myślenia?

– Nie, tak naprawdę, nie. Rozpowiadał tylko, że został niesprawiedliwie potraktowany przy podziale nagrody...

– Nawet gdyby tak było, musiałyby być nędznym głupcem, żeby chcieć cię za coś takiego zamordować.

– Tak... – Paul zmarszczył brwi. – Tak też myślałem, ale nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

– A Hershaw?

– Hershaw...? – Paul sięgnął w głąb pamięci i spochmurniał. – To było tak dawno temu... nie, to chyba niemożliwe. Dlaczego akurat teraz?

– Był podejrzany o oszustwo i na twój wniosek został odesłany.

– Tak, teraz sobie przypominam. Pułkownik Forster poprosił mnie o opinię, a ja mu powiedziałem, że nie mam zaufania do tego człowieka. Zapomniałem już, dokąd go wysłali.

– Do Indii... nie spotkałeś go tam, kiedy pracowałeś dla Kompanii Indyjskiej?

– Z tego, co pamiętam, nie. Indie to olbrzymi kraj, a nasze wojska są rozmieszczone praktycznie wszędzie. Ja rzadko bywałem w głębi kraju, gdyż stacjonowałem na terenach górskich, podobnie jak Adam.

– Widziałem Hershaw'a któregoś wieczoru na przyjęciu u wicehrabiego Salisbury i ostrze-

głem lady March, żeby na niego uważała. Powiedziała mi, że choć go nie lubi, musi go traktować jak gościa, ale obiecała ostrzec brata.

– Hershaw pojawia się na wszystkich przyjęciach – zauważył Paul. – Nie dowiedziono mu oszustwa, był tylko o nie podejrzany. Tak więc jego reputacja nieszczególnie ucierpiała, choć jeżeli plotki będą nadal krążyć...

– Jest w Londynie dopiero od niedawna. Podobno jakiś wuj zapisał mu w testamencie niewielką posiadłość. Skoro przyjechał w interesach, może chce przy tej okazji załatwić dawne porachunki.

Paul uśmiechnął się dziwnie i pokiwał głową.

– Ulżyłoby mi, gdybym się dowiedział, że to on jest moim wrogiem, a nie Adam.

– Zapomniałeś, że pozostają jeszcze ja? – rzucił major Harding ze śmiechem. – Może pojechałem z tobą tylko dlatego, że miałbym świetną okazję, aby wpakować ci kulę w łeb.

– Gdybyś to był ty, pewnie już bym nie żył – powiedział Paul. – Tobie wystarczyłaby jedna kula.

– Tak, trafiłeś w sedno – przyznał Harding z rozbawieniem w głosie. – Czy zastanawiałeś się już, jak się zabezpieczyć?

– Owszem, ale teraz po twoim ostrzeżeniu powinienem zrobić znacznie więcej. Jak na razie dwie próby zabójstwa się nie powiodły, jestem jednak pewny, że wkrótce czeka mnie trzecia. Chciałbym tylko zrozumieć, czym sobie na to zasłużyłem...

Paul pomyślał, że gdyby znał tożsamość wroga, mógłby porozmawiać szczerze z Jane o swoich obawach i uczuciach. Swymi dwuznacznymi słowami zranił ją przecież i namieszał jej w głowie. Niewiele brakowało, a byłby jej wszystko wyznał wtedy na balkonie.

Tak wiele by dał, żeby zakończyć już tę sprawę...

– Dobrze się pani bawi, Lady March? – Już sam dźwięk tego głosu wystarczył, by Jane poczuła zimny dreszcz. Odwróciła się i stanęła oko w oko z człowiekiem, który zbliżył się do niej całkiem niepostrzeżenie. W ostatnich dniach gdziekolwiek poszła, wszędzie na niego natrafiała. Powiedział jej zresztą, że jest mile widziany w towarzystwie i nie były to czcze przechwałki.

Jane zaczynała podejrzewać, że ją śledzi.

– Wiem, że kocha pani dobrą muzykę i myślę, że tego wieczoru czeka nas królewska uczta dla ucha.

– Tak, *madame* Justine de Rigorini cieszy się wielkim uznaniem – odparła Jane. – Prawdę mówiąc, sądziłam, że jest pan raczej amatorem kart?

– Skąd to podejrzenie?! Nigdy nie przedkładałam kart nad muzykę i towarzystwo pięknej kobiety! – zapewnił ją spokojnie, lecz w jego oczach pojawił się złowieszczy błysk. – Jestem człowiekiem o wielorakich zainteresowaniach i różnorodnych gustach.

– Tak, oczywiście. Nie chciałam pana urazić – powiedziała. – Jest tu też mój brat, ale on akurat wybrał karty. Natomiast moja kuzynka Sarah i panna Bellingham wolą posłuchać ze mną muzyki.

– Goszczę u siebie kilku znajomych na wieczorne przyjęcie – ciągnął dalej Hershaw, jakby jej nie słyszał. – Może zechciałaby pani wraz z bratem oraz państwa gośćmi wyświadczyć mi ten zaszczyt i przyjąć moje zaproszenie?

– Chyba nieczęsto się zdarza, aby niezonaty dżentelmen wydawał u siebie przyjęcia?

– Och, moja ciotka, pani Sargent, wystąpi w roli gospodyni. Może ją pani zna? Jest znajomą księżnej.

– Tak, znam panią Sargent – potwierdziła Jane. – Proszę nam zatem wysłać zaproszenie. Zobaczymy, czy mamy wolny wieczór. A teraz muszę pana przeprosić...

Odeszła, nie oglądając się za siebie, mimo to przez cały czas czuła na sobie jego wzrok. Pani Sargent rzeczywiście była znajomą jej matki, ale nigdy jej nie lubiła – podobnie zresztą jak jej mama, która nigdy nie zapraszała jej na przyjęcia dla przyjaciół i bliskich znajomych.

– Czy dobrze widziałam, że rozmawiałaś z kapitanem Hershawem? – zapytała Melia, gdy Jane usiadła obok niej, aby posłuchać muzyki. – To taki czarujący mężczyzna, nieprawdaż? Podobno ma zamiar zaprosić nas na przyjęcie...

– Tak, ale ja nie mam ochoty przyjmować jego zaproszeń – odparła Jane. – On mi się nie podoba i byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś nie przebywała zbyt często w jego towarzystwie.

Melia spojrzała na nią urażona.

– Myślę, że nie podoba ci się żaden z tych dżentelmenów, którzy mnie się podobają – mruknęła pod nosem.

Jane zmarszczyła brwi, ale nie zwróciła jej uwagi. Nie chciała spierać się z nią publicznie, a zabranianie Melii bliższej znajomości z kapitanem nie należało do jej obowiązków, bo nawet gdyby Hershaw poprosił o jej rękę, decyzja koniec końców, należałaby do lorda Franta.

Jane od jakiegoś czasu coraz częściej myślała, że lepiej było w ogóle nie zapraszać tej młodej i ładnej dziewczyny do Londynu. Uczyniła to wyłącznie na prośbę brata przekonana, że doszli już z Melią do porozumienia. Niestety, wyglądało na to, że Melii wystarczała przystojna męska twarz, żeby się zadurzyć. Najpierw był wicehrabia Hargreaves, a teraz kapitan Hershaw. Żaden z nich nie był odpowiednim kandydatem i gdyby Melia była jej siostrą lub podopieczną, natychmiast wywozłaby ją z Londynu. Jedynym wielbicielem dziewczyny, którego akceptowała, był kapitan Smythe.

Pomyślała, że czas najwyższy porozmawiać o powrocie do domu. Spędziły już w mieście kilka tygodni, a ona skompletowała garderobę na najbliższe miesiące. Will napomknął coś o końcu przyszłego tygodnia, więc mogłaby z nim pojechać – choć, gdyby Sarah lub Melia znalazły sobie odpowiedniego wielbiciela, zostałyby trochę dłużej.

Tak czy inaczej, powie im następnego ranka, żeby zrobiły ostatnie zakupy i zwróciły książki do biblioteki. Ona sama zamierzała kupić komplet wydanych ostatnio powieści i zabrać je na wieś.

Jane westchnęła głęboko i znów zadała sobie pytanie, czy przed wyjazdem ujrzy jeszcze lorda Franta. Miała nadzieję, że znajdzie chwilę, by wstąpić do niej, a jeśli nie... no cóż – może któregoś dnia uda mu się odwiedzić ich na wsi.

Ze ściśniętym sercem pomyślała, że może go nie zobaczyć przez wiele miesięcy albo wcale... I pożałowała, że wpuściła go do swego serca.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jane siedziała na dole, przeglądając pocztę, gdy Will wszedł do salonu w stroju do konnej jazdy, wnosząc ze sobą zapach stajni. Na widok stosu listów uśmiechnął się.

– Nawet w Londynie prowadzisz bogatą korespondencję – zauważył. – Chciałem ci powiedzieć, że planuję powrót na wieś w przyszły piątek – ale gdybyś miała ochotę zabawić tu jeszcze przez kilka tygodni, jeden z moich przyjaciół odwiedzi cię później do domu. George Brandt zostanie u mnie aż do września, kiedy zacznie się sezon polowań. Wiem, że cię lubi i gotów jest odłożyć na bok inne zobowiązania i oferować ci swoje usługi.

– Porucznik Brandt to miły i atrakcyjny mężczyzna – zauważyła Jane. – Lubię jego towarzystwo, podobnie jak Sarah...

– Ach, tak... – Will sposepniał. – Nie wiedziałem, że Sarah się nim interesuje.

– Nie miałam nic więcej na myśli ponad to, co powiedziałam. I Sarah, i ja lubimy go, ale nic ponadto.

Nie uspokoiło to Willa, który wciąż miał chmurną minę.

– Czy to przez tego Paula Franta, Jane? Myślałem, że mu na tobie zależy, ale on pojechał sobie do Irlandii, a potem na wieś... Przykro mi, że ten łajdak cię zranił, siostrzyczko.

– Lord Frant nie jest żadnym łajdakiem... – Jane uśmiechnęła się do brata, choć jego słowa odzwierciedlały jej własne obawy. – Nie uraził mnie też w żaden sposób. Pojechał na wieś w pilnych interesach, które zajmą mu trochę czasu. Mam nadzieję, że wróci przed naszym wyjazdem, ale tak czy owak, chcę z tobą wyjechać, Will...

– Cieszę się, bo mój dom wydaje się taki pusty bez ciebie, kochana. Nie masz chyba zamiaru zbyt szybko wyprowadzać się z Sarah do Bath?

– Może wiosną przyszłego roku – odparła, przyglądając mu się uważnie. – Will, czy to dosyć czasu, abyś mógł podjąć decyzję?

– Tak, myślę, że tak, ale... – Pokręcił głową. – Miałem nadzieję, że wkrótce wyjdiesz za mąż... Nie chciałbym popsuć ci planów, Jane.

– Myśl o własnym szczęściu – powiedziała mu. – W razie czego znajdę sobie tuzin innych dam do towarzystwa.

– Ale pragnę, żebyś i ty była szczęśliwa. Nie poznałaś nikogo innego, kogo chciałabyś poślubić... czy może definitywnie oddałaś już serce Frantowi?

– Chyba tak – przyznała się Jane. – Przez długi czas myślałam, że nie będę już w stanie nikogo pokochać tak, jak mojego najdroższego Harry'ego... Teraz wydaje mi się, że spotkałam kogoś, kogo mogę obdarzyć szacunkiem i miłością... może trochę inną niż słodkie szaleństwo z Harrym... ale nie mniej słodką.

– A co na to mama? Przed paroma tygodniami sugerowała, że może coś z tego wyniknie, a potem Frant pojechał do Irlandii i znów zaczyna się o ciebie martwić.

– Mama koniecznie chciałaby mnie wydać za mąż. Każdy przyzwoity i bogaty kandydat będzie dobry, jeśli potrafi mnie uszczęśliwić. Czy to jej pomysł, żeby zaprosić na dłużej porucznika Brandta?

– Może i coś napomknęła na ten temat, ale George to dobry człowiek. Lubię go, a on bardzo cię lubi, Jane.

– Major Harding też mnie lubi. Czy jego także powinieneś zaprosić na dłużej, kiedy zaczną się polowania?

– Jeżeli tylko sobie tego zażyczysz. Zapytam też Franta, czy znalazłby trochę czasu,

mimo tych ważnych interesów.

– Zaproś wszystkich trzech! – impulsywnie rzuciła Jane. Może wtedy Paul zdecyduje się porozmawiać z nią szczerze. – Nie pozwól też, by lęk o moją przyszłość popsuł ci plany, kochany bracie. Zastanowię się nad każdym z tych dżentelmenów i jeżeli serce zabije mocniej do któregoś z nich, dowiesz się o tym jako pierwszy.

Will całkiem niedawno usiłował ją uspokoić podobnym zapewnieniem i roześmiali się jednocześnie. Byli sobie bardzo bliscy i wiedziała, że brat pragnie widzieć ją szczęśliwą i spokojną o swoją przyszłość, zanim oświadczy się damie, którą ma teraz nadzieję poślubić.

Cieszyła się też, że nie chciał już żenić się z Melią Bellingham, ponieważ okazała się rozpieszczona i niestała w uczuciach. Po powrocie z Londynu dziewczyna znów zamieszka u ciotki – chyba że wcześniej przyjmie oświadczyzny któregoś z adorujących ją kawalerów.

– Mamy wracać już za tydzień? – Melia była wyraźnie zawiedziona. – Myślałam, że zostaniemy tu przynajmniej do końca sezonu.

– Sezon zaraz się kończy – powiedziała Jane. – Większość ważnych balów już się odbyła... Oprócz tego u lady Marshall w przyszłym tygodniu. Odbędzie się w środę wieczorem, a potem zaczniemy przygotowania do wyjazdu... ale do tego czasu masz jeszcze kilka dni...

– Ominie nas przyjęcie u kapitana Hershawa...

– Już ci mówiłam, że nie przyjmę jego zaproszenia – odparła Jane, rada, że ma konkretną wymówkę. – Chyba nie jest to dla ciebie aż takie ważne? Masz teraz tylu przyjaciół i byłaś wszędzie zapraszana. Musiałaś przecież wiedzieć, że to nie będzie trwać wiecznie.

– Tak, ale... – Melia spojrzała na nią naburmuszona. – Nikt nie poprosił mnie jeszcze o rękę. Miałam nadzieję... – urwała i splonęła rumieńcem.

– Nie sądzę, aby twoja ciotka lub lord Frant wyrazili zgodę na ślub z tym dżentelmenem – powiedziała łagodnie Jane. – Myślałam, że chodzi o kogoś innego... Brat panny Smythe bardzo cię polubił. Może gdybyś się do niego uśmiechnęła...

– Och, lubię Johna i jego siostrę, ale wolę innych – oświadczyła Melia. – niesprawiedliwie ich oceniasz. Jakie masz prawo dyktować mi, za kogo mam wyjść za mąż?

– Nie mam żadnego, oczywiście – zgodziła się Jane. – Ale jeżeli myślisz, że chcę ci cokolwiek zabraniać, to jesteś w błędzie, Melio. Próbowалам ci doradzać, ponieważ życzę ci szczęścia, a nie sądzę, abyś go zaznała z kapitanem Hershawem. Jest hazardzistą niegodnym tego, by powierzyć mu serce młodej dziewczyny. Jemu nie można ufać.

– A Adam? Czy jemu także nie można ufać?

– Gdyby cię poprosił o rękę, życzyłabym ci szczęścia – odparła Jane. – Myślę, że nie zrobił tego z honorowych przyczyn. Nie byłoby go stać na to, aby stworzyć ci warunki, na jakie zasługujesz. Nie powinien był jednak rozbudzać w tobie płonnych nadziei.

– Z nim byłabym szczęśliwa nawet w małej chatce! – Melia wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Jane patrzyła za nią ze smutkiem. Nie chciała przysparzać jej bólu, mimo że Will dotkliwie się na niej zawiódł. Powiedziała jednak Melii prawdę. Wicehrabia Hargreaves był mężczyzną zdolnym rozkochać w sobie niejedną młodą dziewczynę – ale musiał znaleźć pannę z dużo większym posagiem niż 7 tysięcy funtów.

Melia przeprosiła później Jane i zawarły kruchy rozejm. Jane dokładała wszelkich starań, aby poprawić ich relacje, ale nie było to łatwe. Melia chciała zamieszkać w Londynie i przez okrągły rok bywać na balach i przyjęciach, lecz w tym celu musiałyby poślubić kogoś, kogo w równym stopniu pociąga takie życie – a zdaniem Jane, ani Adam Hargreaves, ani kapitan Smythe nie myśleli o tym, by na stałe osiąść w mieście. Cóż więcej mogła powiedzieć... To Melia musi sama zrozumieć, czego chce od życia.

Na wieczornym przyjęciu Jane z radością patrzyła, jak Melia wesoło spędza czas z panną Smythe i jej bratem. Wydawała się mieć znacznie lepszy humor niż przed południem i poinformowała Jane, że kapitan Smythe zabierze ją nazajutrz rano na konną przejażdżkę. Jane z uśmiechem skinęła głową i rozstały się w zgodzie.

Sarah natomiast przyjęła wiadomość o wyjeździe na wieś z zadowoleniem. Sporządziła listę rzeczy, które chciała jeszcze nabyć, i następnego ranka udały się wraz z Jane na zakupy.

– Mamy tyle bagaży, że chyba będzie nam potrzebny jeszcze jeden powóz – stwierdziła Sarah ze śmiechem. – Tak świetnie bawiłam się w Londynie. Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś...

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Jane i nagle serce jej zamarło na widok dzentelmena, zmierzającego ulicą w ich kierunku. Podszedł do nich uśmiechnięty. – Cieszę się, że pan wrócił, lordzie Frant – powitała go. – Bałam się, że się już nie zobaczymy. W przyszłym tygodniu opuszczamy Londyn.

– Ach, co za pech! – stwierdził z zalem Paul. – Interesy trzymały mnie zbyt długo z dala od pani, lady March. Może jednak mógłbym panią odwiedzić w najbliższym czasie? Liczę na to, że wszystko wkrótce się wyjaśni.

– Bardzo pan tajemniczy – odpowiedziała, podając mu rękę, którą przycisnął do ust z ogniem w oczach. Serce jej mocniej zabiło; pomyślała, że coś jednak do niej czuje, skoro patrzy na nią w ten sposób. – Bardzo nam pana brakowało, sir.

– Tak jak mnie brakowało pani, lady March – odparł i spojrzął z uśmiechem na ich paczki. – Czy mogę paniom pomóc w niesieniu tych pakunków?

– To zaledwie drobna część – wyznała mu Sarah. – Resztę zakupów mają nam dostarczyć do domu. Właśnie zastanawialiśmy się nad lodami i kawą... Nieprawdaż, lady March?

– Pozwolę sobie zatem zaprosić panie na lody do Gunthera. – Paul uśmiechnął się do nich, lecz jego wzrok zatrzymał się nieco dłużej na Jane. – Może wybralibyśmy się do teatru, wszyscy razem, zanim wyjedziecie?

– Dziś wieczorem jesteśmy wolne – odpowiedziała mu Sarah wymownym tonem.

– Skoro tak, zajmę się wszystkim – odparł Paul. – Panno Sarah, bardzo dziękuję za tę wskazówkę. Proponuję zatem najpierw teatr, a potem kolację.

Jane zamierzała spędzić ten wieczór w domu, ponieważ rzadko zdarzało im się nie mieć żadnego spotkania, przyjęła jednak zaproszenie z radością, a w serce jej wstąpiła nowa nadzieja... Przynajmniej na szczerą rozmowę na osobności.

W środku dnia Melia przyprowadziła gości na lunch, chociaż wcześniej ani słowem nie wspomniała, że ma taki zamiar. Dla Jane było to sporym zaskoczeniem, jednak z uśmiechem powitała pannę Smythe oraz jej brata.

– Nie chciałem się bynajmniej narzucać – zapewnił kapitan Smythe – ale Melia uparła się, że pani jako pierwsza powinna usłyszeć tę radosną nowinę. Otóż, zgodziła się wyświadczyć mi ten wielki zaszczyt i zostać moją żoną...

Jane na moment zamurowało; tego się nie spodziewała. Przecież Melia w żaden sposób nie dała jej wcześniej do zrozumienia, że ma zamiar przyjąć oświadczyzny tego młodego człowieka. Szybko jednak otrząsnęła się, pogratulowała im obojgu, po czym wezwała lokaja i kazała przynieść szampana.

– Wiem, że muszę jeszcze porozmawiać z lordem Frantem – powiedział kapitan Smythe, uszczęśliwiony, a zarazem lekko zaskoczony, jakby sam się nie spodziewał takiego obrotu spraw. – Mam nadzieję, że uzna, iż jestem jej godny...

Kapitan Smythe pochodził z dobrej rodziny, na tyle zamożnej, by nie przywiązywać wagi do posagu, Jane mogła więc być pewna, że opiekun Melii nie będzie miał żadnych obiekcji. Co

więcej, będzie niewątpliwie zadowolony, widząc ją szczęśliwą i bezpieczną.

– Bardzo się cieszę – wyznała, całując Melię w policzek. – Nie wątpię też, że rodzina Melii zaaprobuje wasz związek. Wiem też, że lord Frant jest w Londynie, ponieważ rozmawiałam z nim jakieś dwadzieścia minut temu.

– Wobec tego pożegnaj się i pójdę do niego. – Kapitan Smythe wstał i lekko się skłonił.

– Teraz?! Nie zostaniesz na lunch? – Melia posłała mu wdzięczny uśmiech.

– Wolałbym jak najszybciej wszystko załatwić. Przyjdę później, o ile pani pozwoli, lady March, i ustalimy szczegóły wizyty u moich rodziców oraz ciotki Melii, pani Bellingham. Chodź, siostró. Pozwólmy miłym państwu zjeść w spokoju lunch. Powrócimy tu później...

Po ich wyjściu Jane spojrzała na Melię.

– To dobra partia dla ciebie, Melio... Ale czy jesteś szczęśliwa?

– Oczywiście, że tak – odparła dziewczyna, nie patrząc jej w oczy.

Jane nic już więcej nie mówiła na ten temat, lecz gdy Will wrócił do domu kilka minut później, powiedziała jemu i Melii o swoich planach na ten wieczór.

– Nie będę wam towarzyszył – oświadczył Will. – Zresztą, nie jestem wam do niczego potrzebny, skoro idzie z wami Frant. – Wzrok jego spoczął na zarumienionej twarzy Melii. – Życzę ci szczęścia, Melio, i jestem pewien, że wszystko dobrze się ułoży... kapitan Smythe to przyzwyczajony człowiek.

– Will, ja... – Melia spuściła głowę, niezdolna wykrztusić słowa, ale Will wziął ją za rękę i uśmiechnął się.

– Melio, przecież pozostaniemy przyjaciółmi. Nie obiecywałaś mi, że za mnie wyjdiesz, tylko że się nad tym zastanowisz. Tak więc nie złamałaś danego mi słowa i nie mam do ciebie żadnych pretensji.

Melia roześmiała się z ulgą.

– Nie pasowalibyśmy do siebie, Will – wyznała szczerze. – Ja bardzo lubię miasto, a ty wolisz wieś. Kapitan Smythe jest oficerem, a ja chętnie zamieszkać w kwaterach dla małżeństw, ponieważ często odbywają się tam przyjęcia i bale. Jak na razie jego pułk stacjonuje w Londynie, wkrótce jednak może się przenieść do Bath na kilka miesięcy.

– Spodoba ci się życie u boku wojskowego – przyznał Will i odwrócił się, po czym rozmowa zeszała na tematy ogólne.

Po lunchu Will wyszedł, gdyż był umówiony ze znajomymi, a panie udały się na górę do swoich pokojów, aby odpocząć. Jane przebrała się w popołudniową suknię z jedwabiu w korалowym odcieniu, gdy dano jej znać, że wrócił kapitan Smythe wraz z siostrą. Przynieśli dobre wieści i gotowy plan wizyty u jego rodziców.

– Pojedziemy tam jeszcze przed ostatnim balem sezonu – powiedział Smythe. – Już się nie mogę doczekać, aby przedstawić Melię mojej rodzinie. Pojedzie też z nami moja siostra i zaprosimy panią Bellingham na dłużej, jeśli tylko będzie miała ochotę...

– Cieszę się, że wszystko się tak dobrze ułożyło – przyznała Jane. Humory Melii gdzieś się ulotniły i wydawała się uszczęśliwiona, wiedząc, że po ślubie wróci do Londynu jako żona kapitana.

– Lord Frant zaprosił także i nas do teatru – ciągnął dalej kapitan Smythe, tryskając entuzjazmem. – Pragnę jednak przedstawić Melię mojej babce, więc udamy się do niej jeszcze dzisiaj...

Jane uśmiechnęła się na to, wyrażając zgodę, i odetchnęła z ulgą, gdy rodzeństwo Smythe'ów wyszło, a ona mogła szykować się na wieczór w teatrze. Myśli jej krążyły wyłącznie wokół tej miłej perspektywy; miała także nadzieję, że uda jej się spędzić choć chwilę sam na sam z lordem Frantem.

– Wyglądasz pięknie – powitał ją Paul, wręczając jej mały bukietek czerwonych róż. – Brakowało mi ciebie, Jane. Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł cię częściej widywać.

Jane podziękowała mu z uśmiechem za kwiaty, nie mogła jednak powiedzieć mu, co jej leży na sercu – a on, mimo komplementów i okazywanych jej względów, nie wypowiedział słów, które by jej to umożliwiły.

Wystawiana komedia Sheridan^[1] została dobrze przyjęta przez publiczność, a następujące po niej tańce i muzyka także się podobały. Kiedy wychodzili z teatru po przedstawieniu, Jane spostrzegła dwie znajome osoby: lady Catherine w towarzystwie kapitana Hershawa, co mogło wydać się dziwne, skoro lady Catherine była już zaręczona z innym dżentelmenem.

Kapitan Hershaw nie zauważył Jane, natomiast lady Catherine przyjrzała jej się z niechęcią przez zmrużone powieki. Jane skinęła jej lekko głową, otrzymując w rewanżu lodowaty ukłon, potem jednak Paul zaczął coś mówić, więc odwróciła się do niego.

Kolację zjedli we czworo w przyjemnej restauracji, ciesząc się swoim towarzystwem. Sarah i Will wydawali się mieć sobie bardzo dużo do powiedzenia i co chwila wybuchali śmiechem. Will, koniec końców, zdecydował się im towarzyszyć, kiedy się dowiedział, że Melia i kapitan Smythe nie idą do teatru.

– Twoja kuzynka to strasznie miła dziewczyna – powiedział cicho Paul do Jane, patrząc na śmiejącą się parę. – A twój brat sprawia wrażenie znacznie szczęśliwszego niż przed paroma tygodniami.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy – odparła półgłosem. – Myślę, że się polubili, ale to dopiero początek, oczywiście.

– Oczywiście. – Paul spojrzął jej w oczy z tak przejmującą tęsknotą, że aż jej serce mocniej zabiło. – Gdybym mógł bez obaw pójść za głosem uczuć... Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnę porozmawiać z tobą i wyznać ci wszystko, ale w tej chwili nie mogę. Prawdę mówiąc, nie powinienem być w ogóle przychodzić tu tego wieczoru, jednak nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności... Wybacz mi to ciągle odwołanie...

– Mówisz bardzo zagadkowo – stwierdziła, marszcząc brwi. – Jeżeli coś cię gnębi, chętnie cię wysłucham.

– Jesteś dla mnie wszystkim, co w moim życiu najcenniejsze – powiedział. – Chcę, żebyś wiedziała, że stałaś mi się bardzo bliska i gdybym mógł, zaraz poprosiłbym cię o rękę. Mam jednak... śmiertelnie ważne powody, aby to nieco odłożyć...

Jakaż to ważna przeszkoda uniemożliwia mu oświadczyń, jeżeli naprawdę ich sobie życzy? Jane nie mogła tego zrozumieć. Szczerza z natury, wołałaby, aby wszystko było jasne i proste. Wyczuła jednak, że z jakichś powodów Paul nie jest w stanie powierzyć jej swego sekretu.

Dotknęła jego ręki.

– Widzę, że jesteś czymś bardzo zmartwiony, mój drogi. Muszę ci wyznać, że cenię sobie naszą przyjaźń, a może nawet więcej niż przyjaźń, ale jeżeli jest jakaś przeszkoda...

– Ufam, że już wkrótce zdołam ją pokonać – odparł, ściskając jej dłoń. – Czy mogę zamówić jeszcze jednego szampana?

– Ja już dziękuję. Powinniśmy chyba wracać. – Ponad stolikiem Jane spojrzała bratu w oczy. – Jesteście gotowi, Sarah i Willu?

– Tak, chyba tak – odpowiedziała Sarah. – Dzień był pełen wrażeń i czuję się już trochę zmęczona.

Gdy weszli do domu, Jane spytała Paula, czy miałby ochotę wstąpić na drinka przed odjazdem.

– Tylko na moment – powiedział i poszedł za nią do saloniku, lecz gdy chciała zadzwonić na służącego, żeby im przyniósł brandy, powstrzymał jej rękę. – Teraz, kiedy Melia nie będzie

już mieszkać u ciebie, muszę odwiedzić jej ciotkę, ustalić datę ślubu i przygotować kontrakt przedmałżeński. Kiedy już to załatwię, chciałbym odwiedzić was na wsi.

– Wspaniale. Prosiłam już Willa, żeby cię zaprosił na wrześnie polowania, ale możesz przyjechać, kiedy tylko zechcesz.

– Mam nadzieję ujrzeć cię jeszcze przed końcem tego miesiąca – wyznał. – Oby tylko okoliczności okazały się bardziej sprzyjające...

– A jednak nie chcesz mi powiedzieć, co cię gnębi?

– Jane, moja ukochana... – Paul przygarbnął ją do siebie. Przez chwilę wpatrywał się w nią czule, a potem zaczął ją całować; najpierw delikatnie, a potem coraz namiętniej. – Kocham cię do szaleństwa od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. Nie śmiem cię jednak prosić o rękę, dopóki nie załatwię pewnych spraw...

Jane topniała w jego objęciach; rozgrzane wargi mrowiły ją od jego pocałunku.

– Chyba też cię pokochałam, Paul... – wyszeptła. – Nie myślałam, że coś takiego może mi się jeszcze przydarzyć, a tymczasem stałeś się mi bliski.

– Och, Jane, moja najdroższa, uwielbiam cię! – wyznał żarliwie, a ogień w jego oczach kazał jej zapomnieć o wszelkich wątpliwościach. – Przysiągłem sobie trzymać się na dystans, wyłącznie dla twego bezpieczeństwa, ale teraz muszę posłuchać głosu serca. Chcę cię pojąć za żonę, najdroższa! Powiedz, czy będziesz moja?

– Tak, wyjdę za ciebie, jeżeli tego pragniesz.

– Z całego serca, mimo to muszę cię poprosić, by nasza miłość pozostała przez jakiś czas tajemnicą. Zrobisz to dla mnie? Zaufasz mi, Jane? Dla twego spokoju ducha będzie lepiej, żebyś nie poznała wszystkich powodów. Mam jednak nadzieję, że wierzysz w moje uczciwe zamiary i poczekasz, aż będę mógł bez obaw powiedzieć ci o wszystkim.

– Skoro tego chcesz... – Jak mogła mu odmówić? Zalała ją fala szczęścia. – Musisz mieć poważne powody...

– Proszę cię o dyskrecję tylko dlatego, że cię kocham i pragnę ochronić przed tymi, którzy mogliby cię skrzywdzić. Mam wroga, Jane, a choć domyślałam się już kto to, nie mogę jeszcze podać jego nazwiska.

– Wobec tego nie powiem nikomu, nawet Willowi i Sarah.

– Dziękuję ci, najdroższa. – Paul obdarzył ją czułym pocałunkiem. – Jestem ci bardzo wdzięczny! Wrócę tu jutro po lunchu z drobnym podarunkiem na znak naszej miłości... a teraz muszę cię już pożegnać.

Jane uśmiechnęła się, pocałowała go w usta i pozwoliła mu odejść, po czym ruszyła na górę, pogrążona w słodkich marzeniach. Przyszłość jawiła jej się w różowych barwach. Nie wątpiła, że tym razem los nie okaże się tak okrutny, aby odebrać jej szczęście...

Paul wyszedł od Jane z uczuciem lekkiego niepokoju. Nie powinien był zapraszać jej do teatru, a tym bardziej rozmawiać z nią tak otwarcie – a jednak na jej widok dał się ponieść uczuciom. Oby tylko jego chwilowa słabość nie naraziła jej na niebezpieczeństwo. Z drugiej strony, to przecież niemożliwe, by ich rozmowa mogła dotrzeć do uszu wroga...

Nazajutrz rano Jane udała się na zakupy, gdyż przypomniała sobie jeszcze o paru rzeczach. Paul miał przyjść dopiero po południu, postanowiła zatem skorzystać z ostatniej okazji, aby odwiedzić kilka miejsc.

Po powrocie przejrzała wizytówki pozostawione w holu na srebrnej tacy i ku swemu zdumieniu znalazła jedną od lady Catherine. Na odwrocie widniała wiadomość:

Muszę się z Panią pilnie zobaczyć na osobności. Proszę przyjść do mnie na herbatę dziś po południu. Mam Pani coś ważnego do powiedzenia.

Catherine Radcliffe

Jane patrzyła na kartonik ze zmarszczonymi brwiami. Dlaczego lady Catherine chce się z nią tak pilnie zobaczyć? Owszem, znały się, ale nie były przyjaciółkami, poza tym, odnosiła wrażenie, że lady Catherine jej nie lubi.

Pomyślała, że nie ma ochoty na prywatną rozmowę z osobą, za którą nigdy nie przepadała, nie mówiąc już o tym, że Paul zapowiedział się z wizytą tego popołudnia. Postanowiła odpisać, że jest tego dnia zbyt zajęta, będzie natomiast w domu następnego ranka, gdyby lady Catherine chciała się z nią zobaczyć.

Wysłała list i później podczas lunchu rozmawiała najpierw z Melią o zaplanowanym na następny dzień wyjeździe z panną Smythe i jej bratem, a potem z Sarah, o tym, co trzeba jeszcze zrobić, zanim i one opuszczą Londyn.

Will obiecał zabrać Sarah na przejażdżkę, więc wyszli zaraz po lunchu. Melia poszła na górę do swego pokoju, aby napisać list do ciotki, a Jane udała się do swego saloniku i tam czekała na Paula. Zjawił się o trzeciej, niezwykle wytworny w jasnogrnatowym płaszczu, butach do konnej jazdy, jasnych bryczesach i bobrowym cylindrze. Miał pasek ze srebrną klamrą, rękawiczki z najlepszej skórki i nieskazitelnie białą koszulę. Wyglądał jak uosobienie zamożnego londyńskiego arystokraty.

Jane wstała na jego powitanie, wyciągając ręce, a on ujął je i ucałował, po czym wręczył jej płaskie pudierko z czerwonej skóry. Kiedy je otworzyła, oczom jej ukazał się piękny diamentowy naszyjnik.

– Przecież to istne cudo, Paul! – wyszeptała. – Ale nie jesteśmy jeszcze oficjalnie zaręczeni, więc nie powinnam przyjmować tak kosztownego prezentu.

– Zamówiłem także pierścionek... Może jutro znalazłabyś czas na wizytę u jubilera, aby go przymierzyć? – spytał. – Naszyjnik należał do mojej matki; dostała go od swego ojca w prezencie ślubnym, a ja odziedziczyłem go po jej śmierci. Na pewno chciałaby, żebyś go nosiła, moja najdroższa Jane.

– Dziękuję ci za tak cenny podarek. – Jane zamknęła pudierko i spojrzała na Paula. – Chciałabym jednak zrozumieć, dlaczego nie możemy ogłosić naszych zaręczyn.

– Uwierz mi – pragnąłbym je wykrzyczeć całemu światu. Nie powinienem jednak być mówić ci o swoich uczuciach przed załatwieniem pewnych spraw. Bałem się jednak, że cię stracę. Proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć...

– Ćśśś, nie musisz nic mówić – uspokoiła go. – Masz swoje powody, a ja godzę się z tym, że musimy poczekać...

– Radość wypełnia me serce, ilekroć patrzę na ciebie. – Paul wziął ją w ramiona i znów pocałował. – Kocham cię, Jane, i chcę cię poślubić, kiedy tylko... będzie to możliwe.

– Wobec tego będę cierpliwie czekała na ciebie – odrzekła z uśmiechem, spoglądając mu w oczy.

– Jutro mam pewną sprawę do załatwienia – powiedział – a pojutrze wyjeżdżam złożyć wizytę ciotce Melii. Wy już w tym czasie opuścicie pewnie Londyn. Spróbuję jednak wpaść jutro na kilka minut, ale to nic pewnego, więc nie czekaj na mnie w domu.

– Przyjdź, jeżeli będziesz mógł – zachęciła go. – Może zostaniesz teraz na chwilę i wypijesz ze mną herbatę? Melia wkrótce zejdzie, a Sarah z Willem wybrali się na przejażdżkę i nieprędko wrócą.

– Dobrze, zostanę. Żałuję, ale później mam już inne zobowiązania. Muszę się spotkać z pewnymi osobami, a wieczorem jestem umówiony na kolację z majorem Hardingiem...

– Ach, rzeczywiście! To on był z tobą na wsi ostatnio, prawda?

– Tak, i cieszę się, że mi towarzyszył. – Paul pokręcił głową. – Może jednak nie mam prawa prosić cię o całkowitą dyskrecję, Jane. Jeżeli chcesz, powiedz o naszych zaręczynach Willowi

i twojej kuzynce... i może mamie, ale niech ta wiadomość zostanie w kręgu najbliższej rodziny.

– Powiem bratu i Sarah. – Jane uśmiechnęła się. – Mama raczej nie musi wiedzieć w tym momencie. Będzie przysięgała, że zachowa to w tajemnicy, a potem wszystkim rozpowie. Melii nie zdradzę z tego samego powodu.

– Tak, to możliwe – przyznał Paul. – Porozmawiam z twoim bratem, kiedy do was przyjadę.

– Will będzie tego oczekiwał – powiedziała. – Co prawda w moim wieku mogę sama decydować w kwestiach matrymonialnych, ale to kwestia kurtuazji.

– Przywiozę wtedy pierścionek, ale... – urwał, bo Jane dała mu znak, że nie są sami. Odwrócił się i zobaczył w progu Melię.

– Przepraszam – odezwała się – nie miałam zamiaru przeszkadzać, ale pomyślałam sobie, że czekacie na mnie z herbatą.

– Rzeczywiście tak jest. – Jane uśmiechnęła się do niej. – Usiądź, proszę, a ja zadzwonię po herbatę. Lord Frant pragnie zamienić z tobą parę słów. On także wyjeżdża wkrótce po was porozmawiać z twoją ciotką o przygotowaniach do ślubu.

– Tak, ciocia na pewno będzie chciała omówić z panem te sprawy – zgodziła się cicho Melia, unikając go wzrokiem. Minę miała znów lekko naburmuszoną, jakby już zaczęła żałować, że dała słowo kapitanowi Smythe'owi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nazajutrz rano Jane pisała listy w swoim saloniku, gdy nagle drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wkroczyła lady Catherine, a za nią znekana pokojówka.

– Proszę mi wybaczyć, ale *milady* strasznie nalegała. Poprosiłam, żeby zaczekała, ale...

– Wszystko w porządku, Tilly – uspokoiła ją Jane. – Możesz odejść. Spodziewałam się lady Catherine... – Wstała i wyciągnęła rękę. – Miło mi panią widzieć, lady Catherine.

– Czyżby? – rzuciła opryskliwie. – Podejrzywałam nawet, że nie zostanę wpuszczona, sądząc po pani wczorajszym liście.

– Przepraszam, ale miałam gości i nie mogłam się z panią spotkać.

– Jeszcze pani pożałuje, że pani nie przyszła. Podobno pani gościem był lord Frant i kiedy pani usłyszysz, co mam do powiedzenia, zrozumie pani, że lepiej było nie czekać na niego w domu.

Jane popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Przepraszam, ale co ma pani na myśli?

– Nie słyszała pani ostatnich plotek na temat lorda Franta? – W oczach lady Catherine pojawił się nienawistny błysk. – Wiem, że jesteście ze sobą blisko, więc pewnie dlatego pani nikt nie powiedział...

– Zamieniam się w słuch. – Jane zlustrowała ją przez zmrużone powieki, zdecydowana nie przejmować się tym, co ta okropna kobieta ma jej do powiedzenia.

– Pewnie pani sobie wyobraża, że Frant przychodzi w matrymonialnych zamiarach... – Na ustach lady Catherine zaigrał złośliwy uśmiezek. – No to będzie pani srodze zawiedziona. Żadna przyzwoita kobieta nie mogłaby teraz nawet pomyśleć o czymś takim...

Jane bezwiednie zacisnęła pięści, lecz nie dała się sprowokować i milczała.

– Ach, nie chce pani wiedzieć? – roześmiała się. – A może jest pani taka pewna swego... Ale ja wiem to od jego zaufanej przyjaciółki, lady Moiry... i nie tylko...

– Lady Moira miała być przyzwoitką panny Bellingham, Melia wołała jednak zostać u mnie.

– Lady Moira przeżyła szok i zapytała Franta wprost, czy to prawda, ponieważ nie zgodziłaby się wziąć pod swoją opiekę tej dziewczyny, gdyby wiedziała...

– Melia to przyzwoita młoda dama – przerwała jej Jane poirytowana.

– Nie chodzi o dziewczynę, tylko o samego lorda Franta. Lady Moira słyszała od kogoś zaufanego, że on był żonaty z... półkwi indyjską ladacznicą! – Lady Catherine z lubością dobie-rała złośliwe słowa.

– Przecież to śmieszne! – oburzyła się Jane. – Paul nie mógłby... – urwała, gdyż przypomniała sobie jego prośbę, by nie ogłaszać publicznie ich zaręczyn. – Nie mógłby się ożenić z kobietą z niższej klasy...

– Ach nie, ona nie pochodzi z niższych sfer – obwieściła lady Catherine z satysfakcją. – Jej matka była córką angielskiego hrabiego, ale została konkubiną indyjskiego księcia, a jej córka jest ladacznicą. Urodziła Frantowi dziecko wkrótce po jego wyjeździe z Indii. Twierdzi też, że wzięli potajemnie ślub i teraz podaje go jako ojca swego dziecka...

– Nie, nie wierzę pani... – Jane pokręciła głową, zastanawiając się, po co lady Catherine tu przyszła. Chyba tylko z czystej zawiści? – Paul nie ma ani żony, ani dziecka. – Spojrzała na nią wyniośle. – Cokolwiek miała pani nadzieję osiągnąć tą wizytą, na próżno się pani trudziła. Nie będę już dłużej wysłuchiwać tych kłamstw. Nie wiem, jaka jest prawda, ale wiem, że lord Frant nie zostawiłby żony w Indiach i nie ukrywałby jej istnienia.

– Wszyscy mężczyźni to oszuści! – powiedziała zimno lady Catherine. – Może sobie pani wierzyć, w co chce, lady March, ale przychodząc tu, wyświadczyłam pani przysługę. Ludzie już szepczą, że często się go tu przyjmuje. Była pani u niego w domu sama tylko z jego podopieczną... Słyszałam nawet głosy, że jest pani jego kochanką...

– Znam lorda Franta na tyle dobrze, by mieć pewność, że nie ma nic zdrożnego w wizytach jego podopiecznej z przyzwoitką, w godzinach przedpołudniowych. – Jane uniosła dumnie głowę – Poza tym nigdy nie byliśmy sami, bo i tu, i tam, dom jest pełen służby. A teraz zechce pani opuścić mój dom, lady Catherine. Nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy.

– Już niedługo się pani przekona – syknęła lady Catherine. – Radzę uważać, bo może pani stracić reputację i przestanie być wszędzie przyjmowana z otwartymi ramionami, jak do tej pory.

Kipiąc z gniewu, Jane zrobiła krok w jej stronę. Miała ochotę wymierzyć policzek w tę jej wykrzywioną nienawiścią twarz, ale się opanowała i tylko mocniej zacisnęła dłoń.

– Albo pani wychodzi, albo zadzwonię po lokaja, żeby panią wprowadził.

– Już idę... – Lady Catherine roześmiała się pogardliwie. – Ja to przynajmniej wiem, na co mogę liczyć po ślubie. Dam markizowi potomka, a potem będę miała tylu kochanków, ile dusza zapragnie. Ale nie będę taka głupia, żeby narażać przy tym na szwank swoje serce lub reputację...

Po tych słowach lady Catherine wymaszerowała z salonu, szeleszcząc spódnicami, a Jane przez kilka minut stała jak wryta, próbując powstrzymać wzbierające łzy. W końcu osunęła się na fotel z poczuciem upokorzenia.

To nieprawda! Paul nie może mieć żony i dziecka w Indiach...

Gdyby tak było, nie mówiłby jej, że ją kocha ani nie prosił o rękę... Nie mógł być tak fałszywy... A jednak błagał, by zachowała w tajemnicy ich zaręczyny, tłumacząc się, dosyć niejasno, że ma wroga... Czyżby dawał jej w ten sposób do zrozumienia, że ktoś dybie na jego życie?

Łzy potoczyły jej się po policzkach. Przez chwilę pozwoliła im płynąć, a potem je otarła. Lady Catherine nie zdoła jej zranić swą nienawistną mową, powiedziała sobie w duchu. Rozpieszczona i przywykła dostawać wszystko, czego sobie zażyczy, chciała przykuć uwagę Paula, ale na próżno, gdyż on świata nie widział poza Jane. Czy to jednak wystarczający powód, by przynosić jej tak nikczemne plotki?

To przecież nie było możliwe, że chciał się uwolnić od żony, która stała mu się obojętna? Nie, nie, tak postąpiłby tylko człowiek okrutny, bez honoru, a ona przecież nie mogłaby pokochać mężczyzny, zdolnego potraktować w ten sposób oddaną mu kobietę.

Zgnębiona, wyszła z saloniku, a gdy była na schodach, usłyszała głos gospodyni, ale nie odpowiedziała. Czowała, że musi na chwilę pobyć sama w zaciszu swego pokoju.

– Dzięki Bogu, że udało mi się złapać cię przed wyjściem – powiedział major Jack Harding. Paul w stroju wizytowym wybierał się właśnie do Jane. W ostatnich dniach miał bardzo mało czasu, ale teraz zamierzał spędzić z nią cały wieczór, nawet gdyby musiał odłożyć na bok pewne sprawy.

– Coś się stało? – zapytał przyjaciela. – Właśnie idę z wizytą do lady March. Możesz się ze mną przejść, jeżeli masz ochotę.

– Myślę, że musisz to usłyszeć – powiedział jego przyjaciel. – Ode mnie, na osobności, choć szepczą już o tym w całym mieście. Oczywiście, to ohydne kłamstwo, ale powinieneś wiedzieć, choćby tylko po to, żebyś się przygotował...

Paul usiadł i wskazał majorowi fotel, on jednak stał, wyraźnie zmieszany.

– Mówią, że masz w Indiach żonę, która jest półkrwi królewskim bastarden. Podobno wkrótce po twoim wyjeździe urodziła dziecko i podała cię jako ojca. Twierdzi też, że wzięliście potajemnie ślub...

– To nieprawda! – Paul poczuł się, jakby ktoś wylał mu na głowę kubeł zimnej wody. – Annamarie nie jest moją żoną i nigdy z nią nie spałem. Owszem, otrzymałem zaproszenie, ale nie skorzystałem z niego.

– Nie wątpię, że mówisz prawdę, ale wiesz, co plotka potrafi zrobić z taką historią... – Jack Harding zawahał się. – Niestety, mówią jeszcze gorsze rzeczy...

– Słucham dalej – rzucił ponuro Paul. – Wykrztuś to z siebie wreszcie!

– Łączą nazwisko lady March z twoim i mówią po cichu, że zachowuje się nazbyt swobodnie, składając ci samotne wizyty i przyjmując cię w swoim domu... Niektórzy zaczynają nawet sugerować, że jest twoją kochanką.

– Niech ich diabli wezmą razem z ich zatrutymi językami! – Paul, wściekły, zerwał się na równe nogi. – Mało mnie obchodzi, co mówią o mojej rzekomej żonie w Indiach. To nieprawda i jestem w stanie to udowodnić, choć, jeśli Annamarie urodziła dziecko, trudniej mi będzie dowiedzieć, że to nie ja jestem ojcem... – Zdesperowany, zacisnął pięści. – Własnymi rękami udusiłbym autora tych plotek!

– Lady Moira mi je powtórzyła. Udawała, że w to nie wierzy, a jednak...

– Uważałem ją za swoją przyjaciółkę, ale kiedy jej powiedziałem, że nie potrzebuję jej opieki dla Melii, była zła... – To nie ona jednak wymyśliła tę historię. Musiał to być ktoś, kto był ze mną w Indiach.

– Wiedzieliśmy, że masz wroga. Już trzy razy próbował cię zabić. Najpierw w drodze z Newmarket do Londynu, potem w Irlandii i ostatnio, na wsi, kiedy ktoś majstrował przy twoim siodle...

– Na szczęście coś podejrzewałeś, więc odkryliśmy to, zanim wybraliśmy się na przejażdżkę... – Paul zamyślił się. – Teraz to jednak coś innego. To czysta złośliwość i chęć dokuzenia komuś jeszcze oprócz mnie...

– Racja. – Harding pokiwał głową. – Wyczuwam w tym kobiecą rękę. Zastanów się, którą damę mogłeś tak śmiertelnie obrazić?

– Nie mam pojęcia. Wiem, że lady Moira nie była zadowolona, ale... – nagle urwał.

– Masz kogoś na myśli?

– Lady Catherine – odparł Paul. – Ona niejedynym razem próbowała przyciągnąć moją uwagę. Traktowałem ją uprzejmie, jednak bez atencji, jakiej ode mnie oczekiwała.

– Lady Catherine to zalotnica, a przy tym zarozumiała i rozpieszczona. Ale skąd mogłaby wiedzieć o tej dziewczynie w Indiach?

– Nie wiem... chyba że... Któregoś wieczoru widziałem ją w teatrze z Hershawem... O ile wiem, przyplłynął wkrótce po mnie z Indii, może nawet następnym statkiem.

– No to już mamy gotową odpowiedź. – Jack Harding uśmiechnął się posępnie. – Adam jest w Irlandii, więc nie mógł majstrować przy twoim siodle i z całą pewnością nie widziano go w Londynie z lady Catherine.

– Tak, chyba niesłusznie go podejrzewałem, ale Melia powiedziała mi coś, z czego wnioskowałem, że ją okłamał... Dlatego pomyślałem, że mógł maczać palce w tej strzelaninie...

– Twoja podopieczna? Przecież ona nie ma powodu cię nienawidzić lub rozsiewać oszczerze plotki!

– Sensownego powodu nie ma, uważa jednak, że nie dałem jej odpowiednio dużego posagu... Teraz jednak wychodzi za mąż za kogoś innego i pewnie już zapomniała o Adamie...

– Wobec tego powinniśmy skoncentrować się na Hershaw – zasugerował Jack, a Paul skinął głową.

– Myślę, że to on stoi za tymi zamachami. Trzy próby zabójstwa się nie powiodły, więc teraz chce zniszczyć moją reputację. Muszę jakoś przekonać wszystkich, że nie jestem żonaty i to

nie jest moje dziecko.

– Wątpię, aby ci uwierzyli, przynajmniej w kwestii ojcostwa – przestrzegł go Jack. – Co prawda mężczyźni nie będą mieli ci tego za złe, ale kobiety przestaną witać cię tak ciepło jak do tej pory.

– Chodzi mi tylko o lady March – powiedział Paul. – Gdyby te plotki nie dotyczyły jej osoby, machnąłbym na nie ręką.

– Mnie także zależy na jej reputacji, możesz mi wierzyć – odparł Jack. – Zrobię, co w mojej mocy, by ukreślić łeb tym plotkom.

– Dziękuję ci, przyjacielu. Gwiżdżę na te wściekle baby, mielące ozorami, ale za nic na świecie nie pozwolę skrzywdzić Jane. Natomiast jeśli chodzi o inne sprawy, myślę, że trzeba zastawić pułapkę na mojego wroga...

Jane obmyła twarz i przebrała się w spacerową ciemnozieloną suknię z aksamitnym czepkiem w podobnym odcieniu. Stroju dopełniał jedwabny szal zarzucony na ramiona. Nie zjadła tego dnia lunchu, wymawiając się bólem głowy, a teraz powiedziała gospodyni, że musi się przejść na świeżym powietrzu.

Siedzenie na łóżku nic jej nie dało. Była zbyt roztrzęsiona, żeby zasnąć lub choćby tylko ochłonąć – i rzeczywiście rozboleła ją głowa. Nie czuła się też na siłach przyjąć Paula tego popołudnia, więc pozostało jej tylko uciec i dać sobie trochę czasu do namysłu przed ich niełatwą rozmową. Wychodząc, przekazała lokajowi, że wróci na podwieczorek, aby rodzina nie martwiła się, zastając pusty pokój.

Paul będzie się z pewnością dziwił, dlaczego wyszła, zamiast czekać na niego w domu, ale nie była gotowa go przyjąć. Mówił jej o miłości i zaufaniu, nie mogła jednak zapomnieć okrutnych słów lady Catherine i złośliwej satysfakcji w jej oczach.

Czy Paul mógłby postąpić tak niehonorowo? Jeżeli nie – to po co te wszystkie sekrety? Gdyby nie one, uznałaby całą tę historię z rodziną w Indiach za czczy wymysł. Przecież taki skandal wyszedłby na jaw prędzej czy później, a Paul był zbyt mądry, żeby o tym nie wiedzieć.

Targana wątpliwościami, szła wciąż przed siebie, aż wreszcie dotarła do parku. Było przyjemne, pogodne popołudnie, więc uznała, że szybki spacer dobrze jej zrobi i pomoże zebrać myśli.

Gdyby tylko mogła mieć pewność, że Paul ją kocha, nie dbałaby o plotki. Część kobiet wypatrywałaby może, czy dziecko nie pojawi się zbyt prędko, ale jej przyjaciele nie uwierzyliby, że jest kochanką Paula. Może rzeczywiście postąpiła nierozważnie, odwiedzając go jedynie z Melią, jednak dziewczyna była jego podopieczną, w domu krzątała się służba, a poza tym był też wicehrabia Hargreaves. Doprawdy, tylko ci, co mają nieczyste sumienie, mogli podejrzewać ją o coś podobnego.

Zatopiona w myślach krążyła po parku przez pół godziny, gdy nagle usłyszała za sobą jakiś szelest. Odwróciła się i stanęła oko w oko z człowiekiem, na którego widok zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Czego pan chce? – zapytała, cofając się pod jego złowrogim spojrzeniem. – Pan mnie śledził?

– Oczywiście, że tak, od tygodni, ale nie spodziewałem się, że pani tak mi to ułatwi. Widocznie lady Catherine spisała się lepiej, niż myślałem...

– Ach, więc to pan? – wydyszała, odsuwając się jeszcze dalej. – Po co pan ją do mnie wysłał? Co chciał pan przez to osiągnąć?

– Dokładnie to, co osiągnąłem – odparł, wyszczerzając zęby. – Jest pani sama i łatwo panią zranić. Nie ma to, jak zasiać ziarno zwątpienia w umyśle kobiety. Robicie wtedy różne głupstwa. Nie sądziłem jednak, że tak łatwo panią oszukać.

– Zejdź mi z drogi! – krzyknęła z furją. – Wszystko to kłamstwa! Wiem, że Paul nie ma żony... – nie zdołała nic więcej powiedzieć, bo nagle zatkało jej nos i usta wilgotną ścierką i poczuła, że traci przytomność. Osunęła się w ramiona człowieka, który szedł jej śladem.

– Pan wybaczy, milordzie, ale lady March wyszła gdzieś wcześniej – powiedział lokaj do Paula, wprowadzając go do salonu. – Gdyby pan zechciał poczekać, pójdę zapytać, czy już wróciła. Może w międzyczasie podać coś do picia?

– Nie, dziękuję. Myślałem, że lady March mnie oczekuje. Nie mówiła, kiedy wróci?

– Zaraz się dowiem, sir.

Paul podszedł do okna i zapatrzył się na ogrody na tyłach domu. Był pewny, że zastanie Jane. Wiedziała przecież, że się do niej wybiera i chce spędzić z nią trochę czasu przed wyjazdem z Londynu. Dlaczego wyszła? Może lady Catherine zdążyła go uprzedzić...

Odwrócił się, gdyż do pokoju wszedł lokaj, którego widywał już podczas wizyt w tym domu.

– Lady March wyszła dwie godziny temu. Powiedziała, że wróci na podwieczorek.

– Ach, rozumiem... – Paul spojrział na zegarek. Może Jane miała coś do załatwienia i nie spodziewała się go wcześniej... – Wrócę zatem później.

Wyszedł z domu w ponurym nastroju i udał się do klubu. Postanowił wyjaśnić zaistniałą sytuację paru zaufanym przyjaciółom, licząc na to, że pomogą mu walczyć z wysłanymi z palca plotkami. Gdy dotarł na miejsce, zderzył się w drzwiach z wychodzącym mężczyzną.

– Adam?! Co ty tu robisz? – zapytał ze zdumieniem. – Myślałem, że jesteś w Irlandii!

– Bo jestem, ale mój prawnik chciał, abym załatwił pewną drobną sprawę. Wracam dziś wieczorem. Nasze konie mają się świetnie, Paul. Nie musisz się martwić o...

– Zdziwiłem się po prostu na twój widok – powiedział Paul, kładąc mu rękę na ramieniu.

– A skoro byłeś w klubie, słyszałeś może jakieś plotki na mój temat?

– Jeżeli masz na myśli te nonsensy o Annamarie, to zagroziłem durniowi, który je rozgłaszał, że jeżeli jeszcze raz powie coś takiego, każę mu wszystko odszczekać. Wiem przecież, że nie byłeś jej mężem i że to nie twoje dziecko...

– To ona ma dziecko? – Paul zmarszczył brwi. – Trudno mi w to uwierzyć.

– To akurat jest możliwe... – przyznał Adam. – Wolalbym jednak nie rozmawiać o tym tutaj, w miejscu publicznym. Nie chciałem nikomu o tym mówić, ale tobie muszę teraz wszystko wyznać. Gdzie moglibyśmy porozmawiać na osobności?

– Chodźmy do mnie, Adamie, tam wysłucham w spokoju twojej historii.

– Powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej, ale ona mnie błagała o dyskrecję.

– Chodź, przejdziemy się, przyjacielu, a potem wszystko mi opowiesz.

– Boję się, że będziesz miał o mnie jeszcze gorsze zdanie, kiedy poznasz prawdę.

– Jesteśmy przyjaciółmi – zapewnił go Paul. – Uratowałeś mi życie, kiedy leżałem trawiony gorączką na statku płynącym z Indii, a może i wtedy, kiedy zostałem postrzelony w drodze z Newmarket i mogłem zginąć, gdybyś się nie zjawił w porę. Wierzę głęboko, że nie jesteś moim wrogiem, choć były takie momenty, że się nad tym zastanawiałem.

– Sam dałem ci po temu powody – przyznał Adam. – Byłem rozgoryczony i obrażony na cały świat, kiedy poznałem prawdę o długach ojca... ale były też inne przyczyny, jak się wkrótce przekonasz...

– Szkoda, że nie wspomniałeś o tym wcześniej... – Paul westchnął, gdy Adam skończył swą opowieść. – Zawsze mi się wydawało, że czujesz coś do Annamarie, ale mówiłeś mi, że nigdy nawet na ciebie nie spojrziała.

– Tak też było przez długi czas. Pragnęła ciebie, ale pewnej nocy, kiedy się dowiedziała, że masz już bilet na statek do Anglii, przyszła do mnie i... – głos mu się załamał – powiedziała

mi, że zawsze mnie kochała... i oddała mi się. Jednak później płakała gorzkimi łzami, więc się domyśliłem, że to nieprawda... że kochała tylko ciebie.

– Nie mógłbym jej pokochać, choć współczułem jej... była rozdarta między dwoma światami i nigdy do żadnego nie należała.

– Kiedy się dowiedziała, że zostałem wicehrabią, błagała, abym ją poślubił, i wyznała, że spodziewa się mojego dziecka... choć wciąż nie mam pewności, czy nie kłamała... – Adam zawahał się. – Wyobrażała sobie, że odziedziczyłem fortunę i ściągnę ją do Anglii... a ja obiecałem wprowadzić ją do towarzystwa.

– A więc kiedy się dowiedziałeś, że nie masz nic, zacząłeś mi zazdrościć... – Paul spojrział na niego srogo. – Powiedz mi, dlaczego, będąc mężem Annamarie, rozbudzałeś w mojej podopiecznej próżną nadzieję?

– Chyba chciałem cię ukarać za to, że masz wszystko, czego ja od zawsze pragnąłem, a wiedziałem, że jej los leży ci na sercu... – Adam okazał się na tyle przyzwoity, że poczerwieniał ze wstydu.

– Zachowałeś się niegodnie dżentelmena – rzucił Paul surowo. – Mogłeś jej złamać serce!

– Wątpię, czy ona je w ogóle ma – wyznał Adam. – To trzpiotka, niestała w swoich uczuciach, mimo tego nie powinienem był jej zwodzić. Jedną tylko kobietę kochałem w swoim życiu... ale kiedy ona się dowie, że wszystko, co mam, to mały dom w Irlandii i udział w twoich stajniach wyścigowych...

– Jeżeli cię kocha, to jej wystarczy, Adamie.

– Nie. Annamarie kochała ciebie, a ja byłem tylko tą gorszą opcją. Oddała mi się w przepływie gniewu i bała się konsekwencji. Kiedy jej powiem, że nie mam nic, nie będzie mnie chciała...

Paul odwrócił się i zaczął krążyć po pokoju.

– Jest sposób na to, aby ją zadowolić – powiedział po chwili. – Nie na to wprawdzie liczyła, a i ty może życzyłybyś sobie czegoś innego... ale dzięki temu postąpisz jak człowiek honoru.

– Powiedz mi, co mam zrobić, Paul. Od dawna łamię sobie nad tym głowę i nie mogę znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Moja żona nigdy się nie zgodzi na przeprowadzkę do Irlandii.

– A może będzie chciała zostać w Indiach we własnym pałacu, tym, który dostałem w dowód wdzięczności za uratowanie księcia?

Adam spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę zrobiłbyś to dla mnie? Nie śmiałybym cię nawet o to prosić, Paul. Nie zasłużyłem sobie na taką hojność...

– Nie? A kto mi ocalił życie? Mnie nie są potrzebne różowe pałace, przyjacielu. Moja przyszłość jest w Anglii... A skoro tobie on się przyda i jednocześnie wynagrodzę Annamarie miłosny zawód...

– Ona mnie nigdy nie pokocha tak jak ciebie, ale skoro mam tytuł i zamieszkamy w pałacu, może pogodzić się z losem.

– Wszystkie moje ziemie będą pod twoją pieczęcią i ustanowię cię moim pełnomocnikiem. Zaufam ci, Adamie, a ty, dbając dobrze o moje interesy w Indiach, własnymi siłami zdobędziesz i szacunek, i majątek.

– Nie wiem, jak ci dziękować. – Adam wyprostował się dumnie. – A co do pieniędzy, które zainwestowałem w ziemię w Irlandii... stajnie są twoje, Paul. Kiedy tylko znajdziesz nowego partnera na moje miejsce, wracam do Indii.

– Najpierw jednak musisz coś dla mnie zrobić – odparł Paul z uśmiechem. – Pójdziesz do lady March i powiesz jej prawdę o twoim ślubie z Annamarie...

– Ależ oczywiście. Kiedy mam ją odwiedzić?

– Teraz. Chodźmy razem – zaprosił go Paul. – Powinna już być w domu... I uspokój się, Adamie, bo masz minę jak skarcony sztubak. Zawsze podejrzewałem, że kochasz Annamarie. Na pewno będzie szczęśliwa z tobą i waszym dzieckiem. A co do ochłodzenia naszych relacji, wszystko ci wybaczyłem, kiedy mi powiedziałeś prawdę. Znam siłę miłości, przyjacielu – dorzucił z gorzkim uśmiechem – i wiem, że czasami człowiek traci dla niej rozum.

– Masz rację. – Adam westchnął smętnie. – Wyznam prawdę lady March. Muszę się też zobaczyć z panną Bellingham i błagać o wybaczenie, jeżeli ją zwiodłem...

– Nie ma żadnego „jeżeli” – rzucił surowo Paul. – Choć to już teraz bez znaczenia, ponieważ Melia wychodzi za mąż za kapitana Smythe’a i mam nadzieję, że będzie szczęśliwa... Aczkolwiek, jak sam mówiłeś, jest niestałą w uczuciach trzpiotką i wcale bym się nie zdziwił, gdyby mu dała nieźle do wiwatu. To już jednak nie moje zmartwienie...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Czy Jane nie mówiła, dlaczego wychodzi? – zapytał Will, kiedy Sarah wróciła do salonu i powiedziała, że Jane nie ma w pokoju. – Przecież to takie do niej niepodobne.

– Rzuciła tylko Johnowi, że wróci na podwieczorek, a jest już wpół do piątej! – odparła Sarah. – Nie widziałam jej od chwili, kiedy oznajmiła, że boli ją głowa...

– Wiem, że moja siostra lubi spacerować, ale powinna już wrócić do domu.

– Milordzie – odezwał się nagle lokaj – przyszedli wicehrabia Hargreaves i lord Frant.

Will zmarszczył brwi, a potem skinął głową.

– Wprowadź ich, proszę. Może coś wiedzą o Jane...

– Salisbury – przywitał się Paul, podając mu rękę. – Miałem nadzieję zobaczyć się z lady March. Czy wróciła już ze spaceru?

– Nie, i zaczynamy się niepokoić – wyznał Will. – Zwłaszcza że wyszła sama, nie powiedziawszy, dokąd idzie...

– Obawiam się, że masz powody do niepokojów. – Paul wręczył mu zmięty kawałek papieru. – Właśnie miałem wyjść z domu, kiedy przyniósł to jakiś łobuz i od razu uciekł, jak mi powiedziano.

Will przeczytał wiadomość, a potem spojrzał na niego zaskoczony.

– Dlaczego wysłano to do ciebie? Jeżeli moja siostra została uprowadzona, to żądanie okupu powinno być do mnie zaadresowane.

– Nie zdążyliśmy jeszcze obwieścić światu naszych zamiarów – odparł Paul. – W tej sytuacji muszę jednak być z tobą szczery: poprosiłem Jane o rękę i zostałem przyjęty, ale błagałem ją, aby zatrzymała to przez chwilę w tajemnicy.

Will wydawał się kompletnie zdezorientowany.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby to być tajemnicą... chyba że chciałeś najpierw powiadomić rodzinę?

– Nie, to znacznie poważniejsza sprawa... choć nie mówiłem o tym Jane. Teraz żałuję, że nie ostrzegłem jej przed nim, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że byłby zdolny do czegoś tak nikczemnego jak porwanie.

– Twój wróg?

– Tak. Może dotarły do ciebie oszczercze plotki na mój temat? – zapytał Paul, ale Will potrząsnął głową. – Nie? Mówią o mnie, że porzuciłem swoją indyjską żonę, która tuż po moim wyjeździe urodziła dziecko. To kłamstwo, co może potwierdzić Adam, ponieważ to jego żona i jego dziecko. A wcześniej trzy razy nastawano na moje życie. Nie chciałem martwić Jane, więc jej nie powiedziałem... Dlatego też prosiłem ją o dyskrecję.

– Ktoś musiał jednak o tym wiedzieć – zauważył Will w zadumie.

– Ale ja nikomu nie mówiłem – zapewnił go Paul. – Może Jane albo ktoś z waszej rodziny?

– Jeżeli moja siostra obiecała zachować coś w tajemnicy, to nie powiedziałałaby nawet mnie. – Will zmarszczył brwi, po czym spojrzał na Sarah. – A ty nic nie wiedziałas?

– Jane nic mi nie mówiła, ale się domyślałam – odparła Sarah. – Może Melia coś usłyszała... i nie okazała się tak dyskretna. Moim zdaniem ona potrafi czasami być... zawistna i była trochę zazdrosna o Jane.

– Owszem – przyznał Will. – Także o ciebie, Sarah, choć do niedawna nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie chciałyby jednak umyślnie skrzywdzić Jane... Przynajmniej mam taką na-

dzieję.

– Wątpię, by miała taki zamiar – zgodził się Paul. – Jest lekkomyślna i pewnie jej nie przyszło do głowy, że powtarzając dalej tę wiadomość, może zaszkodzić Jane. Jeżeli powiedziała to komuś, kto mnie nienawidzi, to on może skrzywdzić Jane, po to tylko, żeby się na mnie zemścić. Ten list to najlepszy dowód.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał Will.

– Chyba tak. Przed laty wystąpiłem przeciwko niemu, ponieważ uważałem, że oszukuje przy kartach. Odesłano go potem z pułku do służby czynnej i nie widziałem go przez wiele lat, aż do jego powrotu z Indii kilka tygodni temu...

– Hershaw! – odezwał się Adam. – Nie był w naszym pułku, ale pojawił się kilka miesięcy przed twoim wyjazdem... Pytał mnie o ciebie, a ja mu powiedziałem, że stałeś się sławny i bogaty, ponieważ uratowałeś syna maharadży. Wyciągnąłeś go z płonącego domu...

– Podczas gdy ty z twoimi żołnierzami trzymałeś w szachu porywaczy – dokończył Paul. – Nie zapomniałem o twojej roli w tej akcji, Adamie.

– Wykonywałem tylko swoją pracę, a to ty wyciągnąłeś go z pożaru, płacąc za to własnym zdrowiem. Zasłużyłeś sobie na te wszystkie nagrody i zaszczyty.

– Ale co to ma wspólnego z Jane? – wtrącił się Will. – Dlaczego została porwana?

– Ponieważ ów wróg wie, że to jest mój czuły punkt. Gdyby coś złego jej się stało, chyba bym tego nie przeżył.

– Ta wiadomość zabije mamę! – Will był wstrząśnięty. – Na miłość boską, Frant, dlaczego nic nam nie powiedziałeś? Wynająłbym ludzi dla Jane i kazał im czuwać nad każdym jej krokiem...

– Uważałem, że zapewnienie jej bezpieczeństwa jest moim obowiązkiem, i sądziłem, że jest dobrze pilnowana – odrzekł Paul. – Przyszedłem tutaj w nadziei, że to jakieś oszustwo i że ją tu zastanę. Znajdę jednak tych, którym zapłaciłem za jej ochronę, i zażądam wyjaśnień!

– Musimy ją odnaleźć – powiedział Will. – Jane jest moją siostrą i wszyscy ją kochamy... Ja, Sarah i cała rodzina... Ona musi do nas wrócić zdrowa i cała. – Spojrzał na Paula. – Wypłacisz okup temu łajdakowi?

– Zapłaciłbym nawet trzy razy tyle, ile żąda, ale obawiam się, że wzięłby pieniądze i śmiał mi się w nos... Mógłby odesłać ją ledwie żywą... Nie, muszę sam ją odnaleźć i uratować.

– Ale jak chcesz to zrobić? – zapytał Adam z posępną miną. – Pomogę ci, Paul. Zrobię wszystko, co mi każesz... ale od czego zaczniemy?

Muszę skonsultować się z ludźmi, którzy mieli nas oboje dyskretnie pilnować. Jeden z nich powinien być pójsz za Jane. To dziwne, że nie doniósł mi o porwaniu, jeszcze zanim zrobili to ci łajdacy.

– Gdybyś potrzebował więcej ludzi do pomocy, na mnie też możesz liczyć – dorzucił Will.

– Tak, wiem – powiedział Paul. – Jednak wszystko, co możesz zrobić w tej chwili, to zadbać o bezpieczeństwo twojej kuzynki. Odezwę się, kiedy tylko będę coś wiedział. A my idziemy, Adamie, mamy co robić...

Jane powoli odzyskiwała świadomość. Głowa bolała ją, było jej niedobrze i cała była jakby odrętwiała. Gdy w pomieszczeniu zrobiło się jaśniej, poczuła piekący ból z tyłu czaszki, miała też obtarte nadgarstki, tam, gdzie wcześniej sznur wrzynał się w jej delikatną skórę.

Napastnicy oszołomili ją, a potem zaciągnęli do powozu. Wspomnienia tego, co się wydarzyło, były mgliste, niemniej jednak pamiętała, że próbowała się wyrwać i byłoby jej się to udało, ale jeden z napastników uderzył ją w tył głowy. Musieli jej potem skrepować ręce, choć zdjęli więzy, zanim się ocknęła.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od jej porwania, ale na dworze świtało, bo mdłe światło wpadało przez okno z nie do końca zasuniętymi grubymi kotarami. Przewróciła się na bok i spróbowała spuścić nogi na podłogę, lecz nagle chwyciły ją mdłości i zwymiotowała. W ustach czuła gorzki smak żółci – pewnie włąli w nią kilka łyków jakiegoś paskudztwa, żeby ją do końca uspić, gdy nasączona w czymś szmata okazała się mało skuteczna. Oszolomiona, kopnęła wtedy napastnika i spróbowała ucieczki, ale ją oczywiście dopadli. Ten, który wcześniej szedł za nią, patrzył na nią z tak obłądną nienawiścią, że zrozumiała, iż nie została porwana dla okupu.

Gdyby mogła podejść do okna i zobaczyć, gdzie jest, sprawdzić, czy w jakimś domu w mieście, czy może wywieźli ją na wieś. Nadstawiła ucha, ale nie usłyszała nic, co pomogłoby jej zidentyfikować okolicę.

Wstała z trudem, lecz od razu zakręciło jej się w głowie i znów opadła na łóżko. Nie, to bez sensu; jest zbyt słaba, żeby myśleć o ucieczce – nawet gdyby istniała jakaś szansa.

Oparta o poduszki, zamknęła oczy. Głowa jej pulsowała bólem. Tak okropnie nie czuła się nawet wtedy, kiedy chorowała na influencję.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku, ale nie otworzyła oczu. Ciężkie kroki dwóch mężczyzn przybliżyły się do łóżka. Czuła ich, chociaż nie widziała.

– Ciągle jest nieprzytomna. Chyba ją za mocno uderzył. Jak umrze, to nas za to powieszają. Jeszcze wspomnisz moje słowa, Herb. Jemu się upiecze, a my będziemy dyndać na belce.

– Ten kapitan to cholerna świnia – powiedział Herb. – Nienawidzę go, ale muszę robić, co mi każe. Gdybym wiedział, że to będzie kobieta, nigdy bym się nie zgodził. Ale on pewnie by mnie za to zastrzelił, diabelskie nasienie...

– Chyba masz rację – przyznał ten pierwszy. – Postaw tutaj tacę, Herb. Jak się obudzi, może będzie chciała napić się wody i zjeść kawałek sera. To dobry ser... smaczny i świeży.

– Jak ma wykitować, to może szkoda go zostawiać?

– To on za to płaci. Na dole jest też garnek z zupą. Zostawimy go, na wypadek gdyby się obudziła. Niech Sophie zadba o to.

– Sophie da mi niezły wycisk, jeżeli ona wykituje. Wściekła się, kiedy zobaczyła, że to dama... Mówi, że nas wszystkich powieszają za tę nocną robotę...

Jane usłyszała, jak mężczyźni wychodzą, zamykając drzwi na klucz. Otworzyła oczy – znów została sama. Usiadła ostrożnie, sięgnęła po dzbanek i nalała wody do fajansowego kubka. Była świeża i chłodna – jak ze źródła, więc zapewne znajdowali się na wsi. Jak na potwierdzenie, usłyszała za oknem pianie koguta. Nie mogli jednak odjechać zbyt daleko od Londynu – chyba że była nieprzytomna dłużej niż przez jedną noc.

Nagle poczuła, że musi sobie ulżyć, więc wstała z trudem i chwiejnym krokiem podeszła do okna, po czym rozsunęła kotary, aby wpuścić więcej światła. W pokoju stały ciężkie, stare meble, robione chyba przez cieślę, a nie stolarza. Rozejrzała się i w kącie dostrzegła dość prymitywne krzesło z szafką, w której stał nocnik. Skorzystała z niego z wielką ulgą.

W drugim rogu dostrzegła toaletkę z miską, dzbankiem wody, kawałkiem szarego mydła i ściereczką z szorstkiego płótna. Wszystko było nędznej jakości, ale płótno było czyste, mogła więc z radością umyć ręce i opłukać twarz. Wróciła potem do łóżka; na tacy leżał kawałek chleba z ciemnej, grubo mielonej mąki. Spróbowała kęs, a gdy się przekonała, że jest smaczny, zjadła połowę oraz cały ser.

Przynajmniej nie umrę z głodu, pomyślała. Mężczyźni, którzy zajrzeli do pokoju, mówili dosyć sensownie, choć niewątpliwie wykonywali brudną robotę dla człowieka budzącego w nich nienawiść i strach. Gdyby była mężczyzną, zabiliby ją bez większych skrupułów – jednak myśl o skrzywdzeniu damy z wyższych sfer mocno ich przeraziła. Z ich słów wynikało też, że Sofie miała pewien wpływ na przynajmniej jednego z nich. To zapewne kobiecie zawdzięczała mydło

i rącznik oraz chleb z serem – i jeżeli uda jej się wyjść z tego z życiem, to też dzięki Sophie. Miała nadzieję, że następnym razem to właśnie ona przyniesie jej coś do jedzenia.

Usiadła na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Znała nazwisko porywacza i widziała nienawiść w jego oczach. Kapitan Hershaw obudził jej nieufność już w trakcie ich pierwszego spotkania, choć nie miała pojęcia, dlaczego jej źle życzy. Nie wiedziała, co mu takiego zrobiła, że chciał ją skrzywdzić.

Owszem, dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jest mile widziany w domu jej brata, ale czy to wystarczający powód, żeby ją porywać? I to jego nienawistne spojrzenie... Czy to jej nienawidził, czy może kogoś innego, na przykład Paula Franta?!

Zza drzwi znów dobiegły ją kroki, więc usiadła na brzegu łóżka. Skoro zjadła skromny posiłek i umyła się, nie miało sensu udawanie, że wciąż śpi.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła kobieta. Spojrzała na Jane i pokiwała głową z uśmiechem, jakby się ucieszyła, że widzi ją w miarę zdrową.

– Mój chłop powiedział, że chyba się pani ocknęła, *milady* – wyznała. – Dlatego przyszłam, żeby się przekonać na własne oczy, i wszystkiego dopilnować, bo mówił, że była pani przedtem bardzo chora.

– Wspominał o jakiejś Sophie. Czy to ty?

– Tak, *milady*, i przyznam, że byłam wściekła na Herba i mojego brata za to, w jakim stanie panią przywieźli. Nie powinni przykładać do tego ręki, ale proszę ich nie osądzać zbyt surowo, bo zmusił ich do tego ten złoczyńca. To diabeł z piekła rodem, a oni to durne osły, że się z kimś takim zadali.

– Powiedz mi, Sophie, czy byłaś kiedyś na służbie u jakiejś damy? – zapytała ją Jane.

– O tak, *milady*... drugiej takiej dobrej i miłej ze świecą szukać. Kochałam ją i zostałam przy niej aż do śmierci, bo umarła na febrę... A potem mnie odprawili. Wtedy właśnie wyszłam za męża za Herba i przeprowadziłam się tutaj. I czasami przeklinam się za głupotę. To nie jest zły człowiek, ale łatwo nim kręcić... Z kolei mój brat to ladaco, choć jako malec był taki słodki.

– Wiesz może, co kapitan Hershaw chce ze mną zrobić?

– Ach, więc go pani zna! – Sophie stropiła się. – To niedobrze, że widziała pani jego twarz, bo teraz już pani nie wypuści. Za to, co sobie zaplanował, jest tylko jedna kara: stryczek.

– Nie wiesz, czemu mnie tak nienawidzi?

– Chyba nie pani, *milady*, tylko tego człowieka, na którym pani zależy. Mój stary słyszał, jak kapitan kiedyś po pijanemu przysięgał, że się porachuje ze swoim wrogiem. Uważa, że krzywdząc panią, zada mu cios, po którym tamten nigdy się nie pozbiera.

– Czy mówił, za co go tak nienawidzi?

– Chyba za jakieś stare dzieje...

– Rozumiem. – Jane zagryzła wargi. – Myślę, że będzie mnie tu trzymał, żeby zwabić lorda Franta w śmiertelną pułapkę, a potem mnie też zabije...

– Tak też podejrzewałam od samego początku, *milady*. Powiedziałam Herbowi, że jeżeli nie zrobi nic, tylko będzie siedział z założonymi rękami, odejdę od niego...

– Pomóż mi uciec, to wynagrodzę was za wasze starania.

– Wierzę *milady*, ale pieniądze nie pomogą mojemu Herbowi, jeżeli kapitan zacznie nas podejrzewać. – Uważnie przyjrzała się Jane. – Pomogę pani, ale musi pani dobrze odegrać swoją rolę... Czy ma pani dosyć odwagi, żeby walczyć o życie?

– Tak, chyba tak – powiedziała Jane. – Nigdy dotąd nie byłam w podobnej sytuacji, ale... Co mam zrobić?

– Kapitan wyszedł gdzieś na chwilę – zdradziła Sophie. – Kiedy wróci, żeby coś zjeść, będzie się też chciał napić czegoś mocniejszego. Dopilnuję, żeby się szybko upił, a kiedy zacznie

się chwalić swoim więźniem, czego sobie nie odmówi, musi pani być gotowa. – Sophie przyniosła ciężką żelazną sztabę zakończoną hakiem, używaną do wieszania mięsa w kuchni. – Kiedy wróci, schowa się pani za drzwiami, a potem walnie go w głowę z całych sił. Tylko proszę nie rzucać tego haka na ziemię, bo on nie może się dowiedzieć, że to ja dałam go pani...

– Zrobię tak, jak mówisz – przyrzekła jej Jane, biorąc od niej hak.

Miała świadomość, że trudno będzie ogłuszyć Hershawa, nawet pijanego, i jeśli go zaatakuje, musi się liczyć z odpowiedzią. Niestety, była to jedyna szansa, aby przeżyć.

– Żałuję, że nie mogę pani wypuścić teraz, kiedy go nie ma – przyznała Sophie – ale to zły człowiek i boję się, że zabiłby nas wszystkich.

– Nie pomyślałaś, że może to zrobić tak czy inaczej, kiedy już będzie po wszystkim? – zapytała Jane. – Z chwilą gdy przestaniecie mu być potrzebni, nie pozwoli wam żyć, bo to za duże ryzyko.

– Tak, brałam to pod uwagę, ale mój chłop uważa, że jest zbyt przydatny kapitanowi. – Sophie bezradnie pokręciła głową. – Myślę, że ten szalony plan to będzie nasz koniec, *milady*... Ale zrobiłam dla pani, co mogłam.

– Naprawdę wiesz, dokąd ją zabrali? – W głosie Paula niedowierzanie mieszało się z podziwem. – Ale skąd, Jack? Możesz mi to wyjaśnić?

– Wczoraj po południu, całkiem przypadkowo, zobaczyłem, jak lady March wchodzi do parku – powiedział Jack Harding. – Wydawała się bardzo zdenerwowana, więc w pierwszej chwili chciałem podejść i zapytać, co się stało. Pamiętając jednak, że się boisz o jej bezpieczeństwo, postanowiłem pójść za nią. Na moment straciłem ją z oczu, gdy znikła w cieniu drzew... Wybacz mi, Paul, ale wszystko stało się tak szybko, a oni złapali ją, zanim zdążyłem coś zrobić. Byłem bez broni, a ich było czterech, więc pomyślałem, że lepiej będzie pojechać za nimi. Tak też zrobiłem.

– Czy ona jest w Londynie? Uwięziona w jakiejś nędznej norze?

– Wsadzili ją do czekającego powozu i wywieźli z miasta. Byłem pieszo, ale wzięłem konia od przyjaciela, który akurat jeździł konno po parku. Dom, gdzie ją przetrzymują, leży o jakieś dwie godziny drogi od Londynu. To odludne miejsce na skraju lasu. Przesiedziałem tam całą noc, a rano zobaczyłem dwóch młodych chłopaków i zapytałem, czy mogliby obserwować dom. Gdyby ktoś zabierał stamtąd kobietę, obiecali za nimi pojechać aż do nowej kryjówki, a potem któryś z nich miał wrócić i powiedzieć mi, dokąd ją wywieźli.

– Myślisz, że to zrobią?

– Tak, bo dałem im pół gwinei, obiecując drugą połowę po powrocie. Jeden z nich zapytał, czy nie potrzebuję stajennego, więc mu obiecałem, że jeżeli się dobrze spisze, przyjmę go na służbę.

Paul chwycił go za ramiona.

– Musimy natychmiast tam jechać! Wyślę tylko wiadomość bratu Jane i skrzyknę moich ludzi. Módlmy się, żeby jej nie zdążył skrzywdzić!

– Zatem wiesz, kto ją porwał... – powiedział Jack. – Nie jestem zdziwiony, że Hershaw okazał się łajdakiem. Podejrzywałem go o to, ale nie miałem dowodów. Kiedy się z nim policzę, nie będzie miał wstępu do żadnego przyzwoitego domu w Anglii.

– Jeżeli to mnie wpadnie w ręce, nie wyjdzie z tego żywy – rzucił Paul półgłosem.

– Lepiej zostawmy to sędziom – poprosił Jack. – Mamy dosyć dowodów żeby go posłać na szubienicę, a ja dopilnuję aby sprawiedliwości stało się zadość.

Twarz Paula wykrzywił na moment jakiś złowrogi grymas; zacisnął pięści, a potem uśmiechnął się dziwnie.

– Dobrze, że tu jesteś, przyjacielu, bo przez całą noc odchodziłem od zmysłów. Nie wie-

działem, gdzie jej szukać. Bałem się, że już nie żyje, i narastał we mnie gniew. Tak, oddamy go w ręce sądu... Ale jeśli go nie skazają na śmierć, ja go...

– Szkoda czasu na rozmowy – przerwał mu Jack. – Weź, kogo możesz, i jedziemy. Im dłużej ona znajduje się w rękach tego diabła, tym większa szansa, że zrobi jej krzywdę.

Dzień zdawał się wlec bez końca. W południe Sophie przyniosła jej zupę z kawałkiem chleba, ale od tamtej pory nikt już do niej nie zaglądał. Ktoś chyba przyjechał jakąś godzinę wcześniej, bo na dole słychać było krzyki, potem jednak zapadła cisza.

W końcu z korytarza dobiegły ją jakieś hałasy. Zamarła, ściskając mocniej żelazny hak. Serce biło jej jak szalone ze strachu. Stała przy drzwiach tak, by zasłoniły ją, kiedy się otworzą, i wzięła głęboki oddech. To jedyna szansa na ucieczkę, bo jeżeli jej atak okaże się nieskuteczny, Hershaw najpewniej ją zabije.

Drzwi otworzyły się i jakiś mężczyzna wszedł do pokoju, kierując swe kroki w stronę łóżka, na którym spoczywał ułożony przez nią wałek z poduszek, przykryty kołdrą.

– Ciągłe śpisz, ty dziwko? – zapytał Hershaw; język mu się plątał. Widocznie Sophie dobrane się spisała, pojąc go mocnym trunkiem.

Wtedy Jane rzuciła się na niego i walnęła go z całych sił w plecy. Hershaw zawył z bólu i odwrócił się do niej; oczy mu płonęły z wściekłości. Znów uderzyła go, tym razem w ramię, ale naraz chwycił za hak i próbował wyrwać jej go z rąk.

– Ty przekłeta dziwko! – wrzasnął. – Chciałaś mnie zabić! Obiecuję ci, że nim skończy się ta noc, będziesz gryzła ziemię... Najpierw jednak skosztuję tego, co mu dajesz...

– Nie! – Szarpnęła się, kiedy ją chwycił za ramiona. – Nie dotykaj mnie, ty łajdaku! – Odepchnęła go i wtedy usłyszała na dole jakieś krzyki i pojedynczy strzał z pistoletu.

Hershaw wyszczerzył zęby i spojrzał w stronę drzwi.

– No, nareszcie się pofatygował... Zaraz będzie patrzył, jak umierasz na jego oczach.

Ku przerażeniu Jane, odepchnął ją, wyciągnął spod kamizelki pistolet i wycelował w jej pierś. Rękę miał niezbyt pewną, ale palec trzymał na spuście.

Na korytarzu rozległ się głośny tupot. Drzwi otworzyły się na oścież i Paul wpadł do pokoju, uzbrojony w dwa pistolety. Towarzyszył mu Jack Harding.

– Stój, Frant! – warknął Hershaw. – Bo ją zastrzelę.

– Nie bądź głupi – powiedział Paul złowieszczym tonem. – Dom jest otoczony. A jeżeli ja cię nie zabiję, zrobi to któryś z moich ludzi...

– Nie dbam o to, co stanie się ze mną, kiedy poznam smak zemsty. Oskarżając mnie, odebrałaś mi wszystko... a ona zaklinała się, że zniszczyłeś jej życie. Miałaś z nią dziecko, a chcesz się żenić z inną... Ostatnio pisała, że przez ciebie leży chora po stracie dziecka i odchodzi od zmysłów...

– Jeżeli mówisz o Annamarie, to współczuję jej z powodu tej tragedii, ale nigdy nie była moją żoną i nawet jej nie tknąłem palcem – odrzekł Paul ze spokojem. – Jeżeli cię okłamała, to w nadziei, że popelnisz dla niej jakieś głupstwo...

– Niech cię diabli, Frant! Ja ją kochałem, a ty zapłacisz życiem za jej ból, nawet gdybym miał za to umrzeć... – Hershaw obiema rękami ścisnął pistolet, by móc pewniej wycelować. Palec trzymał już na spuście, gdy Jane schyliła się nagle po żelazny hak i z całej siły walnęła go w ramię. Wrzasnął z bólu i nacisnął spust, zanim pistolet wyslizgnął mu się z rąk. Kula utknęła na szczęście w suficie. – Ty suko...! – wrzasnął i rzucił się na Jane, ale nie zdążył jej dotknąć. Rozległ się huk kolejnego wystrzału i kula z pistoletu Paula trafiła go w nogę. Upadł, wijąc się z bólu i przeklinając ich oboje. – Trzeba było ją pierwszą zabić... – wymamrotał i zemdłał.

– Jane, nic ci się nie stało? – Paul w ułamku sekundy pokonał dzielącą ich przestrzeń i chwycił ją w objęcia. – Wybacz mi, powinienem był poinstruować moich ludzi, żeby cię pilnie

strzegli, ale nie spodziewałem się porwania. Moja kochana, tak strasznie bałem się o ciebie!

– Annamarie... Czy to ta indyjska księżniczka, która według słów lady Catherine miała być twoją żoną?

– Tak, jest oczywiście bardzo piękna – stwierdził ponuro Paul. – Oczekuje jednak hołdów, a jeśli ich nie dostaje, wpada w złość. Ja rozgniewałem ją swoją odmową, gdy mi dała do zrozumienia, że chce zostać moją żoną i zamieszkać w moim pałacu. Ale ja ją zignorowałem i potraktowałem jak rozpieszczone dziecko. Na tym polega moja wina. Nie przypuszczałem, że jest zdolna do tak okropnych kłamstw. Żal mi Hershawa, bo nigdy by go nie chciała. A jeszcze bardziej żal mi Adama, ponieważ jest jej mężem... Będę musiał powtórzyć mu wszystko, co mówił Hershaw, chociaż wiem, że to go zrani.

– Czy to jego dziecko?

– On tak twierdzi, ale ja mam wątpliwości...

– Biedny Adam – powiedziała cicho Jane, rozumiejąc, co miał na myśli. Kobieta, która kłamie, żeby skłócić dwóch mężczyzn, niegodna jest zaufania. – Nic dziwnego, że uparczywie powtarzał, że nie może poślubić Melii. Z drugiej strony, nie powinien był jej zwodzić...

– Nie, i powiedziałem mu to wprost. Myślę, że teraz tego żałuje... podobnie jak paru innych rzeczy. Uda się jednak z powrotem do Indii i zamieszka w pałacu, który mu ofiarowałem. Będzie tam moim pełnomocnikiem, bo ja już nigdy nie zamierzam wracać do Indii. Tu jest teraz mój dom, Jane, z tobą, ukochana...

– Och, Paul, przepraszam, że sprawiłam ci tyle kłopotu. Byłam przygnębiona i postąpiłam bardzo głupio...

– Nie myśl już o tym! – Paul pocałował ją czule. – Chodź, wrócisz do miasta z twoim bratem. Ja muszę tu zostać i czekać, aż przyjadą sędziowie i ten łajdak znajdzie się pod kluczem.

– Czy Will też tu jest?

– Tak, na dole, pilnuje tej kobiety i jej męża. Chciał tu przyjść, ale wiedział, że nie znam satysfakcji, jeżeli osobiście nie rozprawię się z tym łotrem. Jego zadaniem było mieć oko na całą resztę.

– Uważaj, Paul. Hershaw będzie próbował cię zabić aż do skutku, a jest tylko nieprzytomny...

– Jego ludzie się rozpierchli – uspokoił ją Paul. – Jeden tylko próbował stawiać opór, ale gdy Jack strzelił mu nad głowę, poddał się i błagał, aby mu darować życie. Twierdzi, że został zmuszony przez Hershaw, w co nietrudno uwierzyć.

– Jestem pewna, że tak było – powiedziała Jane. – Naprawdę musisz tu zostać? – spytała z westchnieniem.

– Tak, będą potrzebne moje zeznania. Muszę dopilnować tych spraw, kochanie, ale kiedy już będzie po wszystkim, przyjadę do ciebie i zaczniemy przygotowania do ślubu...

– Czy to z obawy przed nim chciałeś utrzymać w tajemnicy nasze zaręczyny?

– On już trzykrotnie próbował pozbawić mnie życia, a potem usłyszał od kogoś, że się zaręczyliśmy, i postanowił wciągnąć ciebie w swój zbrodniczy plan...

– Trzy razy próbował cię zabić!? – Jane osłupiała, gdy sobie uświadomiła, jak niewiele brakowało, by oboje zginęli. – Nie mówiłeś mi o tym.

– Nie chciałem, żebyś się o mnie martwiła, ale nie przypuszczałem, że spróbuje skrzywdzić ciebie. Dopiero kiedy usłyszałem te plotki, wynająłem człowieka, który miał cię pilnować, lecz on z jakiegoś powodu nie zauważył, jak wychodziłaś z domu. Nawet mi nie przyszło do głowy, że Hershaw porwie cię i uwięzi.

– Paul... przecież to szalenie...

– Tak... – przyznał. – Słyszałem, że ostatnio miał złą passę na wyścigach. Potem próbo-

wał zrekompensować sobie straty przy karcianym stoliku i został przyłapany na wyciąganiu karty z rękawa. Udało mu się zatuszować sprawę, ale wiadomość i tak wkrótce się rozeszła. Nikt nie chciał go już przyjmować u siebie, więc zarabiał na życie, ogrywając w karty młodych durniów.

– I dlatego postanowił wyładować na tobie całą złość?

– Na to wygląda.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Adam mi opowiedział, kiedy usłyszał, że zostałam porwana. Którejś nocy Hershaw po pijanemu zaczął utyskiwać nad swoim złym losem, a obwinał o to mnie...

– Dlaczego Adam wcześniej ci tego nie powiedział?

– Miał swoje powody – odparł Paul. – Może on też był trochę zazdrosny, ale to już przeszłość i znów żyjemy w zgodzie. Adam wróci do Indii, do swojej żony, a ja zostanę tutaj i będę prowadził stajnię... I ożenię się z tobą, o ile nadal mnie chcesz...

– Dobrze wiesz, że tak! – Jane pocałowała go w policzek. – Ale jeżeli Adam chce wrócić do Indii, to jak sobie poradzisz?

– Może zechce przyjąć mnie jako partnera – odezwał się Jack Harding od drzwi. – Mamy już ich wszystkich pod kluczem, przyjacielu. Sędzia jest w drodze. Sądzę, że lady March też powinna już ruszać, jeżeli mamy ochronić jej dobre imię...

– Tak, oczywiście – zgodził się Paul. – Odprowadź ją do powozu, mój drogi, a ja dopilnuję, żeby się nim zajęli... – Wskazał wzrokiem na Hershaw, który nagle jęknął, co znaczyło, że odzyskuje przytomność. – Zwiążę mu ręce i sprowadzę na dół. Wtedy sobie porozmawiamy...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Och, Jane, tak się cieszę, że wróciłaś! – wykrzyknęła Sarah i podbiegła, aby ją uściskać.
– Chciałam pojechać z nimi, ale Will przekonał mnie, że dla własnego bezpieczeństwa powinnam zostać w domu. Tak strasznie się o was bałam...

– Całkiem niepotrzebnie – odezwał się Will. – Towarzyszyło nam ponad tuzin ludzi, uzbrojonych i gotowych na nasze rozkazy, ale obyło się bez rozlewu krwi. Tylko ten łajdak, który stał za tym wszystkim, został ranny w nogę i będzie kulał do końca swoich nielicznych już dni. Jeżeli moje zeznania zostaną wzięte pod uwagę, zapłaci najwyższą cenę.

– Dziwię się, że jeszcze żyje – przyznała Sarah. – Myślałam, że któryś z was go zabije, byliście przecież tacy wściekli. Potraktował cię haniebnie, Jane!

– Wszystko przez moją głupotę. – Jane westchnęła ciężko. – Gdybym została w domu, nie poszłoby mu tak łatwo.

– Prędzej czy później znalazłby jakiś sposób – odezwał się z powagą Will. – Błagania Paula, abyś na siebie uważała, tylko by cię irytowały.

– Paul robiłby wszystko, co konieczne – odparła z uśmiechem. – Przecież nikt nie mógł przewidzieć, co się wydarzy. Nigdy nie zrozumiem, jak można żywić do kogoś urazę przez tyle lat.

– Ostatnio nie miał szczęścia i chyba dlatego odważył się na coś takiego – wyjaśnił Will.
– Przecież od dawna żywił niechęć do Paula, ale nic nie robił. Nie wiem, co chciał przez to osiągnąć... Myślę, że Melia wyszłaby za niego, gdyby ją poprosił o rękę... Podejrzewam też, że szybko wyprawiłby ją na tamten świat, a potem wrócił do Indii w nadziei, że zapewni sobie względy Annamarie...

– Musi być bardzo piękna, skoro manipuluje sercami i umysłami tylu mężczyzn, Adam Hargreaves i Hershaw, i Bóg jeden wie, kto jeszcze padł ofiarą jej wdzięków – stwierdziła Jane.

Nagle uświadomiła sobie, że ta piękna dziewczyna tak naprawdę pragnęła jedyne go mężczyzny, który jej się oparł. Czy Paul mógł pozostać kompletnie obojętny na jej wdzięki? Poczula lekkie ukłucie zazdrości, ale zaraz je stłumiła. Nie mogła już wątpić, że Paul ją kocha, więc nie będzie nigdy więcej się nad tym zastanawiać. Skupi się na przyszłości u boku ukochanego.

– Pewnie ci się wydaje, że wygrałeś. – Hershaw obrzucił Paula nienawistnym wzrokiem, gdy silnym szarpnięciem postawiono go na nogi. Sędzia spisał zeznania i powóz czekał już, żeby zabrać go do aresztu. Mimo to zachowywał się butnie i agresywnie. – Obiecała mi szczerą nagrodę za twoje cierpienia. Ona chce widzieć cię martwym, Frant, a ja wątpię, żebym był ostatnim, którego omotała.

– Annamarie nie jest moją żoną i nie ze mną ma dziecko – odparł Paul. – Nie obarczaj jej winą za swoje własne decyzje, Hershaw. Wiedziała, że jesteś rozgoryczony, i sprytnie to wykorzystała. Sam jesteś winny wszystkim swoim nieszczęściom, ponieważ nienawidziłeś mnie i myślałeś, że kobieta, której pragniesz, podzieli się z tobą swoim bogactwem. Wątpię, by dotzymała słowa, bo cała jej opowieść to jedno wielkie kłamstwo.

– Niech cię diabli! – ryknął Hershaw i chciał się rzucić na niego, mimo że miał związane ręce. Powstrzymali go ludzie sędziego. – Zawsze byłeś moim wrogiem.

– Nie, sam jesteś swoim największym wrogiem – powiedział Paul i odwrócił się, zaś strażnicy wzięli klnącego Hershawa pod pachy i wywlekli z domu.

– Nie będzie już nas więcej niepokoić – stwierdził Jack z satysfakcją. – Możesz teraz bezpiecznie spacerować ze swoją panią.

– Tak. Dziękuję za to Bogu, i tobie, Jack. Gdyby nie twój bystry umysł, zapewne bezskutecznie szukałbym jej przez wiele tygodni.

– Och, koniec końców, Hershaw by cię zawiadomił, bo przecież chciał przede wszystkim zabić ciebie. Wolę nawet nie myśleć, co planował na dzisiejszy wieczór.

– Jane znalazła gdzieś żelazny hak i się broniła, ale w końcu ją obezwładnił...

– Na szczęście zjawiliśmy się w samą porę – powiedział Jack, po czym wskazał głową na kobietę i jej męża, czekających w milczeniu na swój los. – Co chcesz zrobić z tą parą? Ten drugi łajdak uciekł tuż po naszym przyjeździe.

– To był mój brat, sir – odezwała się Sophie. – To ja dałam *milady* ten hak, żeby się mogła bronić. Od nas nie spotkała jej w tym domu żadna krzywda. My robiliśmy tylko to, co nam kazał ten diabeł, milordzie. Gdyby się dowiedział że jej pomogłam, zamordowałby nas wszystkich.

– Tak myślę – zgodził się z nią Paul. – Jane mówiła mi, że jej pomogłaś, więc tym razem nie wystąpię przeciwko wam, ale miejcie się na baczności.

– Jeżeli mój stary choćby spróbuje, będzie miał ze mną do czynienia. – Sophie spojrzała na męża takim wzrokiem, że aż się cofnął.

– Bardzo dobrze, kobieto – powiedział Paul. – Trzymaj męża na smyczy, bo jeżeli jeszcze raz pojawi się w pobliżu mojej pani, to go zabiję. – Odwrócił się do Jacka. – Zbierz ludzi. Ja wracam do Londynu i porozmawiam z Jane...

Późnym wieczorem Jane siedziała przy biurku w swoim salonie, gdy lokaj zaanonsował przybycie Paula. Odwróciła się i z okrzykiem radości podbiegła do niego. Paul chwycił ją w objęcia i przez moment tulił do siebie.

– Jesteś już bezpieczna, kochanie – odezwał się w końcu. – Hershaw siedzi pod kluczem i już nas nie będzie prześladował. To człowiek groźny i zawistny, ale naprawdę nie sądziłem, że podniesie na ciebie rękę.

– To moja wina, nie powinnam była przejmować się plotkami lady Catherine.

– Ona ma zjadliwy język i chciała sprawić ci przykrość, ale wątpię, by wiedziała, co Hershaw knuje i do czego jest zdolny.

– Z pewnością nie wiedziała; zrobiła to z zazdrości. Któreś z nas musiało jej się poważnie narazić.

– Pewnie chodzi o ten wieczór w teatrze – stwierdził Paul. – Widzieliśmy ją przecież z Hershawem. Może się bała, że powiemy o tym jej narzeczonemu. Hershaw był dla niej tylko zabawką, a szacowny narzeczony, choć leciwy, jest markizem i bogaczem.

– Dla mnie te kwestie nigdy nie miały większego znaczenia – powiedziała Jane. – Zapomnijmy o niej, i o tej drugiej, choć, moim zdaniem, to Annamarie jest bardziej niebezpieczna, skoro potrafiła nakłonić mężczyznę do morderstwa z powodu urażonej dumy...

– Dlatego nie byłem w stanie jej polubić – wyznał Paul. – Jest dumna i na swój sposób piękna, ale ma serce z lodu. Zaproponowała mi siebie, a ja odmówiłem. Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że z tego powodu naśle na mnie mordercę.

– Wcześniej nie mogła tego zrobić. Adam ją kochał i miał powody do zazdrości, ale nie nienawiści, i nigdy by się na to nie zgodził...

– Wiem, choć przez chwilę i jego podejrzewałem. On jednak nie odwrócił się całkiem ode mnie. Modłę się o to, by jego miłość odmieniła naturę Annamarie, bo jeśli nie, będzie z nią bardzo nieszczęśliwy...

– Jak można być tak mściwym? – Dla Jane było to niepojęte. – Nigdy tego nie zrozumiałem.

Paul uśmiechnął się do niej czule.

– Wiem i właśnie między innymi za to cię uwielbiam, moja słodka Jane. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia i gdybyś nie znalazła w swym sercu wzajemności, nigdy bym się nie ożenił.

– Och, Paul... – Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. – Wiesz, że kochałam Harry’ego i myślałam, że już nigdy nie zaznam miłości. A jednak pokochałam cię równie gorąco.

– Dzięki ci, Boże – mruknął Paul i nachylił się, aby ją pocałować. – Kiedy wyjdiesz za mnie, Jane?

– Wkrótce wyjeżdżamy na wieś, a ty musisz odwiedzić Melię i jej ciotkę. Potem przyjedziesz do mnie, damy na zapowiedzi i zaczniemy nowe życie...

– Masz rację. – Paul westchnął. – Przyznam ci się, że ciężą mi obowiązki opiekuna i związana z tym odpowiedzialność. Wolałbym być teraz przy tobie, ale muszę zrobić, co do mnie należy.

– Załatw to jak najszybciej i przyjedź do mnie – poprosiła, podając mu usta do pocałunku. – Będę cię wyglądała każdego dnia, więc nie pozostawaj tam dłużej niż to konieczne, mój najdroższy.

– Obiecuję. Jutro spędzimy razem cały dzień, a potem wyjadę do pani Bellingham i Melii...

– Pozwól, że pojedę z tobą do panny Bellingham – zaproponował Adam następnego wieczoru. – Muszę ją przeprosić, zanim wyruszę do Indii. Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Paul. Trwałeś przy mnie jak wierny przyjaciel, choć nie zawsze na to zasługiwałem.

– Nie dziwię ci się przyjacielu... Zapewniam cię jednak, że nawet jej nie tknąłem. Annamarie musiała jednak coś do ciebie czuć, skoro oddała ci się tamtej nocy, a potem została twoją żoną.

– Została moją żoną, bo spodziewała się dziecka. – Adam spochmurniał. – A oddała mi się w przypływie mściwej złości. Może chciała nastawić mnie przeciwko tobie, ale nigdy nie prosiła, żebym cię zabił.

– Nie byłeś taki jak Hershaw i nigdy byś tego nie zrobił – powiedział Paul. – Miałeś okazję, by patrzeć na moją śmierć, zadaną cudzymi rękami, ale z niej nie skorzystałeś.

– Bo nie jestem mordercą. Znam wady Annamarie. Potrafi być zawistna i okrutna, ale przeszła twardą szkołę życia, gdy ludzie jej ojca wyrzucili ją z pałacu po jego śmierci. Może teraz, kiedy będzie miała własny pałac, szlachecki tytuł i życie, o jakim marzyła, poczuje się szczęśliwa. Poza tym jest moją żoną i jeśli wierzyć słowom Hershawa, leży ciężko chora. Jeżeli dożyje mojego powrotu, zrobię wszystko, aby była szczęśliwa. Mogę tylko mieć nadzieję, że choroba wyparła zawziętość z jej serca.

Paul milczał. Nie był wcale pewny, czy Adam znajdzie szczęście u boku mściwej piękności, którą tak adorował. Pomyślał, że miłość to cudowne uczucie, niosące ze sobą wielkie szczęście, ale i wielki ból. Skoro Adam, mimo wszystko, kochał swoją żonę, mógł jedynie udzielić mu na drogę swego błogosławieństwa.

– Dobrze, jedź ze mną, jeżeli chcesz się pożegnać z Melią – powiedział. – Pojedziemy razem konno, a potem cię pożegnają. Po jednym dniu zamierzam wrócić do Jane...

Mężczyzna spojrział w dół na okaleczone zwłoki durnia, który dał się tak łatwo namówić, i przyniósł mu jedyną broń, jakiej potrzebował – butelkę wina. Szkoda było marnować dobre bardo na tego prostaka, lecz w tej chwili akurat bardziej zależało mu na odzyskaniu wolności.

Jego więzienie trudno było nazwać twierdzą, z miejsca też się domyślił, że łatwo będzie przekupić głupka pełniącego przy nim straż. Wziął klucze do zewnętrznych drzwi. Teraz musiał już tylko ukraść konia i ruszać w drogę.

Konie trzymano w stajniach za budynkiem sądu. Nikt nie patrolował terenu wokół i tylko jeden parobek pilnował stajni tej nocy. Wystarczył mocny cios w kark stłuczoną butelką i biedak osunął się na ziemię, zalany krwią.

Bez zwłoki dosiadł wybranego konia i popędził czym prędzej ku otwartej przestrzeni. Jego pierwszy plan się nie powiódł, ale miał w zanadru jeszcze jeden pomysł, jak rzucić Franta na kolana.

Gdy pędził pośród ciemności, w uszach dźwięczały mu słowa Annamarie: „Zabij go dla mnie, to podzielę się z tobą wszystkim, co mam...”.

Oszalał na jej punkcie od pierwszego wejrzenia. Na początku zdawała się go nie zauważać, ale pewnej nocy po przyjęciu u gubernatora czekała na niego i zaproponowała mu siebie w zamian za pewną przysługę. Od jej uśmiechu zakręciło mu się w głowie, nie przestał jednak myśleć trzeźwo. Za taką cenę gotów był zabić każdego, lecz gdy usłyszał nazwisko tego, który wzbudził jej nienawiść, roześmiał się z satysfakcją i zatarł ręce.

Nie spieszył się, planując jego śmierć, lecz szczęście zawsze zdawało się sprzyjać Frantowi. Tym razem jednak będzie inaczej. Pochłonięty przygotowaniami do ślubu z tą dziwką, dowie się o ucieczce i małżeństwie swojej podopiecznej, kiedy będzie już za późno.

Melia to głuptaska z pretensjami, nie wątpił więc, że już po krótkiej perswazji będzie mu jadła z ręki. Ucieknie z nim, a potem Frant za wszystko mu zapłaci – brzęczącą monetą i własnym życiem. Najpierw okup, a potem kula w serce...

Melia była wyraźnie poirytowana. Spodziewała się, że lord Frant znacznie wcześniej pojawi się u jej ciotki. Tymczasem plany weselne musiały poczekać aż do jego przyjazdu i podpisania intercyzy. Ciotka bardzo rygorystycznie przestrzegала wszelkich procedur, twierdziła też, że byłoby ogromnym nietaktem rozmawiać z pastorem bądź cokolwiek planować przed przyjazdem lorda Franta. Co gorsza, narzeczony był tego samego zdania.

– Twoja ciocia ma rację, kochanie – przekonywał ją. – Poza tym, jakie to ma znaczenie? Kilka dni wcześniej czy później? Przecież mamy przed sobą całe życie.

Melia nie potrafiła powiedzieć, skąd bierze się jej frustracja. Do przyjazdu na wieś, mówiąc szczerze, nie poznała bliżej ani narzeczonego, ani jego siostry. Spędzanie kolejnych dni w ich towarzystwie zaczynało ją powoli nudzić. Anne siedziała przez cały czas z nosem w książce, a jej brat przez większą część dnia jeździł konno lub rozmawiał ze stajennymi. Dopiero po południu zabierał Melię na spacer i zajmował się nią wieczorami, lecz było to chyba nawet gorsze, niż gdy zostawiał ją samą, aby pojeździć konno lub pograć w karty z gośćmi ciotki.

Prawda wyglądała tak, że sprowokowała kapitana Smythe'a do oświadczyń, mówiąc mu, że musi wracać na wieś i nie wie, czy jeszcze kiedyś przyjedzie do Londynu. Udało jej się nawet uronić przy tym łzę, on zaś zachował się po rycersku, próbując ją pocieszyć – i gdy jej się nagle oświadczył, powiedziała „tak” – czego już zaczynała żałować.

Boże, za jakie grzechy musi się tak męczyć?! Była pewna, że wicehrabia Hargreaves jest w niej zakochany, lecz gdy zaczęła delikatnie naciskać, żeby się zadeklarował, powiedział jej, że nie stać go na to, aby się z nią ożenić. Oczywiście, winny temu był jej opiekun, który zgarnął całą nagrodę, pozostawiając mu marnych kilka gwinei.

Później, kiedy stało się dla niej jasne, że nie uda jej się namówić wicehrabiego na ślub, poznała kapitana Hershawa. Od początku była nim zauroczona, a on, choć nie tak przystojny jak Adam Hargreaves, wydawał się ją lubić. Wykorzystała więc realną szansę, jaką były oświadczyńny kapitana Smythe'a, a teraz pluła sobie w brodę, że nie zaczekała. Przyszłość zaczęła jej się jawić jako bezmiar śmiertelnej nudy.

Dlatego też, gdy tego ranka zaanonsowano wizytę wicehrabiego Hargreavesa, była zdumiona i podekscytowana. Kiedy wkroczył do salonu, serce jej szybciej zabiło. Boże, jaki on był

przystojny i jak strasznie za nim tęskniła! Tak, teraz gdy go znów zobaczyła, wiedziała już na pewno, że Adam Hargreaves jest jedyną miłością jej życia.

– Panno Bellingham, proszę mi wybaczyć to najście – powiedział, lekko skonfundowany.
– Melio... twój opiekun zezwolił mi na krótką rozmowę z tobą w cztery oczy...

– Chciałeś porozmawiać ze mną na osobności? – zapytała z nadzieją w głosie. Serce waliło jej jak młotem. Mógł być tylko jeden powód, dla którego przebył taki szmat drogi, żeby z nią pomówić. Jej zaręczyny uświadomiły mu, jak bardzo mu na niej zależy, więc przyjechał błagać ją, aby je zerwała i wyszła za niego. Była tak oszołomiona, że jego pierwsze słowa w ogóle do niej nie dotarły.

– Źle postąpiłem, pozwalając ci myśleć, że jestem wolny – oznajmił i w końcu zrozumiała, co do niej mówi. – Podobałaś mi się... i wystąpiły też różne inne okoliczności... W każdym razie nie powinienem był zachowywać się tak poufale wobec ciebie, ponieważ mam żonę i dziecko w Indiach...

– Ty masz żonę? – Melia spojrzała na niego z przerażeniem. – Zwodziłeś mnie... przecież od początku wiedziałeś, że jesteś żonaty...

– Wybacz mi. Żałuję tego, co zrobiłem, i może gdybym był wolny...

– Jak śmiesz tu przychodzić?! – Melia podniosła głos. – Nie obchodzi mnie, co masz mi do powiedzenia!

Spojrzała na niego ze złością i wybiegła z pokoju, żeby sobie oszczędzić wstydu, jakim byłby wybuch płaczu. Adam wołał za nią, ale się nie odwróciła. Uczucie zawodu było zbyt dotkliwie. Wybiegła z domu i poprzez ogrody dotarła do sadu.

Tam dopiero zalała się gorzkimi łzami. Jak mógł przyjechać tu tylko po to, żeby ją poinformować, że ma żonę? Poczula, jak narasta w niej nienawiść – nie tylko do Adama, ale także do Paula Franta, który musiał o wszystkim wiedzieć. Bez mrugnięcia okiem pozwolił, by poniżała się, wdychając za tym podłym zdrajcą, a na koniec przywiózł go ze sobą.

Miała ochotę się na nich zemścić.

– Panno Bellingham, przykro mi widzieć panią w takim stanie...

Męski, znajomy głos wdarł się w jej rozgorączkowane myśli. Podniosła głowę i na moment ją zatkło, a potem szybko otarła mokre policzki.

– Kapitan Hershaw – powiedziała zaskoczona. – Nie spodziewałam się pana tu zobaczyć.

– Wciąż o tobie myślę, Melio – odezwał się aksamitnym głosem, muskając jej policzek, aby otrzeć łzy. – Powinienem był pomówić z tobą wcześniej, moja najdroższa, ale nie śmiałem, bo twój opiekun mnie nienawidzi.

– A ja jego! – wybuchnęła. – On w ogóle o mnie nie dba... Zresztą, nikogo nie obchodzi...

– To jedź ze mną – zaproponował. – Zabiorę cię do Francji, gdzie będziemy żyli długo i szczęśliwie. Znajdę jakiś sposób...

Jego wynurzenia przerwał nagle głośny krzyk.

– Odsuń się od niej, ty psie! Melio, odejdz na bok. To tchórz i morderca!

Melia zobaczyła swego opiekuna, zmierzającego ku niej wielkimi krokami; za nim, w niewielkiej odległości, kroczył Adam.

– Nigdy nie chcieliście mojego szczęścia – rzuciła, zadzierając głowę. – Dlatego odchodzę z kapitanem Hershawem. Nikt mnie nie zatrzyma.

– Zastanów się, co robisz – ostrzegł ją Paul. – On jest ścigany i grozi mu szubienica. Chce cię zwabić, żeby się na mnie zemścić.

– A już prawie ją miałem – warknął Hershaw i chwycił Melię za gardło i przystawił jej lufę do głowy. – Zabieram ją ze sobą i pozbawię ją czci, tak jak ciebie, Frant. A kiedy zrobię

swoje, zabiję ją... I ciebie też, jeżeli spróbujesz się do mnie zbliżyć.

Melia z trudem zaczerpnęła tchu, gdy coraz mocniej zaciskał palce na jej gardle. Bała się, ale o wiele silniejsze okazało się palące poczucie upokorzenia. Wykorzystał ją, gdy była smutna i potrzebowała pocieszenia. Złość dodała jej odwagi i z całej siły ugryzła go w rękę. Ten krótki moment wystarczył, by zaczęła się wyrwać.

Hershaw odepchnął ją, a gdy upadła, strzelił przed siebie. Melia przetoczyła się na bok i poderwała na równe nogi. Adam leżał na trawie cały we krwi. Podbiegła do niego z krzykiem, osunęła się na kolana i zajrzała mu w twarz – był martwy! Kula Hershawa precyzyjnie trafiła w cel. Obok ciała Adama zobaczyła pistolet. Bez zawahania podniosła go, odwróciła się i wyceLOWAŁA. Trafiła Hershawa w krocze. Wrzasnął z bólu, ale zaczął do niej celować. Naraz rozległ się kolejny strzał i Hershaw osunął się na ziemię.

Melia również. Spojrzała jeszcze raz na Hershawa leżącego bez życia na ziemi i zapadła się w ciemność.

– To skandal! – oburzała się pani Bellingham, wychodząc z pokoju Melii po wizycie doktora. – Strach pomyśleć, że mógł z nią uciec... Gdyby nie pan i wicehrabia Hargreaves, pewnie by mu się to udało. – Koronkową chusteczką osuszyła twarz. – Moja biedna bratanica... Co za dzień! A przecież mieliśmy zaczynać przygotowania do ślubu.

– Tak, ale chyba trzeba będzie z tym poczekać – powiedział Paul. – Adam został poważnie ranny. Melia była przekonana, że zginął, i dlatego strzeliła. Ja także zostałem trafiony, ale zanim zdążyłem wyceLOWAĆ, ten łotr mógł zabić kogoś z nas, gdyby Melia mu nie przeszkodziła. To bardzo odważna młoda dama, proszę pani.

– Tak, oczywiście, ale proszę pomyśleć, co czuje jej narzeczony i jego siostra! Nie wiedzą, co o tym myśleć... Ja również muszę przyznać, że nie spodziewałam się czegoś takiego po mojej bratanicy – bądź co bądź pannie z dobrego domu.

– Ja nie oczekiwałem po niej aż tak wiele – przyznał Paul. – Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej. Nie zamierzam wyjeżdżać, dopóki nie zyskam pewności, że wraca do zdrowia. Muszę z nią porozmawiać i zobaczyć, co da się zrobić, żeby jakoś ogarnąć ten bałagan.

– Czy... ten potwór nie żyje?

– Tak. Powiniennem się o to postarać wcześniej, ale chciałem postawić go przed obliczem sprawiedliwości. Gdyby Melia lub Adam zginęli, nigdy bym sobie tego nie darował.

– No cóż, bardzo mi się to wszystko nie podoba, lordzie Frant. Mój świętej pamięci brat z pewnością nie pochwalałby towarzystwa, w jakim Melia się obracała, odkąd został pan jej opiekunem.

– Chętnie oddałbym ją pod pani opiekę – powiedział Paul. – Teraz jednak muszę się upewnić, że jest naprawdę świadoma swego wyboru.

Po tych słowach szedł na dół, aby napisać do Jane list. Ramię wciąż go bolało, miał jednak szczęście, że bardziej nie ucierpiał. Rana Adama była znacznie groźniejsza, gdyż kula przeszła blisko serca. Doktor powiedział im, że rekonwalescencja potrwa dłuższy czas i na razie nie wolno mu podróżować.

Oczywiście, będzie to dosyć kłopotliwe dla wszystkich, którzy mieli z tym jakiś związek. Melia nie przyjęła przeprosin Adama i rzeczywiście skłonna była uciec z Hershawem, żeby zrobić im na złość. Paul nie wiedział, jak jej pomóc, czuł się jednak odpowiedzialny za to, co się stało.

Westchnął ciężko, bowiem okazało się, że nie wywiązał się z obowiązków opiekuna. Pochłonięty swoimi sprawami, zbyt szybko o niej zapomniał, polegając na Jane.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

List Paula dotarł do Jane dopiero po czterech dnia, kiedy już zaczynała się niepokoić. Straszne myśli przebiegały jej przez głowę; oczyma duszy widziała go rannego lub martwego, więc prawda nie okazała się aż tak bardzo szokująca. Paul pisał, że został niegroźnie ranny, natomiast stan Adama okazał się tak poważny, że obawia się o jego życie. Co więcej, Melia położyła się do łóżka i nie chce wstać mimo ich perswazji.

Chciałbym być z Tobą i snuć ślubne plany, ale ufam, że zrozumiesz, dlaczego nie mogę teraz wyjechać. Muszę zadbać o Adama, póki nie wydobrzeje na tyle, by móc się stąd wyprowadzić. Czuję się też po części odpowiedzialny za przygnębianie Melii.

Wygląda na to, że źle ją oceniłem, zakładając, że szybko wyleczy się ze swego zauroczenia Adamem. Teraz widzę, że go naprawdę kochała i głęboko przeżyła jego wyznanie.

Gdybym nie pojechał do niej, uciekłaby pewnie z Hershawem, a on, z czystej nienawiści do mnie, niecnie by ją wykorzystał.

Nie śmiem Cię prosić, Jane, ale czuję, że Melia potrzebuje przyjaciółki, której mogłaby się zwierzyć. Jej ciotka to zająca osoba, ale za bardzo się wszystkim przejmuję.

Przyjedź, jeżeli możesz. Wiem, że wspólnie zdołamy uleczyć złamane serce Melii.

Jane wzięła list i poszła z nim do Willa. Był z Sarah w salonie i omawiali wspólnie jakiś poważny temat. Widząc jednak, jak bardzo jest zdenerwowana, przerwali rozmowę, by Will przeczytał list. Oczywiście, przyznał jej rację, natomiast Sarah zaoferowała się jej towarzyszyć.

– Wicehrabia Hargreaves będzie potrzebował pielęgniarki, a ja mam pewne doświadczenie – oznajmiła, spoglądając nieśmiało na Willa. – Chcemy ci coś powiedzieć, Jane... – urwała, a Will z uśmiechem skinął głową.

– Tak, moja najdroższa siostrzyczko. Pewnie już od dawna domyślałaś się, że mam taki zamiar... Poprosiłem Sarah, by została moją żoną. Oczywiście, zawiadomimy wszystkich o naszych zaręczynach, choć ze ślubem poczekamy, aż wy się pobierzecie.

– Miałam nadzieję, że nasz ślub odbędzie się już niedługo – powiedziała Jane – ale gdyby się opóźniał, nie odkładajcie waszych planów. Mogę bez problemu mieszkać u mamy, dopóki nie załatwię swoich spraw.

– Wiedziałem, że tak powiesz. – Will mocno ją uściskał. – Sarah uważała, że powinniśmy poczekać, ale możemy już dać na zapowiedzi, ustalając miesięczny termin z nadzieją, że przyjaciel lorda Franta wydobrzeje do tej pory...

– Został poważnie ranny, ale moim zdaniem Paul martwi się bardziej o Melię. Jeszcze dziś pojedę do niego. Jesteś pewna, że chcesz mi towarzyszyć, Sarah?

– Tak. – Kuzynka spojrzała na Willa, a on skinął przyzwalająco. – Musimy sobie pomagać, więc pojedę z tobą, Jane.

Jane z wdzięcznością przyjęła jej propozycję i natychmiast poszła wydać polecenia w związku z ich wyjazdem. Nie wiedziała, jak długo zostaną u pani Bellingham, więc będą musiały wziąć garderobę na kilka tygodni, lekarstwa i czyste bandaże, które także mogą się przydać.

Will postanowił im towarzyszyć.

– Nie zamierzam być ciężarem dla pani Bellingham – oświadczył. – Mam w pobliżu przyjaciół, którzy chętnie przyjmą mnie pod swój dach, i będę codziennie przyjeżdżał, żeby zobaczyć, jak sobie radzicie.

– Bardzo się z tego cieszę – odparła Jane. Nie chciała, aby on i Sarah musieli się rozstać akurat w tym czasie, kiedy powinni planować swój ślub.

Podróż zajęła im kilka godzin, więc do domu pani Bellingham dotarli dopiero po szóstej. Tam czekano już na nich i powitano z otwartymi ramionami.

– Sama już nie wiem, co robić – powiedziała pani Bellingham do Jane, zamawiając herbatę i ciasteczka, które miały pomóc im przetrwać do kolacji. – Melia nie chce nawet ze mną rozmawiać...

– Czy Paul tu jest? – Jane rozejrzała się wokoło, spodziewając się, że ją przywita.

– Jest z doktorem u wicehrabiego... – Z ust pani Bellingham wyrwał się cichy szloch. – Że też coś takiego musiało się akurat tutaj wydarzyć! W życiu nie byłam tak przerażona. Mieliśmy tu sędziów i lekarzy... Lord Frant nie wydawał się zadowolony z tutejszego doktora i posłał po innego, do miasta. Nie wiem, czego jeszcze mogę się spodziewać... Jeden zastrzelony, drugi umierający, a moja bratanica chce się zgłodzić na śmierć...

– Pójdę do niej – zaproponowała Jane. – Proszę przysłać nam na górę herbatę, dwie filiżanki, trochę chleba z masłem i kawałek kurczaka, a ja spróbuję ją namówić, żeby się choć trochę napiła.

– Pokażę ci, gdzie jest jej pokój – powiedziała pani Bellingham. – Może twój brat i kuzynka napiliby się herbaty... – dodała, nie wiedząc, czy ma najpierw być uprzejma dla gości, czy spełnić prośbę Jane.

– Wasz lokaj mnie zaprowadzi. – Jane ścisnęła jej rękę. – Proszę, niech się pani tak nie zamartwia. Stan Melii z pewnością wkrótce się polepszy.

– Och... skoro tak uważasz...

Jane zostawiła panią Bellingham z Sarah i Willem, po czym udała się za lokajem do pokoju Melii. Zapukała i weszła bez zaproszenia. Pomieszczenie tonęło w mroku, a Melia leżała skulona na łóżku, w ubraniu, które miała na sobie od kilku dni, sądząc po jego stanie. Zwrócona twarzą do ściany, nie odwróciła się, kiedy Jane przemówiła do niej:

– Czemu jesteś taka przygnębiona? Twoja ciocia jest w rozpacz, bo nie chcesz z nią rozmawiać. Adam jest w ciężkim stanie...

Melia zamarła, po czym przetoczyła się na wznak i usiadła, wsparta o poduszki. Z oczu jej wyzierało zdumienie.

– Przecież widziałam, jak umiera... był taki blady i w ogóle się nie ruszał. Ten diabeł go zabił, i to moja wina...

– Niby dlaczego? – spytała Jane. – Wprawdzie Adam jest ranny, ale żyje. Przed momentem dowiedziałam się o tym od twojej ciotki. Wezwano nowego doktora i lord Frant właśnie z nim rozmawia.

– Więc on naprawdę żyje? – zapytała Melia i błysk rozjaśnił jej przygasłe spojrzenie. – Nie zginął?

– Nie, przeżył. Choć nie mogę ci obiecać, że nie umrze. Wciąż jest za wcześnie...

– Och, rozumiem... – Z ust Melii wyrwał się cichy płacz. – Tamtego ranka na chwilę go zniecierpliwiałam. Przyznał się, że ma żonę... A ja go kochałam. Czemu nikt mi tego wcześniej nie powiedział? Gdybym wiedziała...

– Nikomu nie mówił, że jest żonaty. Utrzymywał to w tajemnicy, dopóki Hershaw nie zaczął rozpuszczać plotek, że to lord Frant ożenił się z indyjską księżniczką, po czym ją opuścił. Opowiedziano mi to w taki sposób, że wpadłam w przygnębienie i wyszłam sama z domu, co skończyło się porwaniem. Tak, zostałam porwana przez ludzi Hershawa – dodała na widok przerażonej miny Melii. – Chciał mnie zabić, by zemścić się na Paulu... Ciebie też by zabił, kochanie.

– Och, Jane, nie wiedziałam, jakie miał zamiary! – Melia zalała się łzami. – To przeze mnie... Przyprowadziłam go do twojego domu...! Powiedziałam mu wszystko, co chciał wie-

dzieć o tobie i moim opiece. To ode mnie dowiedział się o waszych zaręczynach...

– Tak myślałam – przyznała Jane. – Ale nie obwiniaj siebie – dodała, gdy Melia się wzdrygnęła. – On i tak znalazłby jakiś sposób.

– Nie, to moja wina! – upierała się Melia. – Byłam bezmyślną egoistką i Adam został ranny przeze mnie.

– Skoro żałujesz tego, co zrobiłaś, przestań się zadręczać, bo twoja ciocia bardzo to przeżywa... – urwała, gdyż usłyszała pukanie do drzwi i pokojówka wniosła tacę.

Po jej wyjściu Jane naląła dwie filiżanki herbaty i jedną podała Melii.

– Mamy też trochę chleba z masłem i kawałek kurczaka na zimno. Proszę cię, spróbuj choć odrobinę i napij się herbaty. Ja jestem po podróży i naprawdę poczułam pragnienie.

– Jesteś dla mnie taka dobra, choć wcale na to nie zasługuję. – Melia napiła się, a następnie zjadła kilka kęśów chleba z masłem.

Jane skosztowała przepysznych ciasteczek i pochwaliła kucharkę.

– To prawda. – Melia odstawiła pustą filiżankę i powiedziała: – Nie wiem, co robić, Jane. Nie kocham kapitana Smythe'a, ale obiecałam mu, że wyjdę za niego...

– Wiesz chyba, że nawet jeżeli Adam przeżyje, wróci do Indii?

– Tak, wiem. Ale on nigdy mnie nie kochał. Byłam niemądra, zadurzając się w jego przystojnej twarzy i manierach. Teraz rozumiem, że próbował mnie przeprosić...

– Obawiam się, że było w tym coś więcej – zauważyła Jane. – Miał pretensje do Paula i flirtował z tobą, żeby mu zrobić na złość... Potem jednak się opamiętał i do wszystkiego przyznał Paulowi, który mu wybaczył. Może i ty kiedyś będziesz na to gotowa.

– Nie wiem, ale modłę się, żeby żył... i był szczęśliwy ze swoją rodziną.

Łzy popłynęły jej po policzkach, a Jane otarła je swoją chusteczką.

– Z czasem ból po utraconej miłości osłabnie, zobaczysz – powiedziała. – Myślę, że powinnaś się zastanowić, czy chcesz wyjść za kapitana Smythe'a, czy nie. Nie ma go teraz, bo pojechał odwiedzić siostrę do domu. Kiedy wróci, musisz z nim porozmawiać.

– Zostanę wyklęta w towarzystwie – powiedziała Melia. – Wywołam straszny skandal, kiedy to się rozejdzie.

– Nie, niekoniecznie. Jedni mogą traktować cię chłodno i mieć ci za złe te zerwane zaręczyny, ale inni będą miłsi. A w kwestii formalnej, sprawa zostanie zatuszowana i nigdzie nie pojawi się twoje nazwisko. Lord Frant zrobi wszystko, żeby cię chronić.

– Nigdy nie wyjdę za męża... – Melia westchnęła ciężko z tak zboląłą miną, że Jane wychyliła się i pocałowała ją w policzek.

– Nie rozpaczaj tak, Melio. Przez chwilę będzie ci smutno, ale z czasem rany się zagoją. Któregoś dnia, już niedługo, zabierzemy cię z Pauliem w podróż... Do Francji lub Italii. Może znów odnajdziesz szczęście. Poza tym, za rok lub dwa wszyscy zapomną o twoich krótkich zaręczynach.

– Tak... – Melia westchnęła. – Pewnie tak...

Usłyszały pukanie i zza drzwi rozległ się głos Paula. Wkroczył z zatroskaną miną, lecz rozchmurzył się na widok pań siedzących nad filiżanką herbaty.

– Widzę, że się lepiej czujesz, Melio. Bardzo się cieszę i pragnę cię przeprosić za wszystko, co cię spotkało.

Melia uśmiechnęła się do niego, po raz pierwszy szczerze i bez pozy.

– Zawsze był pan dla mnie niezwykle szcudry, sir. A ja byłam niemądra i chciwa... I to ja przepraszam za wszystkie przykrości, jakich wam przysporzyłam.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że Adam odzyskał przytomność i pytał o ciebie, Melio. Chciałby się z tobą zobaczyć, kiedy będziesz się czuła na siłach...

– Pójdę się z nim zobaczyć od razu – odparła Melia, a potem spojrzała na swoją pomiętą suknię. – Może jednak najpierw się przebiorę... Suknia jest poplamiona jego krwią.

– Pomogę ci. – Jane wstała i spojrzała wymownie na Paula. – A my porozmawiamy później, najdroższy.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, że przyjechałaś wesprzeć nas w potrzebie.

Po jego wyjściu Melia wstała, a Jane pomogła jej się przebrać. Wybrały skromną niebieską sukienkę, jakże różną od tych modnych kreacji noszonych przez nią w Londynie. Z włosami upiętymi w prosty węzeł wyglądała ładnie jak nigdy dotąd.

– Zostawię cię teraz – powiedziała Jane. – Będzie nam miło, jeśli zejdiesz później na kolację.

Na dole Jane zajrzała do salonu. Paul siedział sam, sącząc brandy. Na jej widok wstał, a kiedy podeszła, wziął ją w objęcia.

– Wspominałeś o jakiejś ranie? – spytała.

– To tylko drobne draśnięcie – odparł. – Nie powinienem był o tym opowiadać, ale... byłaś mi tu potrzebna, kochanie, bo nikomu z nas nie udało się przemówić Melii do rozumu. Ona w ogóle nie chciała nas słuchać...

– Myślała, że Adam nie żyje, i siebie obwiniała o jego śmierć. Myślę, że go kocha i zarazem nienawidzi. Choć zranił ją dotkliwie, nie mogła znieść myśli, że zginął przez jej lekkomyślność.

– Nawet gdyby zginął, nie byłaby to jej wina – powiedział Paul. – To ja jestem wszystkiemu winny. Uznałem, że trzeba postawić Hershaw przed obliczem sprawiedliwości, choć powinienem wiedzieć, że on nie spocznie, dopóki jeden z nas nie będzie martwy.

– Za co on cię tak nienawidzi? – Jane dotknęła jego policzka.

– Za wiele rzeczy, ale przede wszystkim z zazdrości i chciwości, jak sądzę. – Paul westchnął. – Sam tego nie rozumiem. Kiedyś, jeszcze w wojsku, przyłapałem go na oszustwie przy kartach i poniósł tego konsekwencje. Może dał się omotać wdziękowi zazdrosnej kobiety... a może powodem są jego ostatnie przegrane?

– Nigdy się tego nie dowiemy – powiedziała Jane. – Poczułam ulgę na wieść o tym, że nie żyje, Paul, choć śmierć nie powinna być powodem do radości.

– Masz rację – zgodził się. – Kiedy jednak pomyślę, jak wiele złego wyrządził i co by się stało, gdybym pierwszy nie wystrzelił...

– Szczęśliwie wszystko zakończyło się dobrze – przyznała Jane. – Mam nadzieję, że już nigdy nie będziemy musieli o nim mówić.

– Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy to robić. Wszystko zostało załatwione. Nawet jeżeli zostanę wezwany na przesłuchanie, nie muszę się niczego obawiać. Poczekamy, aż Adam znów stanie o własnych nogach, a potem moglibyśmy wziąć ślub... Musisz jeszcze zdecydować, dokąd pojedziemy w podróż poślubną, kochanie.

– Wybierzemy się gdzieś na kilka dni sami, a potem zabierzemy Melię do Francji lub Italii...

Paul spojrzał jej w oczy.

– Żadna inna kobieta nie chciałaby dzielić z kimś tych bezcennych chwil, dlatego jestem ci wdzięczny za tę propozycję. Chciałbym zrekompensować jej w jakiś sposób to, co ją spotkało.

– Tak, wiem... Poza tym ja już obiecałam zabrać ją w daleką podróż. Teraz ma zbolełe serce, ale jest młoda i wierzę, że dojdzie do siebie, jeśli stworzy jej się ku temu warunki.

– Czy podjęła już decyzję, że nie poślubi kapitana Smythe'a?

– Tak. Jak się tego domyśliłeś?

– Widziałem, jak płakała przez Adama, i zacząłem wątpić, by chciała wyjść za mąż dla

pozycji i majątku.

– Myślę, że po tych wszystkich przeżyciach zmądrzała i stała się lepsza... A nam pozostaje tylko mieć nadzieję, że któregoś dnia znajdzie prawdziwą miłość.

– Tak, będę się o to modlił. – Paul nachylił się i pocałował Jane. – Może nie będziemy musieli zbyt długo czekać na ślub, skoro życie Adama nie jest już zagrożone?

– Mój brat i Sarah chcieliby się pobrać już niedługo. Nasz ślub mógłby się odbyć wkrótce potem. Może za sześć tygodni, żeby twój przyjaciel zdążył dojść do siebie i...

Jane nie mogła nic więcej powiedzieć, bo Paul ją żarliwie pocałował. Serce jej wezbrało miłością. Topniała w jego ramionach, gdy całował ją coraz namiętniej.

– Jane, moje kochanie – wyszeptał – nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię stracił...

Pobrali się w miejscowym kościele w majątku Jane siedem tygodni później. Choć Adam odzyskał szybko przytomność, rekonwalescencja trwała kilka tygodni. Melia pomagała Sarah pielęgnować go po pierwszych kilku dniach, a ponieważ Adam nie wymagał już nieustannej opieki, Will i Sarah wzięli ślub dwa tygodnie przed Paulem i Jane. Wyjechali potem na kilka dni, ale wrócili, aby brat Jane mógł jako najbliższy męski krewny przyprowadzić ją do ołtarza, gdzie czekał już na nią Paul. W roli druzhen wystąpiły Melia i Sarah.

Ślub Willa i Sarah był huczny, natomiast Jane wolała skromną ceremonię, jedynie z grupką najlepszych przyjaciół. Świadkiem Paula był major Harding, bowiem Adam czuł się jeszcze słabo. Nie zabawił zbyt długo na weselu i po toastach wycofał się do swojego pokoju. Do Indii zamierzał popłynąć za miesiąc.

Melia odwołała zaręczyny z kapitanem Smythe'em i z uśmiechem opowiedziała Jane, że wyglądał, jakby mu strasznie ulżyło.

– Chciało mi się śmiać, kiedy mnie zapewniał, że na zawsze pozostanie moim przyjacielem i nie ma do mnie pretensji.

– Mam nadzieję, że na przyszłość będziesz ostrożniejsza w wyborze – powiedziała Jane, a Melia pokiwała głową.

Rankiem w dniu ślubu Melia i Sarah pomagały Jane przygotować się do ceremonii. Jane wyglądała prześlicznie w sukni z jedwabiu w odcieniu kości słoniowej, przeplatanej różową i srebrną nitką. Modny czepek z różowego aksamitu miał srebrne wstążki, a rękawiczki do kompletu wybrano różowe. Stroju dopełniały buciki z kremowej skórki.

– Jesteś taka piękna! – zachwyciła się Sarah, wręczając jej bukiet różowych róż, związanych koronkową wstążką. – Lord Frant to szczęściarz!

– Oboje mieliśmy szczęście, że go poznałam – odparła, uśmiechając się do niej. – Wiem, że jesteś szczęśliwa z moim najdroższym Willem, a on wygląda, jakby był w siódmym niebie. Obyśmy byli równie szczęśliwi! Niczego więcej bym sobie nie życzyła...

– Jestem pewna, że tak będzie – powiedziała Melia. – Lord Frant to człowiek hojny i troskliwy, a ja byłam głupią gąską, upierając się, że jest inaczej.

Ostatnie doświadczenia wiele ją nauczyły i właściwie przygotowały, aby z należytą godnością stawiała czoło światu. Nie mogła się również doczekać obiecanej podróży do Italii.

Jane stała przy oknie z widokiem na park, za którym w oddali połyskiwała gładka tafla jeziora. W blasku zachodzącego słońca jego wody wydawały się różowe.

Paul podszedł i wziął ją w ramiona.

– Masz piękny dom – powiedziała i pozwoliła mu na delikatny pocałunek.

– Należał do przyjaciela, który dobrze znał moją matkę i kochał ją przez całe życie. Zapiisał mi tę posiadłość w testamencie. Z początku miałem zamiar ją sprzedać, ale kiedy zobaczyłem ten widok za oknem, stwierdziłem, że to idealne miejsce dla nas.

– Tak, rzeczywiście jest idealne – przyznała Jane. – Ogrody są piękne, lecz wymagają

pracy, a ja z radością się tym zajmę.

– Urządzić wszystko wedle swego życzenia – wyszeptał.

– Myślę, że trzeba będzie wprowadzić tu pewne udogodnienia – zauważyła. – Ale od razu poczułam się tutaj jak w domu. Wierzę, że to szczęśliwe miejsce, Paul.

– Było i znów będzie – oświadczył, odwracając ją ku sobie. – Kocham cię i pragnę, moja najdroższa...

– A ja ciebie – odpowiedziała i poddała się magii jego pocałunku.

Paul chwycił ją na ręce i zaniósł do łóżka. Kochali się, zasypiali i znów się kochali, złączeni na zawsze w idealnej harmonii. Gdy następnego ranka Jane obudziła się, zobaczyła, że Paul wciąż śpi jej boku. Wszelkie zmartwienia i troski minionych miesięcy opuściły go. Wyglądał jak chłopiec pogrążony we śnie.

Nachyliła się nad nim i pocałowała go, a on objął ją mocno i przyciągnął do siebie.

– Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie – wyszeptał Paul. – Zawsze będę cię kochał, moja najdroższa.

– Och, Paul – wyszeptała. – Myślałam, że już nigdy nie zaznam szczęścia. Życie jest piękne i wiem, że cokolwiek przyniesie nam przyszłość, zawsze będziemy razem.

– Aż po latach zestarzejemy się i posiwiejemy – zaczął się z nią droczyć. – Ty się roztyjesz, a ja stanę się przygarbionym zrzędą.

– Ja się roztyję? O nie! Nigdy! – zaprzeczyła żarliwie i rzuciła się na niego z udawaną pretensją. Pociągnął ją ponownie na łóżko i po raz kolejny zatarali się w miłosnym uścisku...

[1] Richard Brinsley Sheridan (1751-1816) – irlandzki poeta, dramatopisarz i polityk. Komedia *School for Scandal* została zaadaptowana przez Wojciecha Bogusławskiego w 1793 r. W polskim tłumaczeniu zyskała tytuł *Szkoła obmowy* (przyp. red).

